

Mateusz Kraft

Krakowski kredens



Kraft Mateusz

Krakowski kredens

1. Janina

Przedpołudniowe słońce niemiłosiernie wdzierало się do wnętrza starej krakowskiej apteki u zbiegu ulic Norwida i św. Doroty. Gdy telefon Janiny zaczął głośno dzwonić, wystraszyła się. Nie przywykła do tego dziwnego urządzenia, które dzieci i wnuk nakazały jej nosić przy sobie pod groźbą kary śmierci. Więc nosiła. Telefon z rzadka dzwonił i przeczuwała, że skoro dzwoni, musiało coś się stać. Ani dzieci, ani jedyny wnuk, nie korzystali zazwyczaj z tego połączenia, regularnie dzwoniąc na numer stacjonarny i dowiadując się o zdrowie dziadków. Zresztą nie o tej porze. No chyba, że Piotruś...

Wystraszona, z brzękiem upuściła niechcący lnianą torbę z zakupami, a dźwięk słoika z ogórkami, stłuczonego o zaniedbaną i przetartą podłogę z kilkudziesięcioletnich, dawno niemodnych kafli, odbił się echem od szyby oddzielającej ją od farmaceutki. Woń musztardowej zalewy ogórków kozackich szybko dotarła do jej nosa. Telefon dzwonił coraz głośniej, a to z racji tego, że przewidujący wnuk ustawił jej taką funkcję, na wypadek gdyby nie słyszała pierwszych sygnałów. Nie sprzeczała się z nim, bo go kochała, ale w duchu przeklinała swą starość i obwinała ją o to, że wszystkim wmawia, że ludzie w jej wieku muszą być albo ślepi, albo głusi, albo najlepiej jedno i drugie. Przepraszającym wzrokiem spojrzała na farmaceutkę, sympatyczną brunetkę około czterdziestki – wcale nieumalowaną i niekryjącą sztucznie swego wieku, w duchu dziękując bogu, że w aptece poza nią samą nie było innych klientów. Po tym, jak skończyła mocować się ze stale zacinającym się zamkiem leciwej torebki, wyjęła w końcu dzwoniącego potwora, w duchu przeklinając wszystkich twórców nowoczesnych technologii razem wziętych, których winiła w tej chwili za całe to zamieszanie.

Jednocześnie wściekła i wystraszona cichym głosem odebrała słowami:

- Proszę, słucham...

Zamiast odpowiedzi, w słuchawce telefonu usłyszała jakieś chrząknięcie, którego z początku się przestraszyła. Już miała wyłączyć aparat, gdy ktoś wrzasnął jej do ucha:

- Halo! Halo!

Powtórzyła:

- Proszę, słucham... Kto mówi?

Nieznamy głos, jakby nie słysząc pytania Janiny, albo je właściwie ignorując, wykrzyczał swoje pytanie:

- Halo, Pani Walasikowa? Pani Walasikowa?

Janinie zdawało się, że skądś zna ten głos, ale nie mogła na tę chwilę przyporządkować go do żadnej znajomej osoby. Drżącym głosem, ale i nieco poirytowana, powtórzyła:

- Tak. Słucham... Kto mówi?

- Pani Walasikowa. Kochana Pani Walasikowa. To mówię ja. To znaczy Gałązkowa. Znaczą się sąsiadka...

W tej właśnie chwili Janina poznała wschodni akcent sąsiadki, którą zawsze uważała za nieco przygłupią. Bo kto całkiem normalny hodzi w tych czasach kury w dużym mieście? Nim cokolwiek zdążyła z siebie wydusić, Zofia Gałązkowa krzyknęła, jakby nie całkiem dowierając, że dzięki uprzejmości operatora telefonii komórkowej, głos jej może swobodnie przemieszczać się z jednego miejsca na drugie:

- Pani Walasikowa! Pani męża, znaczą się Pana Walasika, zabrało pogotowie!

Janina poczuła, jak krew uderza jej mocno do głowy, nogi stają się miękkie jak z waty, jak wtedy, gdy serce przeszywa ostry nerwoból.

- Pogotowie? Jak to pogotowie? Co się stało? – zapytała Gałązkową.

Po chwili usiadła w starym fotelu stojącym pod aptecznym oknem, wychodzącym na spokojną ulicę św. Doroty i pamiętającym zapewne szalone lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia. Na pewno musiała zmienić wyraz twarzy, bo farmaceutka wyszła zza kontuaru i podała jej szklanek wody, pytając co się stało i czy może jakoś pomóc. Janina jednak tak szybko zakończyła rozmowę z sąsiadką, że właściwie niczego więcej się nie dowiedziała. Poprosiła miłą brunetkę o wezwanie taksówki i nawet nie zauważyła, że z zaplecza wyszła jeszcze jedna postać w białym kitlu.

O niczym więcej nie myślała, jak tylko o tym, by jak najszybciej dojechać do domu, dowiedzieć się szczegółów od Gałązkowej, pojechać do szpitala i skontaktować się z dziećmi. Tak! Przede wszystkim musiała skontaktować się z dziećmi.

- Boże! Jakie nieszczęście na mnie spadło. Boże! Jakie nieszczęście! – westchnęła.

Całą drogę w taksówce myślała, co mogło stać się Stachowi. Gdy wychodziła z domu na zakupy, mąż jadł śniadanie i mówił, że na dzisiaj zaplanował prace w ogródku. Od czasu przejścia na emeryturę, przydomowy ogródek stał się jego pasją, a hodowane kwiaty z dumą prezentował nie tylko całej bliższej i dalszej rodzinie, ale nawet znajomym i sąsiadom. Słowem każdemu, kto w całej swej nieświadomości raczył pochwalić hodowlę lub przynajmniej o nią zapytać. Zresztą wystarczyło dłużej popatrzeć na kwiaty, by stać się ofiarą pseudo-ogrodnika. Jak już kogoś dorwał, nie odpuszczał przez najbliższe pół godziny. Na wszelkie sposoby zatrzymując go przy sobie i opowiadając, bądź to o wyhodowanych roślinach, bądź o metodach ich hodowli, a nawet o stosowanych środkach pielęgnacyjnych i narzędziach.

Janina po trosze wściekała się na niego, że zawraca wszystkim głowę tymi hodowlanymi opowieściami, jednak nie była w stanie go powstrzymać. Ale co mogło teraz stać się Stasiowi? Ta myśl i towarzyszące zdenerwowanie nie opuszczały jej ani na chwilę.

- Co się mogło właściwie stać? – pytała wciąż samą siebie.

Stach od wielu lat leczył się na nadciśnienie, ale ogólnie każdy w jego wieku cierpiał na takie czy inne schorzenia. Ona sama, choć młodsza od męża o paręnaście lat, zmagala się z cukrzycą. Stach jednak regularnie odwiedzał doktora Więckowskiego, znanego w krakowskim środowisku kardiologa, jednego z lepszych specjalistów w kraju. I w ogóle nigdy nie żałował pieniędzy na lekarzy. Zresztą był również pod opieką swego zięcia Tomasza, co prawda laryngologa, ale również cieszącego się bardzo dobrą opinią fachowca.

W tej chwili bardzo się bała. Zdawała sobie sprawę z tego, że w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat wszystko może być groźne dla człowieka. Nawet lekkie przeziębienie. Co prawda Stach bardzo dbał o siebie i regularnie, właściwie z dokładnością co do minuty, zażywał wszystkie przepisane mu lekarstwa, a mimo to Janina odchodziła od zmysłów.

- Może przewrócił się? – pytała sama siebie. Tak! Tak zapewne musiało się stać!

- Stach miał przecież pracować w ogródku, poślizgnął się na zroszonej poranną rosą trawie i skręcił, lub co gorsza, złamał nogę. Nie! Oby tylko nie złamał nogi! – pomyślała.

- W jego wieku to bardzo niebezpieczne! – zdawała się prowadzić tę pełną domysłów rozmowę sama ze sobą...

Nie mogła sobie wyobrazić tego jak musi opiekować się mężem, który ma nogę w gipsie, albo nie daj boże dwie, albo co gorsza obie nogi i rękę. Zdenerwowała się na swoje myśli, w których wyobraźnia rysowała obraz jej męża obandażowanego jak mumia egipska, albo przynajmniej jak ofiarę nalotów alianckich na Drezno. Jej podświadomość uciekała jednak tymi wyobrażeniami od gorszych scenariuszy...

- Ta głupia Gałązkowa nie była w stanie nawet powtórzyć dobrze przez telefon co się stało!

Z rozmyślań wyrwał ją głos nieogolonego i zalatującego nie tylko porannym, ale i wczorajszym niemyciem kierowcy taksówki, który właśnie dowiózł ją pod wskazany adres:

- Proszę bardzo szanowna pani! 19,60! – powiedział kierowca prezentując swe nieco wybrakowane uzębienie.

Wysiadłszy z taksówki pobiegła wprost do sąsiadki. Ta stała w bramie, jakby czekając właśnie na nią. Nie pomyliła się. Gałązkowa czekała z relacją tego, co wydarzyło się owego nieszczęśliwego poranka. Jak się okazało, Pan Marian, mąż Gałązkowej, znalazł Stacha leżącego między grządkami. Nie wiadomo, jak długo Stach tak leżał w ogródku, ale na ten moment, kiedy stary Gałązka go znalazł, nie dawał żadnych znaków życia i sąsiedzi zdecydowali się wezwać pogotowie. Niestety, Stachowi nie udało się przywrócić przytomności przed odjazdem karetki.

Janina po wysłuchaniu sąsiadki, czym prędzej pobiegła do domu. Z myślą o szpitalu na Kawiej, nerwowo zaczęła pakować najbardziej potrzebne rzeczy swego osiemdziesięcioośmioletniego męża do niewielkiej podręcznej torby podróźnej, w duchu żałując,

że odprawiła taksówkę. Zadzwoiła do Marii, ich najstarszej córki. Telefon jednak nie odpowiadał. Jak na złość słyszała w aparacie jedynie przerywany sygnał. Z pewnością Maria prowadziła jakąś rozprawę w tej chwili. Była sędzią w sądzie okręgowym i często zdarzało się, że nie można było się z nią skontaktować w godzinach pracy. Tak już było, ale przecież byli z niej tacy dumni. Nie mogła skontaktować się też z zięciem Tomaszem, mężem Marysi.

Po nieudanej próbie połączenia, Janina wybrała numer swego syna Piotra. Numer ten także nie odpowiadał. Zdenerwowała się. To, że Maria nie mogła rozmawiać przed południem było całkiem normalne. W końcu pełniła funkcję publiczną dla dobra społeczeństwa. Ale to, że Piotr nie odbierał telefonu, poirytowało ją nieco bardziej.

- Co ksiądz robi przed południem, że nie może odebrać telefonu od matki? – pomyślała.

Nim jednak złość do Piotra na dobre mogła zagościć w jej umyśle, serce już zdążyło przeprosić ukochanego syna za jakiegokolwiek podejrzenia starej matki wobec niego. Natychmiast skarciła się w myślach. To po prostu było niedopuszczalne. Niechrześcijańskie.

Wybrała telefony do dwójki swoich „lepszyc” dzieci. Nie odpowiadały. Pomyślała, że czas zatem zatelefonować do drugiej dwójki, która w jej myślach uważana była za nieco mniej udane pociechy. Wahala się, czy zadzwonić do Gabrieli, czy do Michała. Jedno było warte drugiego. Wiecznie niezadowoleni, roszczeniowo nastawieni zarówno do rodziców, rodzeństwa, jak i całego świata.

Pakując do torby kosmetyki dla Stacha, wybrała numer córki, tylko dlatego, że był pierwszy w spisie numerów jej telefonu. Ku jej zdumieniu, Gabriela odebrała, choć Janina zaraz wyczuła w głosie córki jakby poirytowanie, a może nawet zdziwienie. Tak jakby chciała zapytać po co dzwoni, czym ją niepokoi, co ma jej tak pilnego do powiedzenia, że nie mogło poczekać do jakiegoś wystawnego sobotniego czy niedzielnego obiadu.

Janina nie miała zamiaru silić się na uprzejmość. Cichym wręcz skamlącym głosem po prostu zakomunikowała:

- Ojciec w szpitalu.

Zapadła nielubiana przez nikogo cisza w słuchawce.

- Jak to? – odparła po chwili Gabriela? – Co się stało mamo?

„Mamo”? – zdziwiła się Janina. Jak dawno nie słyszała „mamo” od Gabrieli. Boże! Czy ona była jeszcze jej córką? Gabriela od dawna unikała kontaktu z matką. No chyba, że potrzebowała wykorzystać znajomości i wpływy ojca do swoich interesów. Janina wiedziała, że córka ma lepszy kontakt z ojcem, ale od dłuższego czasu nie ingerowała w to i udawała, że nic o kontaktach biznesowych męża i młodszej córki nie wie. Zresztą Stach nic na ten temat nie mówił, a i ona nie chciała wnikać w ich sprawy. Tak było wygodniej. Teraz jednak wyczuła w głosie Gabrieli prawdziwe zaniepokojenie. Nie wiedziała tylko czy dotyczyło ono zdrowia ojca, czy ewentualnie jego koneksji i potencjalnej ich utraty. W tej trudnej chwili, gdy umysł pytał czy Janina jeszcze w ogóle kocha córkę, serce już dawno było pewne swej decyzji.

- Nie wiem córciu – odpowiedziała automatycznie i sama zdziwiła się swoją nazbyt miłą wypowiedzią.

„Córciu”. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak miłe zwracała się do Gabrieli. W jej przekonaniu, nie była ona warta tak miłych słów. Według Janiny, odkąd młodsza córka usamodzielniała się i postanowiła traktować rodziców jak automat spełniający poszczególne życzenia, ich relacje nie mogły już nigdy ulec poprawie. Poza tym sprawa niepodzielonych między dzieci działek w podkrakowskim Kryspinowie, o które Gabriela walczyła z rodzicami od lat, oddaliła matkę i córkę od siebie. A może Janina nie chciała zauważyć nigdy tego, że oddaliły się od siebie już dużo wcześniej.

Teraz, nie wiedząc czemu, poczuła ucisk w sercu i zechciała odezwać się do córki grzeczniej. Jednak w duchu potępiała siebie za nazbyt uprzejme słowa. Czowała się przez nie jakby słabsza. Jednak nie mogła zapanować nad emocjami w tej chwili. W końcu ojciec Gabrieli znalazł się nagle w szpitalu i trudno było przewidzieć, jak potoczą się dalsze losy ich rodziny.

- Prawdopodobnie miał wylew! – Janina jęknęła do słuchawki.

Nawet nie przypuszczała, że była w stanie to wypowiedzieć. No i nie wiedziała, kiedy to sobie uświadomiła. Może wtedy, gdy Gałązkowa relacjonowała jej poranne zdarzenie. A może, gdy zaczęła rozumieć powagę sytuacji. Może po prostu wtedy, gdy dotarła do niej myśl, że nie mógł to być zwykły wypadek w ogródku. Poczuła łzę na lewym policzku.

Po dłuższej chwili pędziła kolejną taksówką do szpitala. Za kierownicą starego opla siedział uśmiechający się bez powodu Chińczyk czy Wietnamczyk, mówiący łamaną polszczyzną, której daleko było do krakowskiego akcentu. Różne mniejszości narodowe były coraz bardziej widoczne w kraju. Drażnił ją ten uśmiech skośnookiego w obliczu nieszczęścia, które na nią spadło i miała ochotę walnąć tego małego facecika w czarny, świecący się łeb, ale myśli o Stachu zdominowały jej umysł. Sama nie wiedząc czemu, zaczęła wspominać ich poznanie, jeszcze w czasie wojny z Niemcami.

Stach był wtedy taki młody, przystojny, ujmujący. Współpracował z Armią Ludową i bolszewikami z Lublina, którzy tam osiedli, tworząc nową Polskę. Pochodził skądś ze wschodu, Janina dokładnie nie wiedziała skąd. Z tak zwanych Kresów, które na zawsze przepadły w otchłani radzieckiej czy rosyjskiej maszyny socjalizmu. Ona za to była zwykłą, prostą, ale bardzo piękną dziewczyną spod Lublina, dla której wolność ojczyzny również nie była obojętna. Poznali się właśnie na Lubelszczyźnie, oboje młodzi, pracujący na lepsze jutro i marzący o nowej Polsce – równych, solidarnych obywatelach, gdzie klasa robotniczo-chłopska będzie ceniona na miarę swych zasług. Nie marzyła o tym, że będzie miała zaszczyt mieszkać w królewskim mieście Krakowie, bo przecież pochodziła z biednej, wiejskiej rodziny. On nie przypuszczał, że przyjdzie mu się pożegnać z rodzinnymi stronami, które po kilkuset latach polskości wrócą do swych historycznych źródeł.

Rozmyślała o tym, jak to się stało, że świat aż tak się zmienił. Jak to się stało, że Stach, mimo tego, że rzeczywiście urodził się w Grodnie, był w stanie posługiwać się dokumentami, z których wynikało, że urodził się w Białymstoku. Jaka zatem była prawda? Co było prawdą? Nie

wiedziała. Wiedziała tylko, że przy jego wpływach nie było problemu, by uzyskać akt urodzenia z Białegostoku, mimo, że nigdy tam nie był. Przynajmniej tak utrzymywał. Dzieci o niczym nie wiedziały. W imię dobra swojego i ich wszystkich, Stach zakazał żonie kiedykolwiek i komukolwiek o tym mówić. Toteż milczała.

Czasem zastanawiała się, czy rzeczywiście o taką Polskę oboje ze Stachem i innymi młodymi walczyli. Ale przecież Stach zawsze powtarzał, że trzeba się cieszyć, że w ogóle jest Polska i to jest w istocie najważniejsze. Powtarzał, że dostali misję krzewienia prawdziwej, socjalistycznej i robotniczej polskości na naszych rdzennych ziemiach, które zostały niestety skażone najpierw przez austriackiego, a potem niemieckiego okupanta, ale przede wszystkim przez nurty prawicowe, pielęgnowane przez przedwojenną arystokrację, kościół i zabobon. Zawsze zastanawiała się, czy aby na pewno Stach miał w tym rację, ale otrzymane od państwa grunty i mieszkanie w pięknej kamienicy, zamienione potem na prywatny domek wybudowany na obrzeżach śródmieścia, rekompensowały wszelkie wątpliwości.

Teraz jednak Stach leżał szpitalu i to nie dawało jej spokoju.

- Boże! Co z nim? Co z tym moim biednym Stasiem? – pytanie to nie opuszczało Janiny.

Wyglądała zabawnie w eleganckim skórzanym płaszczu i modnych pantoflach, na które zmuszona była założyć szpitalne foliowe ochraniacze. O ile w ogóle można wyglądać zabawnie w takiej chwili i w takich okolicznościach. W czystym i świeżo wymalowanym na jasnozielono korytarzu siódmego piętra najlepszej ministerialnej kliniki w regionie, unosił się specyficzny zapach. Jeśli w ogóle tę szpitalną woń można nazwać zapachem. Zdecydowanym, szybkim krokiem podążyła w kierunku dyżurki pielęgniarek, umiejscowionej mniej więcej w połowie korytarza.

- Pani mąż leży w sali, do której nie można wchodzić. Proszę czekać na lekarza. Doktor Zubalski będzie do pół godziny – usłyszała od młodej pielęgniarki o niezbyt miłym wyrazie twarzy.

- Dziękuję pani.

Doktor Zubalski. Doktor Zubalski. Znała skądś to nazwisko, ale na tę chwilę nie mogła sobie przypomnieć skąd. Usiadła na krześle w korytarzu i zaczęła odliczać czas. Ten płynął, jak na złość, niemiłosiernie wolno. Zegar zawieszony na ścianie korytarza tykał tak głośno, że już sama nie wiedziała czy to on bije, czy jej serce. Sekundnik ospale spadał w dół do szóstki, by zaraz potem jeszcze wolniej zacząć się wspinać ku dwunastce. Janina nie mogła opanować nerwów.

Po chwili myślami znalazła się na pięknej nadbałtyckiej plaży, wspominając jak to od czasu do czasu Stach zabierał ją z dziećmi do rządowego ośrodka wczasowego we Władysławowie.

- Boże! Jakim on był czułym mężczyzną i wspinałym ojcem! – westchnęła.

Przypominała sobie, jak bawił się z trójką ich dzieci na plaży. Tak! Wtedy Michała nie

było jeszcze na świecie. Między Michałem a resztą rodzeństwa, była spora różnica wieku. Dziewczynki wprost uwielbiały ojca. Grał z nimi w piłkę plażową bez końca. A Piotruś jak zwykle budował zamki z piasku i rozmaicie wyglądające zwierzęta, przypominające w rzeczywistości smoki albo dinozaury. A wieczorem, gdy dzieci szły spać, zabierał ją na kolacje i romantyczne spacerunki brzegiem morza. Nawet do Sopotu i Gdańska. Stach kochał dzieci! To prawda! Ilekroć któreś zachorowało, załatwiał wizyty u najlepszych specjalistów i potrzebne lekarstwa, często niedostępne w kraju. Zawsze chciał mieć syna i bardzo kochał Piotra. Zwłaszcza, że ten uczył się bardzo dobrze, a dla Stacha głównie to się liczyło. Do czasu, gdy dowiedział się, jaką ich syn wybrał dla siebie przyszłość. Nigdy nie zaakceptował wyboru syna i można powiedzieć, że Piotr swoim kapłaństwem w pewnym sensie złamał ojcu serce.

Jednak ze wszystkich dzieci, najbardziej pokochał Marię, która jako jedyna dała mu wnuka. W zasadzie tylko ona spełniła jego oczekiwania. Studia prawnicze ukończone z wyróżnieniem, szybka aplikacja i etat sędziego w sądzie okręgowym. Zresztą za miesiąc Maria miała przejść do sądu apelacyjnego. Teraz, gdy lewica znów rządziła, Stach wystarał się dla niej o awans, ale zakazał żonie mówić o tym córce. Maria zresztą do dzisiaj nie wiedziała o tym, że w rzeczywistości nie dostała się na studia prawnicze i pewnie nie ukończyłaby ich z wyróżnieniem, gdyby nie ojciec. Pomysł z aplikacją sędziowską także należał do Stacha. Tak, jak kariera najpierw w sądzie rejonowym, a potem w okręgowym. Awans Marii do sądu apelacyjnego miał być ukoronowaniem jego starań o prawniczą karierę córki. Oboje rodzice żalowali, że jak na ironię losu, także Piotr nie związał się z prawem. Stach tak bardzo marzył o tym, by syn został prokuratorem.

W umyśle i sercu Janiny, Stach był wyjątkowym mężem i ojcem. Nie znała drugiego takiego mężczyzny, który tak dbałby o rodzinę jak on. I nie chciała znać. Rozmyślania o Marii skłoniły ją do ponownej próby skontaktowania się z nią. Wybrała numer w komórce i po chwili ponownie tego dnia, usłyszała melodię poczty głosowej. Nie nagrała się. Pomyślała, że Maria i tak odzwoni, gdy będzie mogła.

Tymczasem drzwi korytarza otworzyły się i wszedł przez nie wysoki, szpakowaty, pięćdziesięcioparoletni mężczyzna z kilkudniowym zarostem na twarzy. Jak na swój wiek był szczupły i wciąż mógł podobać się dużo młodszym od siebie kobietom. Zielony uniform i głośne chodaki zdradzały w nim lekarza.

- Doktor Zubalski? – zapytała gdy przechodził obok niej.

- Mariusz Zubalski. Dzień dobry pani Janino. Zubalski sprawiał wrażenie jakby znał ją, jeśli nie dobrze, to przynajmniej na tyle, że ją pamiętał.

- Zapraszam do mojego gabinetu – powiedział uśmiechając się ciepło i prawą dłonią wskazał drzwi, przez które zaraz oboje mieli przejść.

Po chwili, gdy już znaleźli się w środku niewielkiego, ale nowoczesnie urządzonego gabinetu, Janina spytała:

- Czy my się znamy doktorze?

- Pani mnie nie pamięta. Zauważyłem to w korytarzu. Proszę mi wybaczyć. Maria Stemplewska to pani córka, a Tomasz Stemplewski to zięć, prawda? – dodał.

- Tak, odparła mimowolnie Janina. Marysia to moja najstarsza córka.

- Znamy się z Tomaszem i Marysią jeszcze z czasów studenckich – powiedział Zubalski. Z Tomaszem studiowaliśmy razem na uniwersytecie, a Marysię poznałem przez Tomasza. - Czasem bywałem u państwa w domu. Z Tomkiem przyjaźnimy się do dzisiaj. Dzwonił do mnie w sprawie pani męża – dodał.

- O boże! Jakież to szczęście, że na pana trafiłam, mimo że w ogóle pana nie pamiętam – westchnęła Janina. - Co z moim mężem panie doktorze? – zapytała niemal natychmiast. – Jaki jest jego stan? Co mu się stało? – Dlaczego pielęgniarki nie chcą mnie do niego wpuścić? – pytania same się nasuwały i bombardowały lekarza.

- Pani Janino – westchnął Zubalski – stan pani męża jest bardzo poważny. – Właściwie stan pani męża jest krytyczny i bezpośrednio zagraża jego życiu.

Janina zamarła.

- Dzisiaj rano – kontynuował Zubalski – pani mąż doznał ciężkiego i rozległego wylewu. – W takim wieku zazwyczaj tego się nie przeżywa – wypowiedział bez większych emocji lekarz.

Zabawne i jednocześnie przerażające, jak brak emocji jednego z rozmówców może potęgować napięcie emocjonalne drugiej strony. Janina zadrżała.

- Musi być pani dzielna i przygotowana na najgorsze...

Janinie zawalił się w jednej chwili świat....

Siedząc ponownie w korytarzu, kołatały w niej słowa – W takim wieku zazwyczaj się tego nie przeżywa. - W takim wieku zazwyczaj się tego nie przeżywa... - Musi być pani przygotowana na najgorsze... - W takim wieku zazwyczaj się tego nie przeżywa... - Musi być pani przygotowana na najgorsze...

Tykanie zegara korytarzowego doprowadzało ją do szaleństwa... A może to tylko beznamiętnie kołaczące się w niej słowa doktora Zubalskiego... A może to jej serce...

Nie wierzyła w te słowa. Doktor Zubalski, z całym szacunkiem może i serdeczny przyjaciel Tomasza, może doświadczony lekarz, nawet i utytułowany – Janina na identyfikatorze przyczepionym do kieszonki zielonej, szpitalnej bluzy widziała wydrukowany tytuł „dr” przed nazwiskiem – ale przecież mógł źle ocenić sytuację. Mógł niepoprawnie odczytać wyniki. Mógł się zwyczajnie pomylić... Do umysłu Janiny zwyczajnie nie dochodziła wiadomość, że Stanisław umiera. Taka informacja była obca jej percepcji. Była niewyobrażalna... Jako to umiera? Co to znaczy umiera? Kiedy umiera? Teraz? Na pewno nie! Jeszcze nie!

- Pani Walasik? – usłyszała ciepły głos młodej, innej niż poprzednio pielęgniarki, która

wyrwała ją ze wszystkich myśli i na powrót kazała funkcjonować umysłowi wedle ruchów korytarzowego zegara.

– Doktor Zubalski zezwolił na zobaczenie męża. – Proszę. Proszę, może pani pójść ze mną – powiedziała pielęgniarka.

Janina poderwała się energicznie z korytarzowego krzesła i podążyła za młodą, atrakcyjną kobietą. W bladej pościeli leżał Stanisław. W pokoju, poza nim, nie było innych pacjentów. Pokój był jednoosobowy. Janina w duchu dziękowała znajomościom Tomasza i doktorowi Zubalskiemu, który okazał się jednak wielkim przyjacielem rodziny i zapewnił Stachowi te warunki. W pokoju było duszno, wręcz gorąco. Wiosenny dzień ledwo wpuszczał przez przysłonięte żaluzje swe świetne promienie do jego wnętrza. Janina zbliżyła się do metalowego, szpitalnego łóżka, na którym leżał Stach. Wyglądał źle. Właściwie bardzo źle. Był podłączony do jakiejś aparatury i wydawało się, że nie był przytomny. Cały bledy, prawie szarawozielony. Wydawało się też, że leży jakby zapadnięty w szpitalną pościel, która z każdym ciężkim oddechem wciągała go coraz niżej, niżej, niżej... w głąb posłania. Głębiej i głębiej... Bezwład jego ciała sprawiał wrażenie jakby nie żył. Janina pobladła...

Następnego dnia już w godzinach rannych przybiegła czym prędzej do kliniki. Nie spała prawie całą noc. Przewracała się z boku na bok, rozmyślając to o Stachu, to o dzieciach, z którymi jeszcze wczorajszego dnia rozmawiała.

- Oby Piotruś zdążył na czas przyjechać, choć był w tym tygodniu tak zajęty...

Starszy syn był proboszczem parafii w Sandomierzu, młodszy, studiował od wielu lat, tym razem we Wrocławiu. Uważała, że wszyscy powinni stawić się natychmiast w szpitalu u ojca, by uniknąć braku wyrozumiałości ostrych języków otoczenia. Zwłaszcza w ich środowisku, w którym ojciec był niegdyś znaną postacią, a obecnie nadal wpływową. Nic nie było tak istotne dla dobra rodziny, jak dobry, a wręcz nieskazitelny jej wizerunek na zewnątrz. Tylko dobre rodziny mogły funkcjonować w tym świecie. Dyscyplinę i karność wpajała dzieciom od zawsze. Zresztą wpajanie to, zgodne było ze Stasiową doktryną wychowania.

Właściwie, spośród swoich dzieci, Janina mogła liczyć jedynie na Marię. Córka zawsze była pod ręką, będąc ostoją i podporą rodziców. Także i teraz Maria stanęła na wysokości zadania i jeszcze wczoraj odwiedziła ojca. Zresztą podobnie jak i Tomasz, który z racji wykonywanego zawodu i tak nie miał innego wyjścia. Choć kto wie. Nie pracował przecież na oddziale, na którym leżał jego teść. Ba! Nie pracował nawet w tej klinice, gdzie on leżał. Jednak Tomasz rozmówił się ze wszystkimi znajomymi lekarzami w otoczeniu Stacha. Janina bardzo ceniła i szanowała zięcia. Nie zastanawiała się nigdy, czy może tylko dlatego, że był mężem Marii. Teraz to i tak nie miało znaczenia, bo miał dług wdzięczności wobec swoich teściów i może przyszedł czas, by go spłacić.

- Proszę usiąść przy mężu. Istnieje prawdopodobieństwo, że panią słyszy – do Janiny dotarły słowa pielęgniarki, która i dzisiaj przyprowadziła ją do bladożółtego, dusznego pokoju Stacha.

- Jak to słyszy? – zdziwiła się. Przecież wygląda jak... nieprzytomny. W ostatnim ułamku sekundy powstrzymała się przed powiedzeniem, że wygląda jak... nieżywy... że wygląda jak... martwy...

- Wylew skutkuje paraliżem zdolności fizycznych, ale często pozostawia świadomość pacjentowi. Tak więc istnieje prawdopodobieństwo, że pani mąż nas słyszy i rozumie – wyjaśniła jej pielęgniarka.

W Janinie zatliła się iskra nadziei, że Stach jednak nie dokona żywota na tym szpitalnym łóżku. Może jeszcze nie teraz. O ile wczoraj Stach był tak blady, że prawie biały lub szary, to dzisiaj przybrał kolory bladożółtych ścian pokoju, w którym leżał. Oczy miał otwarte. Patrzył na nią. Zdawało się, że dostrzega w tych pięknych, znajomych oczach łzy. Większość wczorajszych maszyn, do których był podłączony, zniknęła.

- Może pani mówić do męża. Może to pomoże mu odzyskać choć trochę świadomości – powiedziała pielęgniarka i wyszła.

Janina nie wiedziała jak ma się zachować. Do tej pory to Stanisław mówił jej co ma robić, jak się zachowywać, jak postąpić. To on nadawał rytm ich wspólnemu życiu i decydował o wielu sprawach w ich małżeństwie. Teraz leżał bezbronny, sparaliżowany w białej pościeli na szpitalnym łóżku i poza mruganiem powiek i smutnym oddechem, nie dawał znaków życia. W pokoju unosił się dziwny, szpitalny zapach. Janina wzięła metalowy, pomalowany na biało taboret i usiadła przy mężu. Zdawało się, że odwrócił lekko głowę w jej stronę i spojrzał na nią. Przeszył ją zimny dreszcz. Zobaczyła w tym wzroku nie tylko cierpienie starego człowieka, ale i strach, smutek, a nawet odrobinę gniewu. A może była to rozpacz. Nie! To tylko jej się zdawało... Janina wystraszyła się.

- Stasiu, Stasiu – powiedziała cicho.

Jej słowa pozostały bez odpowiedzi. Stanisław nie dawał żadnego znaku życia. Zdawało się, że patrzy na nią, ale równocześnie można by powiedzieć, że patrzył gdzieś daleko przed siebie, jakby jego wzrok przesywał jej postać i wychodził daleko, daleko nawet za okno.

- Stasiu, Stasińku – powtórzyła ciepło Janina. – Stasiulku...

Jej słowa w dalszym ciągu pozostawały nie tylko bez odpowiedzi, ale i bez żadnej reakcji męża.

- Boże! Co się stało! Co się stało... – jej słowom zaczęły towarzyszyć słone łzy płynące mimowolnie po poranych zmarszczkami policzkach.

Dotarło do niej, że Stanisław może nigdy w życiu już jej nie usłyszy. Lekarze nie

rokowali dobrze jego zdrowiu. Wiek męża oraz skutki rozległego wylewu krwi do mózgu, stanowiły poważne zagrożenie dla jego życia. W uszach wciąż słyszała wczorajsze słowa doktora Zubalskiego:

- Pani Janino, proszę być gotową na pożegnanie męża...

Janina zaczęła rozmyślać, od czasu do czasu wzdychając i wydając ciche „Oj Stasiu, Stasiu”... Zdała sobie sprawę z tego, że było jeszcze tyle rzeczy, które chciała mu powiedzieć, przekazać. Było jeszcze tyle spraw, które powinni razem omówić. Dlaczego Stach teraz ma odchodzić? Dlaczego właśnie teraz, kiedy jeszcze tyle spraw nie zostało zakończonych...

- Stasiu, tyle... chciałabym Ci powiedzieć – westchnęła...

Pielęgniarka co prawda nakłaniała ją do tego, by mówiła do męża, bo może ją usłyszy, ale Janina nie miała odwagi. Wydawało jej się, że to, tak jakby mówić do siebie, do pustych ścian i jedynie pochyliła się nad mężem i pocałowała go w policzek. Ujęła jego dłoń i ścisnęła lekko. Była ciepła, ale prawie bezwładna i pachnąca niemiłym zapachem szpitala. Nie odpowiedziała jej wzajemnym uściskiem. Janina rozplakała się...

W głowie kołatały jej się myśli, których nie potrafiła wypowiedzieć... Zwłaszcza teraz... Myślała o tym, że dzieci tak bardzo potrzebują ojca. Marysia będzie awansować, Gabrysia (sama nie pamiętała, kiedy ostatnio użyła tego zdrobnienia wobec młodszej córki) dopiero co wyszła za swojego trzeciego męża. A z Piotrusiem należało się Stachowi pogodzić. No i z Michasiem. On jeszcze taki młody, potrzebuje ojca, bo ciągle błądzi – zdawała się przedstawiać w myślach racjonalne argumenty, uzasadniające potrzebę życia Stanisława. Tak jakby chciała go przekonać, że nie czas odchodzić. Nie czas umierać... W końcu przemogła się i rzekła do niego, choć zupełnie nie to co chciała...

- Wiesz, Tomasz załatwił Ci najlepsze miejsce w tym szpitalu. On naprawdę jest dobry. To dobrze, że Marysia trafiła na niego – rzuciła.

Chyba nie potrafiła mu powiedzieć tego, o czym przed chwilą rozmyślała... Nie... To nie takie proste mówić do człowieka, z którym przeżyło się prawie całe życie, o tym czego on wcale nie chciał słyszeć... zwłaszcza w obliczu śmierci... Słowa o załatwionym miejscu w szpitalu, były chyba wszystkim, na co było ją w tej chwili stać.

Nie pamiętała kiedy tak intensywnie rozmyślała o sprawach rodziny. Właściwie chyba nigdy nie była tak otwarta w swych spostrzeżeniach. Tak! Nigdy nie odważyła się tak szczerze rozmawiać ze Stanisławem, jak teraz w myślach. Uświadomiła sobie, że przez tyle wspólnych lat właściwie nie rozmawiała z nim szczerze, mimo, że byli ze sobą tak szczęśliwi.

Ponownie westchnęła... Jednak nie miała odwagi już nic powiedzieć. Spuściła oczy i na sercu zrobiło jej się ciężko. Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby właśnie do niego miała pretensje, że nie może jej odpowiedzieć, a może nawet i usłyszeć. Leżał nieruchomo i wpatrywał się w nią.

Zacząła rozmyślać o tym, że Maria nie jest córką Stacha! Tak! Twoje najbardziej

ukochane dziecko nie jest Twoje! – rozmyślała, wpatrując się niemo w bezwład jego ciała. Nigdy mu tego nie zdradziła i sama nie wiedziała dlaczego teraz myśli o tym wróciły. Była zła na siebie, że nigdy nie wyjawiała mu prawdy. Teraz, gdy Stanisław leżał na łożu śmierci, być może było nieco za późno. Na pewno było za późno! Przecież jej nie wybaczy. Nawet nic nie powie. Nikt nie znał tej tajemnicy, poza nią samą. Ani Stach nie wiedział, ani Maria nie wiedziała, ani nawet biologiczny ojciec Marii nie wiedział.

Zaczęła wspominać jak po wojnie przyjechali do Krakowa i musieli dzielić mieszkanie z austriacką rodziną Tammów.

- Oni na lewo, my na prawo. Z początku wrogość, z czasem wspólnie spędzane chwile – rozmyślała milcząc.

Wspominała najstarszego syna Tammów, Güntera, który cudem przeżył wojnę jako żołnierz Wehrmachtu i ukrywał się długi czas na strychu kamienicy, w której przyszło po wojnie mieszkać Walasikom. Rozpamiętywała, jak pomagała rodzinie Tammów w ukrywaniu go do momentu, aż Tammowie wyjechali do Wiednia. O tym, że Stach o niczym nie wiedział, bo wszyscy bali się, że doniesie na Güntera.

Janina załkała i na chwilę skryła twarz w swych dłoniach. Wspomniała swoją największą zdradę, której efektem była ciąża z żołnierzem niemieckim. Rozmyślała... Gdy Stach – dostojnik socjalistycznego miasta – wiecznie był zajęty sprawami państwa w miejscowym politbiurze, ona pomagała Tammom przy pracach domowych. W końcu byli poprzednimi właścicielami kamienicy, którą na własność przejęło państwo polskie. Zaprzyjaźnili się mimo różnic ideologicznych. No i stało się! Zdradziła go z wrogiem narodu!

- Zdradziłam Cię z hitlerowskim najeźdźcą! Zdradziłam Cię z Niemcem, czy tam Austriakiem! Dobrowolnie! – rozmyślała wpatrując się w żółte ściany... Rozmyślała jak nie mogła oprzeć się przystojnemu, błękitnookiemu młodzieńcowi, który po przegranej wojnie patrzył na nią takim żałośnie smutnym wzrokiem na tym marnym strychu. W końcu cichutko westchnęła.

- Tak. To on jest jej ojcem...

W tym momencie do szpitalnego pokoju weszła Maria...

2. Maria

Wiosenne słońce pięknym, szerokim strumieniem wlewało się do obszernego pokoju, położonego na drugim piętrze, niedawno gruntownie wyremontowanego, poaustriackiego budynku, w którym w czasie wojny mieściła się siedziba Gestapo, a jeszcze przed wojną żydowskie gimnazjum męskie. Maria jednak tego dnia nie myślała ani o żydowskich chłopcach uczących się w tym budynku greki, łaciny, jidysz, arytmetyki, geografii czy może algebry, ani także o ich starych nauczycielach, z których niejeden wykładał później na uniwersytecie w stolicy Generalnego Gubernatorstwa – Krakau. Myśli Marii dalekie też były od oficerów Gestapo, odzianych w skórzane, czarne płaszcze i wysokie skórzane buty, którzy zamordowali w piwnicy tego budynku niejednego więźnia, a jeszcze więcej z nich mocno pobili. Nie myślała nawet o radzieckich żołnierzach, którzy po wojnie na jakiś czas zajęli budynek, w którym przyszło jej teraz pracować, uprzednio totalnie go demolując i bezmyślnie niszcząc wszystko, co wpadło im w sowieckie łapy. Bez względu na to, czy niszczone przez nich rzecz przedstawiała jakąś wartość, czy też nie. A i morderstwa nie były im obce.

Myśli Marii krążyły tego pięknego dnia wokół awansu, który ją spotkał i wokół wyzwań, które od początku przyszłego miesiąca miały na nią czekać. Tego przedpołudnia, w zaciszu swego wygodnego gabinetu wiceprezesa sądu okręgowego, rozmyślała również o mecenasie Rostkowskim i o kazusie głównego księgowego jednej ze spółek należących do Skarbu Państwa. Sprawa była bardzo poważna, bowiem sąd pierwszej instancji uznał głównego księgowego winnym malwersacji finansowych w przedsiębiorstwie i wymierzył mu karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Uważała, że skazanie to było słuszne, bo znała sędziego Józefowskiego, który orzekał w rejonie i dobrze wiedziała, że ten stary dziad, nie mając co robić, bardzo mocno zagłębiał się w akta i z reguły rozstrzygał sprawiedliwie. Pogрузyła się w zadumie, jako że miała przewodniczyć składowi sędziowskiemu orzekającemu w tym postępowaniu w drugiej instancji i z właściwym sobie stoickim spokojem oczekiwała zapowiedzianego mecenasa. Ze sprawą tą wiązała niemałe nadzieje.

Jej myśli nie przestawały krążyć wokół awansu. Wahala się, czy dobrze robi odchodząc do sądu apelacyjnego, czy nie rzuca się na zbyt wymagające stanowisko. W końcu nieźle się urządziła w okręgowce. Prezes zajęty kłopotami rodzinnymi, od lat zostawiał jej wolną rękę w wielu sprawach. Cieszyła się jego zaufaniem i coraz śmieiej korzystała z tej swobody. Czy jednak sąd apelacyjny nie pokrzyżuje jej życia?

Zadawała sobie pytanie, czy otoczenie właśnie tego od niej nie oczekiwało? Tomasz, syn, rodzice... Wszyscy oni widzieli ją w wyższej instancji, orzekającą w dużo poważniejszych sprawach, a przede wszystkim jako współkierującą sądem apelacyjnym. Zwłaszcza ojciec wiązał z tym duże nadzieje. Nie mogła go zawieść. Zauważyła, że swoim awansem mocno mu zaimponowała. Czuła, że był z niej dumny. Jej kariera prawnika była realizacją jego marzeń, tym istotniejszą, że jedyną po wyborze życiowym Piotra. Zresztą Maria też siebie nieskromnie widziała w sądzie apelacyjnym. Przecież była mądrą kobietą, jak mniemała.

Myślała, jakby to było pięknie jeździć do nowej pracy nowym samochodem. Dwuletnia toyota yaris może dobra była dla sędziego sądu okręgowego, ale na pewno nie dla wiceprzewodniczącego sądu apelacyjnego. Marzyła o ciemnoniebieskim Chryslerze PT Cruiserze. Nie знаła technicznych parametrów tego wozu. Po prostu był ładny i sądziła, że pasowałby do jej stylu. Przydałyby jej się także jakieś nowe kostiumy i garsonki. O butach nawet nie chciała myśleć. Choć wydawała na nie i tak zbyt dużo, zawsze uważała, że mogłaby mieć ich więcej. Wychodziła z założenia, że skoro musi zakładać na czas rozpraw tę obrzydliwą czarno-burą togę, przynajmniej buty powinna mieć z najwyższej półki. Bo w sumie tylko je było widać. A i to nie zawsze. Coś jej się w końcu od życia należało.

Westchnęła. Zaczęła także rozważać, czy jej perfumy Diora Addict Shine, nie są zbyt pospolite i pretensjonalne dla wyższej instancji. Związana była z nimi i kilkoma innymi zapachami od jakiegoś czasu, ale czy nie powinna ich zamienić na coś z wyższej półki? Nie znajdowała wciąż odpowiedzi na to pytanie. Postanowiła rozejrzeć się za czymś droższym. Może jakaś Chanel! To brzmi dumnie! Za pół roku przyjdzie zima i trzeba by sprawić sobie nowe płaszcze, kożuski i futerka. W tych starych z okręgu na pewno nie wypadało paradować w nowym miejscu. Sędziny z apelacyjnego na pewno by z niej drwiły. Zamyśliła się nad strojami zimowymi i poważnie zmartwiła. Zaczęła się zastanawiać czy trzydzieści tysięcy na pewno spełni choć część jej zachcianek. Oczywiście nie wliczała w to nowego samochodu.

- Dzień dobry pani sędzio! – z garderobianej zadumy wyrwał ją Rostkowski, głośno pukając do drzwi gabinetu i wchodząc z charakterystycznym sobie impetem, nie czekając wcale na jej zaproszenie.

- Witam najskuteczniejszego w okręgu adwokata – ze sztucznym uśmiechem rzuciła w stronę Rostkowskiego, nie zdając sobie w ogóle sprawy ze swej hipokryzji. – Jak się pan miewa mecenasie? – dodała.

Uważała Rostkowskiego za niezbyt mądrego, ale za to super cwanego i sprytnego lisa, który swą przebiegłością i rozlicznymi znajomościami potrafił wygrać już niejedną sprawę. W duchu czuła przed nim respekt, choć nigdy nie przyznałaby się sama przed sobą do tego. Może nawet trochę się go obawiała. A może po prostu zbyt dobrze go знаła.

- Jak zwykle pani sędzia wygląda olśniewająco – rzucił kłamliwie adwokat, starając się jednocześnie zabić swe myśli o mocno przetłuszczonych bocznych Stemplewskiej, komponujących się z obwisłym brzuchem i kołkowatymi nogami, zawdzięczającymi swój kształt pewnie nieleczonemu od lat ciśnieniu, wbitymi w pantofle dla młodych dziewcząt, których niezmierną ilość zdejmował z damskich stóp. Następnie skupił się na obwisłych ramionach, latem prezentowanych przez nią w lnianych kubraczkach, isticie dla młodych niewiast, ale na pewno nie dla niej samej i rzucił okiem na zmarszczki wokół jej lisich oczu i wąskich ust oraz fryzurę starej baby, po czym całą swą mocą wysilił się na sztuczny, równie jak jego szczeka – uśmiech. Podniósł wzrok, jakby chciał uciec od wyobrażenia rzeczywistego wyglądu Marii i zatrzymał go chwilowo na godle wiszącym nad nią, na którym również zamiast dumnego orła zobaczył nierówno upierzonego kurczaka. Uśmiechnął się.

Maria spojrzała na niego z umiarkowaną wdzięcznością z za dobrze utrzymanego ponemieckiego biurka, za którym mógł zasiadać niegdyś blond włosy oficer Gestapo i również

nieszczercze jak on, uśmiechnęła się.

- Jak zawsze pan mecenas szarmancki. - Ale z pewnością nie zjawił się pan u mnie, by prawić mi komplementy – rzekła stanowczo Maria i wbijającym w ziemię, charakterystycznym dla siebie wzrokiem spojrzała na Rostkowskiego, po czym zaprosiła go, by usiadł.

Mecenas nerwowo szarpnął stylowe krzesło, usiadł na wprost Marii i kontynuując tę nudną grę słowną, bardziej sztucznie niż wytwornie powiedział:

- Pani sędzio, w imieniu swoim i mojej małżonki, zapraszam panią i pana Tomasza na kolację w kameralnym gronie u nas w domu w najbliższy piątek. Moja żona bardzo nalegała, by państwa poznać – dodał, mając w myślach przedwczorajszą scenę, kiedy to musiał swej trzeciej, młodszej od siebie o ponad dwadzieścia lat żonie, obiecać luksusowe zakupy w Mediolanie, by tylko zgodziła się na tę więcej, niż nieco udawaną kolację ze Stemplewskimi. Gdyby Ci rzeczywiście zechcieli przyjść. W duchu jednocześnie klął na czym świat stoi, że sprawa księgowego Mysiora będzie go kosztowała majątek.

- O! Co za niespodzianka panie mecenasie! Dziękuję bardzo! Jest mi bardzo miło – odparła szybko i dodała – Nie chcielibyśmy jednak z mężem robić państwu kłopotu – w myślach szukała argumentów, jakby się z tej imprezy wywinąć. Nie po to spotkała się z Rostkowskim, by dać się zaprosić na jakąś pseudokolację z tą wredną Alicją, jego żonką, należąca do tych kobiet, którym zazdrości się wszystkiego, za wyjątkiem podstarzałego męża.

- To żaden kłopot! Zresztą wszystko z żoną już uzgodniliśmy! Będzie nam naprawdę miło – dodał, wygrzebując z pięknej, skórzanej teczki zaproszenie, zapakowane w bładożółtą, karbowaną i nienaturalnie grubą kopertę.

Położył ją na śliskim blacie biurka i przesunął delikatnie w stronę sędzi. Gdyby nie błysk wilczych oczu, można by pomyśleć, że starał się zrobić minę umyślowo upośledzonego niewiniątka. A może tylko w ten sposób błagał, by zaproszenie – w przeciwieństwie do szybko przechwyconej przez Stemplewską koperty – nie zostało przyjęte.

Gdy Maria pośpiesznie liczyła dwusetki z tej rozchylonej, żółtej koperty, zadzwonił jej telefon komórkowy. Mimowolnie spojrzała na wyświetlacz, w którym ujrzała numer swoich rodziców i postanowiła nie odbierać. Zapewne ojciec chciał umówić się z Tomaszem na szachy, albo matka dopytać, co powinna ugotować na cotygodniowy, niedzielny obiad, który już niestety na stałe zagościł w kanonie ich rodzinnych rytuałów. Doliczywszy się siedemdziesiątego piątego banknotu podniosła surowy wzrok na mecenasa. W jej spojrzeniu, pełnym nienawiści kotłowały się gniewne pytania.

- Co? Dlaczego? Jako to?

Ten widząc jej niepokój uśmiechnął się, tym razem szczerze, choć wcale nie przyjaźnie i rzekł spokojnie:

- Pani sędzia poznała mnie w całej krasie, a drugą moją połowę pozna pani wkrótce! – sam zachwycił się mówiąc niby o żonie, która rzekomo przygotowywała się do wspólnej kolacji

ze Stemplewskimi, a w rzeczywistości mając na myśli zawartość karbowanej koperty, a w niej obiecaną połowę.

Nie przypuszczał jednak, że Stemplewska poznała już Alicję poprzez swą cwana przyjaciółkę i wiedziała o niej wiele. Bardzo wiele. Na pewno więcej niż Rostkowski przypuszczał i jeszcze więcej niż chciałby, by ktokolwiek o jego żonie wiedział. A może nawet więcej, niż on sam wiedział.

Maria wpadła w konsternację i nie w głowie była jej w tej chwili Alicja. Nie wiedziała, czy nie zażądać od Rostkowskiego, jak zwykle, drugiej połowy umówionej kwoty od razu, ale bała się, że ten w ogóle zrezygnuje z tego interesu. Ostatecznie sprawa nie była taka ważna, a pieniądze, które zaproponowała za uchylenie nie były takie małe. Przemknęło jej przez myśl, że skoro Rostkowskiemu tak zależy na rozstrzygnięciu, sprawa musi być dla niego bardzo istotna. Jednak nie widziała w niej niczego wielkiego. Ot zwykła kreatywna księgowość.

Adwokat jednak wiedział, że ma Stemplewską w garści z uwagi na awans, o którym grzmiały już wszystkie prawnicze plotkary. Czuł, że zdaje sobie sprawę z tego, jak niezły jest to dla niej interes. Zagrał jednak vabank i nie miał opracowanego planu awaryjnego na wypadek, gdyby Stemplewska nie zgodziła się podzielić umówionej kwoty na dwie transze. Do tej pory cała suma wręczana była sędziemu przed wyrokiem. Taki był zwyczaj w tym sądzie, wypracowany już od dziesiątek lat i nikt jeszcze nie zdołał go złamać. Podwyższenie, w razie czego, umówionej kwoty było nieco ograniczone, gdyż zażądał od prezesa Skorupskiego aż 50 tysięcy złotych, ale sprawa była przecież wyjątkowa. Uważał, że dwadzieścia tysięcy z prowizji to bardzo dobra cena i jednocześnie nie zamierzał z niej dokładać Stemplewskiej. W końcu on też ponosił jakieś ryzyko. Nie wiedział jednak ile prezes Skorupski zażądał od księgowego Mysiora za pomyślnie załatwienie sprawy. Podejrzał, że było to o parę dych więcej. Nie mylił się. Jednak nie docenił Skorupskiego. Gdyby wiedział, że Mysior dał prezesowi sto tysięcy, wściekłby się, bo to oznaczało, że prezesik zarobił 50 kawałków na czysto. Jednak nie wiedział o tym... Uśmiechnął się więc do Marii i powiedział:

- Cieszę się, że pani sędzia wyraziła zgodę na nasze kolejne spotkanie – orzekł sztucznie, by ta właściwie zrozumiała jego słowa i broń boże nie skorzystała z zaproszenia na piątek.

Maria zaczęła się zastanawiać, czy Rostkowski zamierzał dać jej drugą część kasy na tej kolacji, na którą ją tak bardzo zapraszał i czy rzeczywiście nie powinni z Tomaszem skorzystać z zaproszenia. Ostatnio rzadko gdzieś razem bywali. Jednak Rostkowski, jakby ubiegając jej myśli, orzekł:

- Mam nadzieję, że pani sędzia zechce mnie gościć u siebie w gabinecie, zaraz po przyszlotygodniowej rozprawie?

Wtedy Maria zrozumiała, że druga transza pieniędzy pojawi się po rozstrzygnięciu braku winy księgowego Mysiora. Nie wiedziała jednakże skąd ta nadzwyczajna ostrożność. Choć z drugiej strony rzadko brała aż taką kasę. Cwany lis z tego Rostkowskiego – pomyślała i dodała:

- Moj gabinet zawsze był, jest i pozostanie otwarty dla tak szlachetnego człowieka jak pan... - sztuczny uśmiech nie schodził z jej twarzy.

Zawahała się czy wobec tej kanalii może użyć określenia „szlachetny”, bo przecież gdyby był prawdziwie szlachetny, dałby jej całe trzydzieści tysięcy teraz. Dzisiaj. Od razu. Ale nie! Rostkowski na pewno nie był szlachetny dzieląc wynagrodzenie na pół i dając w ten sposób wyraz swojemu braku zaufania do niej. Pies przeklęty – dumiała Maria, zaczynając zastanawiać się, dlaczego sprawa Mysiora jest tak ważna. Och, gdyby tylko znała się na rachunkowości, która była kluczem w tej sprawie, na pewno doszłaby do prawdy.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia – odsapnął tymczasem mecenas, wyrrywając ją z zadumy.

Sprawa była zamknięta. Przynajmniej na ten moment. Rostkowski wstał, bojąc się, by Maria czasem nie kontynuowała wątku piątkowego przyjęcia u niego w domu. Pożegnał się, uklonił i westchnął. Czuł, że mimo wszystko, zakupy w Mediolanie nie ominą jego karty kredytowej. Alicja przecież już i tak zarezerwowała lot i weekendowy pobyt w hotelu. I to niestety nie najtańszym. Nie dawała mu też spokoju kwota, jaką prezes Skorupski wyszarpał od księgowego Mysiora. Może powinni wziąć więcej? Kto wie, co ten Mysior nawywił w tych księgach. Rostkowski nie znał się na rachunkowości, ale miał podejrzenie, że sprawa jest poważna. Rzucił ostatnie spojrzenie na Marię, która zdawała się myśleć o tym samym, co on i wyszedł.

Gdyby oboje wiedzieli, że Skorupski wyszarpał od Mysiora sto kawałków, zasmuciliby się z pewnością. Gdyby jednak cała ich trójka wiedziała o tym, że Mysior gotów był dać dwa razy więcej, byle tylko już nikt nie grzebał w księgach przedsiębiorstwa, w którym był głównym księgowym i by nie dogrzebał się dużo poważniejszych grzechów, z pewnością wpadliby w furję. Nie wiedzieli jednak ani tego, ani tego, że przedsiębiorstwo, w której Mysior był głównym księgowym, stało u progu prywatyzacji i musiało stracić poważnie na wartości. Marne sto kawałków było w tej sprawie bardzo lichą kwotą. Prawda była taka, że dzięki zabiegom księgowym w upadającym przedsiębiorstwie państwowym, na kontaktach szwajcarskich i Mysior i Skorupski odłożyli już po ponad 1,5 miliona złotych dla każdego. Jeden i drugi bali się także, że to kompan pęknie i zacnie sypać. Mysior jednak zachował zimną krew i zdecydował się skorumpować kogo się da, rzekomo pokrywając koszty z własnej części wyprowadzonych pieniędzy. Rzekomo, bowiem kwotę stu tysięcy i tak potrafił sobie z części Skorupskiego, który przecież nie znał się na księgowości...

Gdy tylko zamknęły się drzwi za mecenasem, Maria wyjęła żółtą kopertę, odwróciła się w stronę okna na okręcanym fotelu biurowym i ponownie zabrała się za liczenie pieniędzy. Ułożonych równiutko siedemdziesiąt pięć banknotów dwustuzłotowych wprawiło ją w dobry humor. Razem z drugą transzą będzie na wyprawkę do nowej pracy. Cała kasa dla niej. Pozostała dwójka sędziów o sprawie nic nie wiedziała, więc i tak orzekną według jej woli. Spojrzała przez wysokie okno na błękitne niebo i zamyśliła się. Myślała o zakupach, na które wybierze się zaraz po przyszlotygodniowej rozprawie. Wyda wszystko. Może namówi Sabinę, by jej towarzyszyła. Za nowy samochód zapłaci jej Tomasz. Trudno! W końcu on nieźle zarabia. Na pewno w swoim doktorskim pokoju ciągle bierze jakieś łapówki – zdawała się myśleć i usprawiedliwiać w ten sposób samą siebie. Zresztą kto dziś normalny nie bierze? W końcu to państwo prawa. Przepisów jest tyle, że tylko pierwiastek finansowy może przedrzeć się przez ich gąszcz. A przynajmniej może w tym dopomóc...

Myśli o nowej torebce przerwał dzwoniący telefon, co wprawiło ją w złość. Nie chciała odrywać się teraz od pięknych myśli i postanowiła nie odbierać, w związku z czym, w ogóle nie sprawdziła, kto usiłuje się z nią skontaktować. Oddała się błogiej kontemplacji. Chciała odpocząć przed kolejną rozprawą, na którą za niespełna piętnaście minut miała się udać. Powinna była coś jeszcze sprawdzić przed jej rozpoczęciem, coś wyszukać w aktach sprawy, ale chwilowo wyleciało jej z głowy, co. Najwyżej wezwie jakiegoś nowego świadka i odroczy termin rozprawy na kiedyś tam, jeśli nie będzie mogła pozbierać myśli. A może uda się wydać wyrok bez tego drobiazgu? Któż to wie. Nie można ferować wyroków przed zamknięciem przewodu sądowego. Tak po prostu się nie robi – pomyślała z niesmakiem. W końcu kto jak kto, ale ona jest nie tylko kobietą z klasą, ale sędzią z zasadami. Uśmiechnęła się do siebie, bo żaden inny, według niej trafny, komplement, nie wprawił jej w tak dobry humor. Dlatego też sprawiała go sobie od czasu do czasu sama.

Po rozprawie wróciła wściekła. Nerwowo zdejmując tokę i klnąc pod nosem, rozmyślała o bezczelności oskarżonego. Oj ona mu wymierzy karę! Niech no tylko prokurator zgromadzi cały materiał! Niech no tylko sprawa zmierzy ku końcowi! Niech no tylko doczeka ostatniej rozprawy! Ona mu pokaże! Nie będzie tolerowała takiej bezczelności i impertynencji. Do tego tych dwóch gamoni – sędziów towarzyszących – tylko się uśmiechało. Tego już za wiele.

- Wsadzę tego łachudrę na kilka ładnych lat za kraty! – złośliwie rzuciła sama do siebie. – Już ja go dorwę!

Nie przestawała myśleć o dzisiejszej rozprawie nawet w samochodzie. Buta oskarżonego przyćmiła nawet wizytę Rostkowskiego. A propos! Postanowiła jeszcze raz przeliczyć pieniądze, by po powrocie do domu schować je natychmiast w wiadomej tylko sobie skrytce. Chciała zdążyć przed powrotem Tomasza. Spojrzała na wyjęty z czarnej, skórzanej torebki telefon i przypomniała sobie, że nie odzwoniła do rodziców, którzy przed południem usiłowali się z nią skontaktować. Zobaczyła, że ich numer wyświetlił się jeszcze dwukrotnie tego dnia, a na domiar złego próbowała się z nią skontaktować Gabriela. To dziwne, pomyślała.

Z Gabrielą, od jakiegoś czasu miała nieco lepszy, niż przed laty kontakt. Właściwie od czasu, gdy Gabriela poznała swego trzeciego męża Darka, doradcę podatkowego, znanego w środowisku miejscowych prawników. Dzięki temu spotykały się ostatnio nieco częściej. Wydawało się, że ciężkie czasy na zawsze między nimi minęły i sprawa z Januszem – pierwszym mężem Gabrieli i jednocześnie pierwszym poważnym narzeczoną Marii, którego w czasach studiów odbiła jej właśnie Gabriela, na długo rzucając się cieniem na ich siostrzanych stosunkach – została zapomniana. Maria jednak nie chwaliła się na temat kontaktów z siostrą, wiedząc, że ta ma z matką napięte stosunki i nie chcąc w ten sposób popsuć swoich. Wiedziała także, że Gabriela ma świetny kontakt z ojcem, który wspomagał ją od lat, o czym też nie ważyła się wspomnieć. Ten przecież ukrywał przed matką swe dobre relacje z Gabrielą. Nie wiedziała jednak dlaczego, choć nie raz zastanawiała się nad tym. Mimo wszystko źle oceniała swoje relacje z Gabrielą. Nie знаła całej prawdy. Jednak nie czas był teraz na rozmyślenia o rodzeństwie. Postanowiła oddzwonić najpierw do rodziców i dowiedzieć się, czemu dzwonili do niej przez pół dnia. Odebrała zapłakana matka.

Już po chwili Maria pędziła co sił do szpitala. – Co się stało ojcu? - ta myśl nie

opuszczała jej ani na chwilę. W zasadzie niczego nie dowiedziała się od matki, która przez całą rozmowę łkała. Nie wiedziała, czy najpierw powinna jechać do domu rodzinnego, czy prosto do szpitala. Zdecydowała się na szpital, upewniwszy się, że koperta jest bezpiecznie zamknięta w bocznej kieszonce wewnątrz torebki. Podejrzewała, że od matki i tak niczego się nie dowie, a w szpitalu może spotkać Tomasza, który nie odbierał od niej telefonu. Matka wspominała o nim i być może zastanie go przy ojcu. Próbowwała także skontaktować się z Gabrielą. Bez skutku.

Myślała o tym, że to nie czas na to, by mogła stracić ojca. Co prawda miał on już grubo ponad osiemdziesiątkę, ale nie dopuszczała myśli, że teraz, kiedy realizował się jej awans, miałyby go stracić. Przecież był tak z niej dumny. Była taka szczęśliwa, gdy obwieściła mu kilka tygodni temu propozycję przejścia do sądu apelacyjnego i to na stanowisko wiceprezesa sądu. Wiedziała wtedy, że ojczulek będzie szczęśliwy i dumny z jej szczęścia, tak samo jak ona sama. Był przecież wspaniałym doradcą. Cieszyła się, że spełniła niegdyś jego życzenie, ukończyła prawo i postawiła na karierę sędziego. Widziała dumę w ojcowskich oczach, pojawiającą się przy okazji każdego jej zawodowego sukcesu. Wydawało się, że łączy ich specjalna nić porozumienia, która wręcz sprawiała, że był on dla niej najważniejszym mężczyzną w życiu. Dlatego i teraz pragnęła zaimponować staremu ojcu swym kolejnym awansem w pracy, na który przecież ciężko pracowała przez tyle lat. Po prostu nie mógł nie doczekać kolejnego szczebla w jej karierze. Tego by mu nie wybaczyła.

Nie myliła się. W szpitalu, trzymając mocno swą torebkę, wpadła na Tomasza idącego korytarzem w towarzystwie doktora Mariusza Zubalskiego. Mimo napięcia, Maria myślała o tym, że Zubalski świetnie wygląda na swoje lata. Zdecydowanie lepiej od Tomasza, choć byli rówieśnikami. Wysoki, szpakowaty, zadbane pięćdziesięcioparoletni pan, zrobił na Marii bardzo dobre wrażenie. Pomyślała, że chętnie poszłaby z nim do łóżka.

Stary przyjaciel ze studiów zaprosił Marię i Tomasza do swojego wygodnego gabinetu. Gabinet nie był ani duży, ani urządzone z przepychem, ale dało się zauważyć modne, drogie meble, które z pewnością najdalej w zeszłym roku zostały wymienione. Pokój był świeżo odmalowany i sprawiał wrażenie raczej gabinetu wyższego urzędnika bankowego, niż lekarza. Maria zaczęła się zastanawiać, czy w tym pokoju przyjmowani się także członkowie rodzin zwykłych pacjentów, o ile tacy w ogóle w szpitalu rządowym bywają. Zubalski był ordynatorem oddziału i widać bardzo zaradnym człowiekiem. To imponowało Marii. Na ścianie po lewej stronie wisiał zimowy pejzaż z pędzącymi końmi. Obraz pięknie rozświetlały gustownie dobrane kinkiety. Siadając, Maria na drewnianym, starym biurku dostrzegła zdjęcie rodzinne, na którym Zubalski na tle Morskiego Oka czule obejmował swoją drugą żonę, jakieś piętnaście, może osiemnaście lat od niego młodszą oraz kilkuletnią córkę, która mogłaby być jego wnuczką. Na drugiej fotografii Maria poznała Błażeja, syna Zubalskiego z pierwszego małżeństwa, które rozpadło się parę lat po jego zawarciu, gdy Błażej był jeszcze w wieku przedszkolnym. No cóż! O słabości Mariusza do młodych pielęgniarek wiedziała nawet Maria. Wiedziała też Lena, pierwsza żona Zubalskiego, która dzielnie niosła swój krzyż, dopóki nie przyłapała swego ślubnego z dwiema dziewczętami w ich letnim domku pod Poroninem. Echa tej sprawy obiegły całe środowisko. Na fotografii Błażej w lekarskim fartuchu i dyplomem w ręku wyglądał na inteligentnego, choć Maria zapamiętała go jako nieznośnego urwisa, z czasów, gdy z Zubalskimi utrzymywali intensywniejsze stosunki towarzyskie. Miała ochotę opowiedzieć, że także ich syn Mikołaj skończył studia i jako młody ekonomista, objął stanowisko zastępcy oddziału jednego z najpoważniejszych banków w mieście. Oczywiście nie zamierzając wspominać, ile ich to

stanowisko kosztowało. Powstrzymała się jednak od tych opowieści, przypominając sobie w ostatniej chwili cel spotkania i powagę sytuacji.

Rozsiedli się w wygodnych krzesłach, gdy bez ukrywania czegokolwiek, Zubalski zaczął mówić o stanie zdrowia ojca Marii.

- Kochani! Nie będę was okłamywał. Stan Waszego ojca jest bardzo poważny – westchnął i zerknął na Tomasza przepraszająco, zdając sobie sprawę z tego, że przecież mówi do lekarza. Postanowił jednak kontynuować w tym tonie, mając na względzie Marię.

- Pan Walasik przeszedł rozległy wylew, który wywołał paraliż i realnie zagraża jego życiu. - Właściwie, biorąc pod uwagę jego wiek, można mówić tylko o ... powolnym odchodzeniu.

Chciał powiedzieć „umieraniu”, ale zdał sobie sprawę z tego, że słowo to może zostać źle przyjęte przez Marię. Kobieta była dostatecznie przerażona, a nawet chwilami nieobecna, co Zubalski wywnioskował po jej tępym wpatrywaniu się w fotografię na jego biurku. Zrobiło mu się jej żal, ale nie miał zamiaru ani okłamywać Marii, ani bezdusznie katować jej brutalną prawdą. I tak powstrzymał się przed nią od stwierdzenia, którego już nie oszczędził wcześniej Tomaszowi, że wątpi, by stary Walasik przeżył nadchodzącą noc. Nie podejrzewał, jak bardzo się myli.

Maria, mimo zręcznych zabiegów językowych Zubalskiego, przeraziła się... Ocknęła się dopiero na korytarzu. Młoda pielęgniarka prowadziła ją do pokoju ojca. Tomasz został w gabinecie Mariusza. Cieszyła się z tego, bowiem postanowiła pożegnać się z ojcem. Właściwie Mariusz nie dawał złudzeń. Ojciec umierał.

- Teraz! Właśnie teraz, gdy awansuję! – rzuciła do siebie.

Weszły do bladożółtego, dusznego pokoju, w którym ojciec leżał nieruchomo przy oknie. Poza nim, w pokoju nie było innych pacjentów, co Marię zdziwiło tylko początkowo, bowiem zaraz uświadomiła sobie, że Tomasz musiał uruchomić wszelkie kontakty, nie tylko poprzez Mariusza. Nie myliła się. Pielęgniarka powiedziała, że matka opuściła szpital jakieś pół godziny temu. Ojciec leżał w pościeli, tak jakby się w nią zapadł. Wyglądał strasznie. Był przeraźliwie blady, wręcz nienaturalnie. Tak naprawdę wyglądał jakby nie żył. Był podłączony do niezliczonej ilości sprzętu elektronicznego, który przerażał Marię. Gdyby nie praca tych wszystkich urządzeń, Maria myślałaby, że nie żyje. Pielęgniarka poinformowała ją, że mężczyzna może ją słyszeć i że może swobodnie do niego mówić. Następnie obdarzywszy Marię nieszczerym uśmiechem, wyszła.

Maria usiadła na starym taborecie, spojrzała na ojca i rozplakała się. Wygląd staruszka był naprawdę przerażający. Przez bladoszara skórę prześwitywały brunatne żyły. Zapadnięte w szpitalną pościel ciało, podtrzymywane przy życiu respiratorem, wydawało się gumowym manekinem, w który ktoś włacza dla żartu powietrze, by zaraz je z niego wypuścić.

- Tato! Tatusiu! – zaczęła łkać...

Nie mogła opanować płaczu. Przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem potrafiła rozplakać się na zawołanie i w ten sposób zmiękczać ojcowskie serce. Tym razem jednak sztuczka ta nie miała prawa się udać. Ona nie była dzieckiem, płakała naprawdę, ojciec wcale się na nią nie gniewał, a leżał umierający na szpitalnym łóżku. Wzięła goza rękę. Ręka była ciepła. Skóra delikatna. Powoli uspokajała się. Najpewniej uczyniłaby to samo z drugą dłonią, ale powstrzymywał ją wpięty w nią wenflon i jego połączenie z kroplówką.

Maria nie mogła patrzeć na ojca. A ściśle rzecz biorąc, nie mogła patrzeć na jego zmienioną, bladoszara twarz. Patrzyła gdzieś przed siebie, wbijając nieświadomie wzrok w ścianę pokoju i wspominając. Prosiła w myślach boga, by tato nie umierał. Nie teraz, kiedy przechodzi do apelacyjnego. Niech ma nad nią litość! Bała się, co spotka ją w nowej pracy, gdy ojciec po prostu umrze... Maria nie blefowała. Jej obawy były prawdziwe.

Tak bardzo chciała, by ojciec był z niej dumny. Przecież Tomasz ma tyle znajomości. Na pewno z Zubalskim uruchomią wszelkie kontakty, sprowadzą najlepszych specjalistów i załatwią najlepsze leki – rozmyślając starała się, walcząc z łkaniem, przekonać samą siebie, że ojciec wyjdzie z choroby. Przecież nie może nie dożyć tego momentu, w którym ona stanie się wiceprezesem sądu apelacyjnego! Nie! Wprost nie może jej tego zrobić! To byłoby potworną złośliwością z jego strony... W końcu wyszła...

Tej nocy Maria przewracała się z boku na bok. Nie mogła spać. Poranek zbliżał się nieubłagalnie. Już od dawna nie dzieliła z Tomaszem sypialni, twierdząc, że nie może znieść jego chrapania. Nie protestował. Podejrzewała nawet, że może Tomasz ma kochankę, ale właściwie, nie zrobiłoby to na niej większego wrażenia. Może nawet lepiej gdyby miał, bo pozwoliłoby mu to zdrowiej przeżyć niekończący się kryzys wieku średniego. Maria nie pozwoliłaby mu jednak odejść od siebie. Co to, to nie! Nigdy nie dopuściłaby do rozbicia małżeństwa! Nie była głupia i wiedziała, że po pierwsze jej finanse mocno by na tym ucierpiały, po drugie, utraciłaby wiele cennych kontaktów towarzyskich, które utrzymywane były dzięki Tomaszowi. Po trzecie nie, zniosłaby tego upokorzenia, że jakaś młoda siksa zabiera jej męża i to niestety z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie! Nie! Ona to nie Lena! Poza tym nie chciałyby rozwodem ranić ojca, który tak lubił zięcia. Zresztą Tomasz to nie przystojny Zubalski i nie zaryzykowałby możliwego odwetu towarzyskiego ze strony swego teścia. Nie doceniała jednak swego męża i nie wiedziała jak bardzo się myli...

Tej nocy jednak jej myśli wcale nie krążyły tylko wokół męża, który i tak nocował poza domem. W jej umyśle kotłowały się rozmaite kreacje rodzinne i zawodowe, które miały na celu nie dopuścić do myśli o śmiertelnie chorym ojcu. Na próżno. O kim i o czym by nie pomyślała, po chwili pojawiał się obraz ojca, który ranił ją swą obecnością poprzez perspektywę swojej bliskiej śmierci.

Nim zaczęła zastanawiać się na dobre, dlaczego Gabrieli nigdy nie układało się w małżeństwach, w wizji zjawił się ojciec, który zawsze pomagał siostrze bardziej niż jej. Po tym, jak zaczęła rozmyślać dlaczego Piotr został księdzem, mimo tego, że zapowiadał się na

naprawdę dobrego prawnika, znów zjawił się ojciec, wszczyńający wiecznie kłótnie domowe z tego powodu, nie akceptując wyboru syna. Doprawdy nie rozumiała, dlaczego jej brat postanowił na złość ojcu wstąpić do seminarium. Przecież Piotr nawet słowem nie zdradzał, że poczuł powołanie. Zresztą zupełnie abstrakcyjne dla Marii uczucie. Nigdy nie był też przesadnie religijny, zwłaszcza, że w ich domu kwestia religii i kościoła była sferą raczej tabu. Sam fakt, że i ona, i całe jej rodzeństwo byli w ogóle ochrzczeni w kościele katolickim, było zasługą wyłącznie ich matki. Ojciec udawał, że o tym nie wie. Ojciec... Ojciec... Ojciec...

- Co ja zrobię, gdy ojca zabraknie – westchnęła głęboko.

Koneksje ojca, choć sam nie był już przez wiele lat czynny zawodowo, ułatwiły jej w życiu niejedno przedsięwzięcie. Tomaszowi zresztą też. To dzięki niemu nigdy niczego im nie brakowało. Tomasz owszem, zarabiał niezłe pieniądze, ale bez teścia nie byłby w stanie nawiązać większości towarzyskich układów. Chwała bogu, że choć potrafił je utrzymać i należycie pielęgnować.

- Matka z pewnością sobie poradzi, bo przecież wszystko co jej trzeba, już ma – myślała Maria. Ale my z Tomaszem możemy boleśnie odczuć brak staruszka. Nie wspominając już o Mikołaju, który dopiero co zaczyna swoją bankową karierę. Czy ona i Tomasz zdołają sami popchnąć syna wyżej? Teraz, gdy zaplanowała inwestycję w postaci nowego samochodu, o którego chciała poprosić i Tomasza i ojca, ten postanowił na złość im umrzeć.

- Niech to wszystko szlag trafi! Do apelacyjnego będę jeździła starą yariską – zaklęła cicho i zaraz potem zasnęła.

Zbudziła się mocno niewyspana. Co prawda w pracy załatwiła sobie dzień urlopu, jednak umówiła się z matką w szpitalu, więc i tak musiała wcześniej wstać. Przygotowując śniadanie obmyślała plan, jak zmusić Tomasza do zakupu nowego samochodu. Czuła, że grunt palił jej się pod nogami. Jeśli ojciec umrze i zapisze wszystko w testamencie matce, ta na pewno nie odpali jej nic na cruisera i na dodatek w testamencie gotowa była oddać wszystko Piotrusiowi. Nie! To nie może się zdarzyć. Musiała działać szybko. Skoro Zubalski mówił, że ojciec na pewno z tego nie wyjdzie, postanowiła po pierwsze, wymóc na Tomaszu zakup samochodu, po drugie, dotrzeć do testamentu ojca. Wie, że trzyma go w górnej szufladzie biurka zamykanej na klucz. Poza tym na pewno nie jest to dokument sporządzony u notariusza, bo znała wszystkich okolicznych notariuszy i żaden nie potwierdził, by jej ojciec u nich go sporządzał. Na pewno żaden nie kłamał. Byłby skończony. Zresztą większość z nich to kobiety, z którymi Maria żyła w przyjaźni, można powiedzieć, zawodowej. A skoro tak, ojciec sporządził ostatnią wolę odręcznie i wystarczyłoby go po prostu zniszczyć, o ile wszystko zapisał matce. A ojciec przecież wielokrotnie wspominał, że w razie śmierci wszystko po nim dziedziczy matka. O nie! Nigdy! Maria nie mogła do tego dopuścić. Gdyby udało jej się zniszczyć testament, dziedziczenie po ojcu miałoby charakter ustawowy i dostałaby swoją część. Przydałaby się, gdyby Tomasz nie zechciał kupić samochodu. A gdyby kupił, też by się nie zmarnowała. W obie intrygi postanowiła wciągnąć Mikołaja. Przecież już wielokrotnie działali wspólnie.

Zostawiając Tomasza samego w jadalni, pobiegła na piętro do apartamentu syna. Nie spał już. Słyszała jak odkręcał wodę w łazience. Nie myliła się. Mikołaj brał prysznic. Postanowiła zaczekać w jego pokoju.

- Mikołaj kochanie! Musimy porozmawiać – rzuciła stanowczo do syna, gdy ten owinięty samym ręcznikiem wszedł właśnie do pokoju zdumiony obecnością matki.

- Mamuś! Mówiłem Ci wczoraj, że nie pojadę rano do szpitala, bo mam ważne spotkanie w banku – warknęła poirytowany obecnością matki, chcąc uniknąć jej wywodu na temat powagi sprawy.

- Odwiedzę dziadka po południu, gdy tylko spotkanie się skończy i będę wolny! Zrozum! Nie mogę tego spotkania przełożyć – zaraz dodał.

- Mikołaj! To nie o dziadka tutaj chodzi – wymknęło się nieopatrznie Marii. – To znaczy oczywiście o dziadka – dodała szybko usprawiedliwiając siebie. – Oczywiście o dziadka, ale przede wszystkim o nas. – Mikołaj! Posłuchaj...

W mig, a właściwie w kilka chwil zdołała przedstawić Mikołajowi swój plan, gdy ten ubierał się do pracy. Co do samochodu, szybko dał się przekonać, zaraz po tym jak matka obiecała mu, że jego stare seicento szybko może się zamienić na dwuletnią yarisę, którą ona do tej pory jeździła. Wykorzystała to, że Mikołaj marzył o nowym samochodzie. Wiedziała też, że syn szastał pieniędzmi na lewo i prawo i z pewnością nie miał żadnych oszczędności. Tomasza też nie mógł poprosić o nowy samochód, bo od jakiegoś czasu między ojcem i synem nie układało się najlepiej. Zresztą nigdy się nie układało. Kredyt w przypadku zastępcy kierownika oddziału banku też nie wchodził w grę. Miała go w garści.

Ze sprawą testamentu już nie poszło tak łatwo. Mikołaj jak pięcioletnie dziecko kochał idyllicznie swoją babcię i nie dopuszczał myśli, że mógłby ją w ten sposób oszukać. Dopiero przyrzeczenia i zaklinania Marii na wszystkie świętości, że podzieli się z synem swoją częścią spadku, nakłoniły chłopaka do zaangażowania się w pomoc matce. Dla przypiecztowania umowy, zadzwonił czym prędzej do swej asystentki i poprosił, by ta przełożyła jego dzisiejsze spotkanie z klientami na inny dzień, bo z powodu choroby dziadka nie może stawić się w pracy. Oczywiście nie było z tym najmniejszego problemu.

Po godzinie oboje byli już w klinice na Kawiej. Operacja wykradzenia testamentu logistycznie przebiegła bardzo sprawnie, bo tak jak przypuszczali, Janina dużo wcześniej poszła do szpitala. Maria bez skrpułów wykorzystała dane jej w zaufaniu klucze do domu rodziców, ale sprawa się nieco skomplikowała. Dużą niespodzianką było to, że testament nie był sporządzony odręcznie, a u jej dobrego znajomego notariusza Michalczyka. Maria nie mogła przeżyć, że ten stary wyga w ogóle o tym nie wspomniał. Postanowiła mu jednak o niczym nie mówić i mieć nadzieję, że notariusz zapomniał o testamencie sporządzonym przez ojca. W przeciwnym razie, całą operację szlag trafi. Poza tym, według stempla, testament był sporządzony kilka ładnych lat wcześniej i Michalczyk najzwyczajniej w świecie mógł o testamencie nie pamiętać.

Teraz oboje, dumni z triumfu, kroczyli po śmierdzącym korytarzu kliniki. Zapach szpitala i widok zgrabnych nóg młodych pielęgniarek odzianych w skąpe fartuszki, wywołał u Mikołaja przypływ uczuć dobrego wnuczka. Skierował się więc do dyżurki pod pretekstem zasięgnięcia informacji o stanie zdrowia dziadka. W rzeczywistości nie miał oporów przed tym, by jednej

z nich zaproponować kolację. Maria tymczasem udała się prosto do pokoju ojca. Cichutko otworzyła drzwi do przedsiionka, by nie robić zbytniego hałasu. Gdy już miała otwierać drzwi do pokoju, usłyszała cichutki głos matki, ale Maria nie dosłyszała, co mówiła. Chyba żegnała się z ojcem – pomyślała i spokojnie weszła do środka. Ciepłym uśmiechem starała się dodać matce otuchy, jednocześnie maskując emocje po usunięciu testamentu...

3. Gabriela

Zagrzebana w faktury VAT, księgi przychodów i rozchodów, ewidencje i rejestry, nerwowo paląc kolejnego papierosa, Gabriela siedziała od wczesnego ranka w gabinecie służącym obsłudze kilku założonym przez siebie spółkom. Kolejny dzień z rzędu kontrola z urzędu skarbowego grzebała w księgowości jej firmy transportowej. Gabriela przeżyła niejedną kontrolę skarbową, celną czy sanitarną, ale nigdy nie bała się tak, jak teraz. Stara Wróblowa, koleżanka ojca z byłego komitetu miejskiego partii, już od dwóch lat nie była naczelniczką miejscowej skarbowki, do której właściwości Gabrieli i jej spółki należały. W wieku sześćdziesięciu sześciu lat, wraz z nadejściem prawicy, Wróblowa została zmuszona do przejścia na emeryturę. Stopniowo też wymiana kadry skarbowki obejmowała coraz niższe stanowiska. Całe szczęście prawica nie porządziła długo, ale ponownie wybrana quasi-lewica nie była w stanie przywrócić już na stanowiska osób, które odeszły. Zresztą nierzadko osoby te były skompromitowane, najczęściej zamierzenie. Tak też i było z Wróblową, po odejściu której gazety rozpisywały się o aferze z wyprowadzeniem 300 tysięcy zł z księgowości kierowanego przez nią urzędu.

Co prawda Gabriela miała, dzięki ojcu, znajomości w innych urzędach skarbowych w mieście, ale na razie nie chciała ich uruchamiać. Postanowiła podpytać ojca także o inne możliwe dojsca w swoim urzędzie, a później, może nawet w izbie skarbowej? Ojciec wspominał jej kiedyś o synu kolegi, który chyba był tam naczelnikiem egzekucji. O ile ją pamięć nie myliła, nazywał się Beck. Tak! Chyba Beck. Nie była tego pewna, ale wiedziała, że jeszcze dziś wieczorem musi poprosić ojca o pilne spotkanie. Do tego wszystkiego Dariusz wyjechał do Warszawy w sprawach służbowych i przez najbliższych kilka dni nie mogła liczyć na pomoc swojego męża. On też miał rozległe kontakty pośród wysoko postawionych pracowników skarbowki, ale miał i wrogów w tym środowisku..

- Może to jakaś zemsta za działalność Darka? – pomyślała. Może komuś nadepnął na odcisk? - A może to któryś z jego kolegów – krakowskich doradców podatkowych coś wyśledził i postanowił pozbyć się konkurencji?

Doprawdy, środowisko to było istnym gniazdem przemyłych żmij, które tak naprawdę pozżerałyby się najchętniej nawzajem i to jak najszybciej. Jeszcze dzisiaj wieczorem postanowiła porozmawiać telefonicznie z Darkiem o swoich podejrzeniach.

Do tej pory na kontrole przychodziły dwie panie po pięćdziesiątce – nomen omen dwie Grażyny, z którymi Gabriela zawsze dogadywała się w wiadomy sposób. Tym razem, po raz pierwszy w historii jej przedsiębiorstwa, na kontroli zjawili się dwaj młodzi, może nawet niespełna trzydziestoletni mężczyźni, z których jeden – ten rudy o bladej, piegowatej cerze, wyglądał na wyjątkowo wrednego.

- Służbiści psiakrew!

Gabriela nie miała odwagi zapytać młodych kontrolerów, co też się stało, że tym razem nie Grażyny przysły na kontrolę. Nie chciała niepotrzebnie potęgować w nich podejrzliwości, więc odpuściła. Pierwszego dnia młodzi nawet nie dotknęli sernika, który Gabriela kazała kupić specjalnie dla nich w najlepszej w mieście cukierni. Następnego dnia z kolejnym ciastem było podobnie. W zasadzie korzystali tylko z przyniesionych przez siebie kanapek i wody mineralnej.

- Cholera! – zaklęła. – Gdyby choć przysłali jednego młodego z jakąś starą babą na tę kontrolę, ona już by wiedziała, jak z nimi rozmawiać. – Ale dwóch młodych? To przesada!

- Muszę być bardzo ostrożna – burknęła pod nosem przekładając faktury.

- Nie wiadomo z jakiego gniazdka te dwa słowiki pochodzą, nie wiadomo nic o ich intencjach, a przede wszystkim, nie wiadomo kto za nimi stoi i jak ta kontrola może się jeszcze skończyć.

Nie mogąc doczekać się wieczoru, wzięła telefon i wybrała numer ojca. Jednak po kilku sekundach zrezygnowała z połączenia, bo do pokoju weszła Justyna z nowymi, hiobowymi wieściami. Panowie kontrolujący poprosili o kolejny segregator, z tych które Gabriela przechowywała osobiście w swoim gabinecie. Szefowa skrzywiła się i spojrzała na Justynę błagalnym wzrokiem. Za Justyną do gabinetu wszedł wypachniony Norbert, z którym Gabriela, w związku z kontrolą, wiązała duże nadzieje.

Nie żyła przecież jednego dnia na tym świecie i wiedziała, że młodemu kogutowi jest w stanie dać radę tylko młoda kura. Stąd też wszelkie sprawy z kontrolerami postanowiła załatwiać przez swą najładniejszą pracownicę biurową Justynę, której pod groźbą zwolnienia z pracy i obietnicą sowitej premii jednocześnie, nakazała odpowiednio się ubierać i odpowiednio zachowywać wobec obu panów, zwłaszcza wobec Rudego. Toteż Justyna od kilku dni ubierała się nieco frywolnie, prezentując piękny dekolt z pełnymi piersiami matki karmiącej, zgrabne nogi, jędrne pośladki i wdzięczyła się do panów jak tylko umiała. Zwłaszcza do Rudego.

Rybki jednak nie chwyciły przynęty. Panowie pozostali niewzruszeni na wdzięki Justyny, gdy tymczasem nerwowość szefowej kontrolowanej firmy transportowej sięgała zenitu. Poddawszy w wątpliwość seksualność obu panów, zwłaszcza że wyglądali bardzo nienagannie, wręcz metroseksualnie, Gabriela zmieniła strategię, odwołała z urlopu najprzystojniejszego kierowcę Norberta i teraz przez niego postanowiła komunikować się z kontrolerami.

Dwudziestosiedmioletni Norbert, przystojny, błękitnooki blondyn, który według Gabrieli mógł być gejem, już nieraz przydawał jej się w różnych biurowych sprawach. Bystry chłopak jednak nigdy nie dawał się przekonać do stałej pracy przy biurku, wołac długie kursy po całej Europie. Tym razem Norbert zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Zaskakująco chętnie zgodził się na czasowe przeniesienie do biura i pokornie wykonywał polecenia szefowej. Naciągnął ją przy okazji na zakup kilku drogich ciuchów i perfum, które miały mu ułatwić grę wstępną z kontrolerami. Ponieważ Gabriela szukała słabego punktu obu panów, a Norbert miał jej bezwzględnie w tym pomóc, zgodziła się na te wymuszone inwestycje. Jednak ani Rudy, ani ten Drugi – nie znała nawet ich imion – nie mieli chyba ochoty na zaprzyjaźnienie się z Norbertem. Żaden z nich, według relacji Norberta, nie przejawiał nim zainteresowania.

- Kurwa mać! – zakląła Gabriela – Niech to szlag najjaśniejszy trafi – dodała, gdy Norbert kończył jej relacjonować kolejną rozmowę z kontrolerami i zerknęła na dzwoniący telefon.

- Żyrafę im chyba teraz wstawię! Zoofile zasrani! – klęła bez żenady.

Zainwestowała w Norberta trochę kasy i wiązała z nim niemałe nadzieje, a tu taka wtopa. Ponieważ nie miała na podorędziu ani żyrafy, ani innego zwierza, postanowiła na razie i Justynę i Norberta trzymać na straży kontrolerów. Na wszelki wypadek. Nie wiedziała jednak jaki potworny błąd popełnia.

Wybrała po raz drugi dzisiejszego dnia numer telefonu ojca w celu umówienia z nim pilnego spotkania, które dzisiaj byłoby jej bardzo na rękę. Oczywiście po kryjomu przed matką. Zdawała sobie sprawę z tego, że matka nigdy nie mogła się dowiedzieć o tym, że ojciec stał się udziałowcem jej najnowszej spółki, eksportującej na Ukrainę wysokoprzetworzone produkty mleczne z podkrakowskiej mleczarni i sprowadzającej z powrotem nielegalnie papierosy, a przede wszystkim alkohol. Oczywiście spółka eksportowa korzystała wyłącznie z usług transportowych jej firmy. Tylko dzięki ojcu mogła prowadzić interes na Ukrainie, bo dzięki niemu nawiązała po pierwsze kontakty z celnikami, tak krakowskimi jak i przemyskimi oraz kontakty z ukraińską hurtownią spożywczą, której szefem był stary znajomy ojca, Mykoła Parewieszczenko. Ojciec znał go doskonale z czasów dominacji Związku Radzieckiego. Tak się składało, że Mykoła bywał w Nowej Hucie w Krakowie, którą dzielnie pomagali budować Rosjanie i inne narody radzieckie. W Nowej Hucie ojciec poznał niejednego ruskiego, w tym Mykołę. Jego jednak Gabriela nie pamiętała. Za to pamiętała Leonida Andrejewicza Andrejewa z Leningradu, który był nawet u nich w domu kilkukrotnym gościem. Ojciec mówił do niego – Leonku. Andrejew był miłym człowiekiem, który nie tylko przywoził dla Gabrieli i jej rodzeństwa *padarki z Sawieckiego Sajuzza*, ale nawet brał ich na kolana i coś tam opowiadał. Oczywiście wtedy, jak już nie był całkiem trzeźwy.

Nawiązanie połączenia z ojcem przerwał jednak kontrolujący Rudy, który nagle zapukał do jej gabinetu i zapytał czy można wejść. Gabriela zniesmaczona przerwaniem jej po raz drugi w dniu dzisiejszym możliwości porozumienia się z ojcem i jednocześnie zdziwiona, że kontrolujący chce z nią mówić osobiście, skinęła głową z nieukrywanym grymasem na twarzy, który natychmiast próbowała zamienić na uśmiech. Niestety, nie wyszło jej to najlepiej. Za Rudym do gabinetu ryj przez drzwi wsadził ten Drugi, któremu mimowolnie Gabriela ze sztucznie przyklejonym uśmiechem także skinęła zapraszająco.

Obaj usiedli na krzesłach przed biurkiem szefowej. Rudy wyglądał co najmniej nienagannie. Męskie szerokie ramiona odziane w białą koszulę, rozpiętą pod ozdobioną srebrnym łańcuszkiem szyją i zdradzającą śnieżnobiałe gładkie, jędrne ciało trzydziestokilkuletniego mężczyzny – znajdowały się wprost na wysokości jej oczu. To świadczyło o tym, że Rudy był od niej trochę wyższy. Stalowszary garnitur idealnie komponował się z jasną cerą Rudego oraz świetnie przystrzyżonymi i wymodelowanymi włosami, dobrze dopasowanymi do pociągłej nieco twarzy. Gabriela byłaby bliska zachwycenia się oryginalną urodą tego mężczyzny, a znała się na rzeczy, bo ze swoim pierwszym mężem prowadzili agencję modelek i modeli, gdyby nie fakt, że czar prysnął zaraz jak ocuciła ją świadomość tego, kim on właściwie jest. Mimowolnie przerzuciła wzrok na tego Drugiego, nieco niższego od Rudego również około trzydziestoletniego mężczyzny, a może nieco młodszego. Był równie zadbany jak Rudy, ale nie

miał tego czegoś w oku, może w spojrzeniu, może w całym sobie, co miał Rudy. Na pewno był nieco mniej męski i zdecydowanie mniej pociągający niż Rudy, który zaczął mówić.

- Chcielibyśmy doręczyć Pani upoważnienie do kontroli – powiedział stanowczo swym męskim głosem, po czym podał jej dwa egzemplarze upoważnienia do podpisu. Gabriela zachwyciła się głosem Rudego, ale szybko i trzeźwo rzuciła:

- Ja już mam upoważnienie. Panowie doręczyliście mi je na początku kontroli. – Zaszła więc pomyłka – dodała, nie ukrywając radości.

- Tak, ale teraz są to upoważnienia do kontroli w spółce mleczarskiej SEREX, a kilka dni temu doręczyliśmy Pani upoważnienie do kontroli w firmie transportowej.

Gabriela zamarła. Zdenerwowana i pobladła zapytała:

- To jak to? Panowie sami będziecie prowadzić obie kontrole jednocześnie?

- Jeśli trzeba będzie, nawet i trzy kontrole. Jesteśmy na to przygotowani – odparł oschle Rudy.

Od tej pory Gabriela nienawidziła go szczerze i do bólu, mimo pociągającej ją fizjonomii. Poprzysięgła zemstę na nim. A jak ona coś poprzysięgła, dotrzymywała słowa. Tymczasem Rudy i ten Drugi pożegnali się i wyszli. Gabriela oniemiała. Wpatrywała się na nazwiska kontrolujących widniejące w upoważnieniu i zastanawiała się, który z nich to Rudy. Teraz już była pewna, że cała ta kontrola, a właściwie teraz już dwie, to robota konkurencji Dariusza.

- Ale czego do cholery mszczą się na jej firmach, a nie na nim samym?

Złapała nerwowo telefon i po raz kolejny tego dnia wybrała prywatny numer ojca. Ten jednak nie odpowiadał.

- Gdzie ten stary cap znowu jest? – rzuciła w nerwach do siebie. – Jak jest potrzebny, nigdy go nie ma!

Energicznie wyjechała krzesłem obrotowym zza biurka, wstała i podeszła do regałów z papierami pod ścianą, obok których stał też barek. Nalała sobie solidną porcję brandy, dodała lodu wyjętego z małej lodówki, której jedyną zawartością był ten lód i kilka butelek markowej wódki, po czym zaczęła energicznie spacerować po swoim gabinecie. Podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrała numer Justyny.

- Pani Justyno, proszę ustalić czy Pan Stanisław Walasik nie kontaktował się ze mną dzisiaj i proszę przyjść do mnie zaraz. Z Panem Norbertem!

Właściwie wszyscy w biurze wiedzieli, że Walasik to ojciec Gabrieli, ale w sprawach zawodowych – o ile to tylko było możliwe – oboje zwracali się do siebie – per Pan/Pani. Zresztą Gabriela i Dariusz w pracy również zwracali się do siebie w ten sposób. Wszyscy już do tego przywykli, ale od czasu do czasu jeszcze ktoś to złośliwie komentował. Ot, cały zakłamanany

świątek hipokrytów.

Z nerwowego spaceru wokół biurka i od ściany do okna, wyrwał Gabriellę Norbert, który wszedł do jej gabinetu. Za Norbertem weszła Justyna, która od progu oświadczyła, że niestety Pan Walasik ani dzisiaj, ani wczoraj po południu nie dzwonił do firmy. Gabriela szybko poinformowała tych dwoje, że mają nową kontrolę i ustaliła, że czyni Justynę odpowiedzialną za kontrolę spółki mleczarskiej, a Norberta – firmy transportowej. Młodzi spojrzeli po sobie porozumiewawczo, co Gabriela odebrała jako wyraz strachu przed nią samą. Szybko więc odprawiła młodych i obiecała sobie być dla nich obojga miłsza. W końcu byli związani z nią już jakiś czas, a teraz ona sama wiązała z nimi niemałe nadzieje. Nie mogła pozwolić sobie na to, by ich stracić. Zapaliła kolejnego tego dnia papierosa.

Po chwili usiadła za biurkiem i zaczęła kartkować swój stary notes z adresami i telefonami, który nosiła ze sobą nieprzerwanie od bardzo wielu lat. Było w nim wiele numerów bardzo różnych, czasem bardzo wpływowych osób z krakowskiego towarzystwa, których poznanie zawdzięczała przeszłości ojca. Ponieważ jednak teraz nie mogła nawiązać z nim kontaktu, postanowiła działać sama. Na początek postanowiła skontaktować się z Turkową – naczelniczką innego krakowskiego urzędu skarbowego, która podobnie jak Wróblowa, pracowała z ojcem w komitecie miejskim partii. Liczyła na to, że Turkowa – naczelniczka urzędu na Nowym Mieście, uruchomi swe kanały z urzędem właściwym dla Gabrieli i dzięki temu dowie się czegoś na temat najazdu kontroli na swoje firmy. Gdyby nie było Turkowej w pracy, zadzwoni do jej zastępcy Wilczyńskiego, którego kiedyś poznała na raucie u swej serdecznej koleżanki Teresy prowadzącej przetwórstwo mięsno-wędliniarskie.

Teresa zdradziła jej, że spasiony jak wieprz Wilczyński nadzoruje u Turkowej kontrolę i egzekucję, no i poza jedzeniem świata nie widzi. Jako że oboje z Teresą kochają jeść, byli na dobrej stopie towarzyskiej. Wilczyński co jakiś czas zajeżdżał do niej do hurtowni na drinka, zostawiając samochód z otwartym bagażnikiem na podwórzu. Zaufani pracownicy Teresy wypełniali mu w tym czasie po brzegi bagażnik najlepszymi produktami – szynkami, kielbasami, pasztetami i wszelkiej maści przetworami mięsnymi. Po pół godzinie ten odjeżdżał jak gdyby nigdy nic i pojawiał się znów po kilku miesiącach. Dzięki temu kontrole u Teresy były rzadko, a jak już były, nigdy niczego nie wykazały. Zresztą Wilczyński doradził Teresie, by ta broń boże nie płaciła nigdy mandatów drogowych. On jako nadzorujący egzekucję z tych mandatów, już wie jak je przedawnić. Co prawda Teresa jeździła bardzo ostrożnie i w życiu mandatu nie dostała, ale za to jej synuś Przemek, który rozwalił już niejedną brykę, często korzystał z dobrodziejstwa „wujka Wilczka”...

– Jak ten Wilczyński tłumaczy się przed zwierzchnikami? – zachodziła w głowę Teresa, ilekroć spotykały się z Gabriellą i Mariolą na kawce i ploteczkach. Ale czy było to tak naprawdę ważne?

– Najwidoczniej u góry mają jeszcze większy burdel – kwitowała zawsze polską administrację Mariola, która zaopatrywała w podobny sposób Wilczyńskiego w alkohole.

Gabriela swego czasu, po wywaleniu Wróblowej na emeryturę, zaczęła się zastanawiać czy nie zmienić siedziby firmy na Nowe Miasto, by mieć pewniejsze układy ze skarbowką, ale z biegiem czasu to zaniedbała i szczerze dzisiaj tego pożałowała.

- Gdybym przeszła do urzędu Turkowej, pewno dziś nie miałabym żadnej kontroli – westchnęła.

Jednak nie miała w tej chwili ani czasu, ani chęci na rozmyślania o Wilczyńskim. Próbując się uspokoić, wybrała służbowy numer Turkowej. Po chwili, ku zaskoczeniu Gabrieli, w słuchawce odezwał się głos młodej kobiety – może około trzydziestokilkuletniej. Pomyślała, że to pewno sekretarka, więc poprosiła o połączenie z panią naczelnik.

- Słucham panią, Małgorzata Hermann, naczelnik urzędu. W czym mogę pani pomóc? – usłyszała speszona. Gabriela po raz kolejny tego dnia zamarła.

- Przepraszam, ale chciałam rozmawiać z panią naczelnik Zofią Turek – powiedziała pełna wątpliwości do słuchawki. – Czyżby to była jakaś zastępczyni? – pomyślała zrazu Gabriela.

- Pani Turek ponad trzy miesiące temu przeszła na emeryturę. Teraz ja jestem naczelnikiem urzędu na Nowym Mieście – usłyszała jednak. – Z kim mam przyjemność? Może mogę jakoś pani pomóc?

Po chwili milczenia Gabriela odparła:

- Bardzo pani dziękuję. Dzwonię do pani Turek w prywatnej sprawie. Nie wiedziałam, że jest na emeryturze. Skontaktuję się z nią wobec tego prywatnie na numer domowy. Dziękuję raz jeszcze. Do usłyszenia.

- Młoda pani naczelnik z racji swego wieku pewno jest poza wszelkimi układami – westchnęła Gabriela.

Po raz kolejny tego dnia bardzo się myliła. Małgorzata Hermann była wnuczką dawnego wojewody krakowskiego i poprzez dziadka, a także dobrze postawionych innych członków rodzinnych, tkwiła w jeszcze bardziej podejrzanych układach niż stara Turkowa. Tylko, że na nowe czasy układy te musiały być bardziej „transparentne”. Bez tych układów byłyby nikim.

Z domowym numerem telefonu Turkowej oczywiście Gabriela blefowała. Nie знаła go, ale jednego teraz była pewna – kontakt ten jest na zawsze spalony. Czyżby zmiany w skarbówce poszły aż tak daleko? Wróblowa! Turkowa! Kto jeszcze wyleciał? Postanowiła skontaktować się z pasibrzuchem Wilczyńskim, tym razem przez sekretariat.

- Chciałabym rozmawiać z panem naczelnikiem Wilczyńskim – celowo nie przedstawiła się.

- Pan Wilczyński od dwóch miesięcy nie jest już zastępcą naczelnika. Obecnie przebywa na zwolnieniu lekarskim – z rozbrajającą szczerością zakomunikowała jej sekretarka. – W czym..

Gabriela nie czekała na uprzejmości sekretarki i pośpiesznie odłożyła słuchawkę. Była wystraszona nie na żarty.

- Co za szewski dzień – burknęła pod nosem sama do siebie.

Zaczęła się zastanawiać co za armagedon zmiotł ze stanowisk i Turkową i Wilczyńskiego jednocześnie. Ciekawe czy Teresa i Mariola o tym wiedzą. Ciekawe czy ojciec o tym wie. Ba! Nie dość, że w swoim urzędzie Gabriela straciła kontakt z Wróblową, to teraz jeszcze w urzędzie na Nowym Mieście straciła wszystkie kontakty. Na Darka chwilowo nie mogła liczyć. Pozostało jej wierzyć, że inne znajomości ojca nie zostały spalone jak te, które próbowała uruchomić dzisiaj.

Wybrała ponownie jego numer. Nadal nie odpowiadał. Zaczęła poważnie zastanawiać się nad tym, czy z ojcem wszystko w porządku. Jednak czym prędzej oddaliła od siebie złe myśli, podpowiadając wręcz samej sobie, że pewno znów siedzi w ogrodzie, albo poszedł z odwiedzinami do jakiegoś innego esbeckiego dziadka.

No właśnie! Dziadka! To słowo robiło na niej przykre wrażenie. Zawsze zazdrościła siostrze Mikołaja! Bardzo żałowała, że nie mogła dać rodzicom wnuka. A właściwie żałowała, że nie mogła dać wnuka ojcu. Matka w zasadzie w ogóle jej nie interesowała. Nie interesowała jej od tej chwili, gdy w trzeciej klasie liceum Gabriela zaszła w ciążę. Matka, by uniknąć wielkiego wstydu w towarzystwie i w tajemnicy przed ojcem, zaprowadziła ją do jednego ze znanych krakowskich ginekologów, by czym prędzej i jak najdyskretniej usunąć ciążę. Dyskrecja w tej sytuacji była dla matki Gabrieli dobrem najwyższym. Niestety zabieg pociągnął za sobą komplikacje i Gabriela na zawsze pozbawiona została możliwości urodzenia dziecka. Od tamtej pory jej stosunki z rodzicami, a zwłaszcza matką, były co najmniej chłodne. Po latach Gabriela opowiedziała ojcu prawdę, a ten postanowił jej pomóc na miarę swoich możliwości, a nie były one małe. Stąd też Gabriela, wykorzystując stare czerwone układy ojca, zaczęła prowadzić dochodowe interesy, co jakiś czas urozmaicając sobie życie nowym mężczyzną. Czerwone układy oraz powiązania kościelne jej trzeciego męża, dalszego krewnego jednego z krakowskich biskupów, otwierały im niejedne miejscowe drzwi. I nie tylko...

Z rozmyślań na różne tematy Gabrielę wyrwał telefon. Dzwonił ojciec. Nareszcie! Tylko dlaczego z telefonu domowego, a nie ze swojej prywatnej komórki? Odebrała telefon i pewnie rzuciła do słuchawki:

- Nareszcie tatuś dzwoni!

Po drugiej stronie jednak zapadła cisza, po chwili przerwana nieśmiałym – Halo...

- Słucham. Kto mówi? – zapytała Gabriela.

- Ojciec w szpitalu – dopiero teraz poznała głos matki, który zabrzmiał niczym komunikat.

Zamarła. Nie mogła przez chwilę zebrać myśli. Zapadła cisza. Wyczuła poirytowanie po drugiej stronie i po chwili zapytała:

- Jak to? Co się stało mamó?

„Mamo”? Zapytała sama siebie, czy nie zagalopowała się z tym słowem? Czy po tych wszystkich latach mogła jeszcze zwracać się do matki w ten sposób? Czy nie okaże jej przez to zbytnej czułości? Gabriela postanowiła trzymać emocje na wodzy. Jednak nie na żarty zaniepokoiła się usłyszaną nowiną. Teraz, gdy dopadły ją te dwie wredne kontrole skarbowe, staremu zachciało się chorować. Teraz, gdy nowy interes z Ukraincami zaczął przynosić jakieś wymierne korzyści i właśnie teraz, gdy kontakty ojca, i te w Polsce i te na Ukrainie, były jej kluczem do sukcesów. Nie wybaczy mu tego. Ma nadzieje, że jak najszybciej wyjdzie z tego szpitala. Tego też była ciekawa najbardziej.

- Nie wiem córciu – Gabriela usłyszała od matki.

„Córciu”? No tego było już za wiele. Tego właśnie po swej wrednej matce Gabriela mogła się spodziewać. Ależ z niej hipokrytka! Jak matce grunt obsunął się spod nóg, tak nagle stała się dla niej znów „córcią”? Czyżby Marysia nie stanęła na wysokości zadania?

Szkoda, że córcią nie była przez tyle lat, zwłaszcza wtedy, gdy właśnie przez matkę cierpiała z powodu niemożności zajścia w ciążę. Szkoda, że córcią nie jest wtedy, gdy idzie o podział działek w Kryspinowie, gdzie Gabriela miała dostać najgorszy kawałek. No oczywiście najlepszy ma należeć do Marysi i Piotrusia. Po co księdzu działka? Przecież wiadomo, że w razie jego ewentualnej śmierci, kościół mógłby położyć łapę na jego spadku. Gabriela dla świętego spokoju przyjęłaby swoją część działek w Kryspinowie, gdyby nie fakt, że po pierwsze, chciała zrobić na złość matce, po drugie, działki były dzielone na pięć, bo nie wiedzieć czemu, dobra babcia doliczyła Mikołaja, choć Maria otrzymywała najlepszy kawałek. Czyżby zakładała, że tylko będzie miała jednego wnuka? Żeby się nie zdziwiła. Po trzecie działki były niesprawiedliwie dzielone – według sympatii matki. No i po czwarte uważała, że Piotr powinien zrzec się swojej części. Tak dla dobra kościoła, by nie zawróciło mu się w głowie z nadmiaru bogactwa.

Gabrielę wyrwała z tych pośpiesznych rozmyśleń matka:

- Prawdopodobnie miał wylew.

Gabriela prawie zemdląca. Nie myślała, że z ojcem jest aż tak źle. Chciała jeszcze podpytać matkę o coś więcej, ale ta rozłączyła się.

- Niech to szlag trafi! – po raz kolejny tego dnia Gabriela zaklęła.

- Co jeszcze się dzisiaj stanie? – powiedziała na głos sama do siebie.

Nerwowo wstała zza biurka i rzuciła się do regału, w którym trzymała pod kluczem ważne dokumenty. Zaczęła nerwowo czegoś szukać. O ile ją pamięć nie myliła, ojciec zabrał przed kilkoma dniami komplet dokumentów dotyczących przywozu alkoholu z Ukrainy. Papierosy wpadały im do transportu tylko incydentalnie, choć w znacznych ilościach, ale ten cały Mykoła Parawieszczenko, regularnie przygotowywał dla nich dostawy beczek alkoholu, które razem z pokazową dla celników beczką kapusty, przyjeżdżały do Polski. Gabriela nie zajmowała się sprzedażą tego alkoholu, ale wiedziała, że ojciec sprzedawał go jakiemuś znajomemu

z dawnych czasów, który z kolei zajmował się rozprawdaniem go po barach, pubach, a zwłaszcza klubach dla młodzieży i studentów, prowadzonych przez zaufanych ludzi. W takich miejscach sprzedaż nieewidencjonowana nielegalnego alkoholu była poza jakąkolwiek kontrolą skarbowki czy celników. Oczywiście wszyscy bramkarze mieli za zadanie obserwować nowych, podejrzanych klientów, a barmani polecenie sporządzania drinków takim klientom tylko z oryginalnych butelek wódki, bo miało to zagwarantować pewność interesów. Oczywiście alkohol ukraiński nie był wcale gorszy od polskiego. Był po prostu dużo tańszy i omijał wszelkie opłaty celne i podatkowe. Jednak na zimne trzeba czasem dmuchać i zabezpieczać się.

Ojciec namawiał Gabrielę na to, by założyła własny klub dyskotekowy, gdyż przy jego układach, byłaby żyłą złotą. Ale Gabriela nie miała oparcia w Darku i nie chciała zajmować się kolejnym biznesem. Prędzej do tego nadawałby się Michał, a nie ona. Nie знаła wobec tego szczegółów przeprowadzanych przez ojca transakcji. Wiedziała tylko, że szajka dziadków (jak ich żartobliwie w tajemnicy nazwała), składała się z kolegów ojca – byłych oficerów SB i ich synów, w której ojciec był jednym z ważniejszych ogniw, ze względu na transport jaki zapewniała Gabriela oraz przykrywkę w postaci SEREX-u. Tak, jakby na Ukrainie nie było wyrobów mleczarskich. Oczywiście Darek o niczym nie wiedział. Jeszcze tego by brakowało.

Gabriela tymczasem rozkopywała dokumenty.

- Kurwa mać! Jeszcze tego brakowało! – zakląła ponownie tego dnia, gdy zorientowała się, że nie ma wielu papierów dotyczących szajki dziadków.

Na domiar złego nie ma części dokumentów dotyczących SEREX-u. I tylko pozostaje dziękować bogu, że Rudy i ten Drugi jeszcze o nie nie poprosili. Pozostaje się modlić, by brakujące dokumenty ojciec zostawił w skrytce bankowej, do której Gabriela miała zapasowy klucz i do której była upoważniona w razie gdyby ojcu coś się stało. Wiedziała, że może z tego klucza skorzystać absolutnie w ostateczności. Wylew w ojca wieku oznacza tylko jedno i zdecydowała, że właśnie nadeszła ta chwila.

Z sejfu wyjęła kasetkę, w której trzymała najważniejsze rzeczy i zaczęła szukać elektronicznego klucza do skrytki bankowej. Był na miejscu wraz ze wszystkimi niezbędnymi kodami i pinami. Gdy odstawiła kasetkę na miejsce i zamykała sejf, do jej gabinetu zapukał Norbert.

- Przepraszam szefowo – powiedział nieśmiało – Panowie kontrolujący skończyli na dzisiaj i właśnie wyszli. Czy można też na dzisiaj skończyć?

- Tak panie Norbercie. Pan i pani Justyna możecie już iść. – powiedziała nawet nie zerkając na zegar, choć miała to w zwyczaju. Dzisiaj nie miała na to czasu. Musiała pędzić czym prędzej do banku. I nawet lepiej, by po firmie nie kręciło się tych dwoje.

Po niespełna kwadransie siedziała za kierownicą swego rocznego sportowego suzuki i pędziła do banku. Telefonicznie skontaktowała się z bankowym opiekunem ojca, niejakim Sebastianem Bruzdą i już tylko chwile dzieliły ją od dostania się do skrytki. Modliła się, by ojciec zdążył zdeponować tam dokumenty. Inaczej musiałyby wtajemniczyć matkę w to, że ojciec i ona od lat współpracowali, a tego robić nie chciała. Niech matka, nieświadoma niczego,

czci pamięć swego męża.

- Im matka będzie mniej wiedziała, tym lepiej dla wszystkich – nie raz słyszała od ojca. Zresztą w pełni zgadzała się z nim w tej kwestii.

Po przekroczeniu wielu pomieszczeń i kilku krat, wprowadzona została do niewielkiego pomieszczenia, w którym wskazano skrytkę jej ojca. Nie chciano jej jednak powiedzieć, kiedy ojciec korzystał z niej ostatni raz. Za pomocą elektronicznego klucza w postaci karty i kodu pin, zdołała otworzyć skrytkę. Kazano jej wyjąć szufladę i zaprowadzono do prawie pustego pokoju obok, gdzie w spokoju mogła przejrzeć jej zawartość. Pokój był dyskretnie monitorowany. Usiadła przy stole i nerwowo zaczęła przeglądać papiery. Niestety nie było wszystkich, które ojciec zabrał przed kilkoma dniami z firmy. Było natomiast wiele innych dokumentów, które Gabriela postanowiła zabrać ze sobą na kilka dni do domu. Na dnie szuflady leżała duża, szara koperta. Gabriela poznała pismo ojca, którym na kopercie wypisał jej imię. Koperta była zaklejona. Nerwowo więc rozszarpała ją od góry, uważając, by nie uszkodzić zawartości i wyjęła kilka dokumentów, z których uwagę Gabrieli przykuły dwa – list napisany odręcznie przez ojca oraz testament.

Zaczęła czytać list. Serce waliło jej jak nigdy. Zazwyczaj sytuacje stresowe jej nie przerażały, ani nie wyprowadzały z równowagi. Dzisiaj było inaczej. Cały dzisiejszy dzień był dla niej stresujący, a koperta pozostawiona przez ojca wprawiła ją w ból głowy i poważne kołatanie serca. Nerwowo sięgnęła do torebki po papierosy, gdy w ostatniej chwili zauważyła na drzwiach pokoju, w którym siedziała, dużych rozmiarów informację o zakazie palenia. Odłożyła papierosy w obawie przed czujnikami dymu i nerwowo zaczęła czytać list. Ojciec instruował ją w nim, co ma zrobić, w razie, gdyby on nie mógł już prowadzić interesów, do kogo ma się udać i z kim rozmawiać. List był też formą pożegnania. Uspokoila się, bo wiedziała już u kogo szukać wyniesionych z firmy dokumentów.

Jednak najcenniejszym znaleziskiem był dla niej testament. Tego Gabriela się nie spodziewała. Była przekonana, że ojciec testament trzymał w domu w górnej szufladzie biurka, albo u Marii. Myślała też, że to właśnie jej siostra zyska najwięcej po śmierci ojca. Myliła się. Ku jej zdumieniu testament był sporządzony przez notariusza w Katowicach.

- Dlaczego do diabła w Katowicach? – zaczęła się zastanawiać.

- No tak. Ojciec bał się, że któryś z uprzejmych krakowskich notariuszy doniesie jej siostruni o testamencie – parsknęła pod nosem. - I dlatego wołał pojechać w inny region.

Treść testamentu zdumiała ją jednak bardziej. Był on sporządzony niespełna pół roku wcześniej i przede wszystkim unieważniał poprzedni testament spisany przed laty u krakowskiego notariusza Michalczyka. Ojciec zapisywał Gabrieli cały swój majątek, łącznie z domem. To wprawiło ją w osłupienie.

- Czyżby w ten sposób chciał zaleczyć stare rany? – pomyślała Gabriela.

Prosił jednak w testamencie Gabrielę, by zapewniła matce możliwość mieszkania do końca życia w ich starym domu. W ten sposób zdawał starą matkę na los Gabrieli. Nie

spodziewała się tego i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że ojciec bardzo musiał przeżyć to, co matka wyrządziła jej przed laty. Wydziedziczył też obu braci Gabrieli – Piotra i Michała, powołując się na niewdzięczność pierwszego i złe prowadzenie się drugiego. Polecał jednak Gabrieli finansową opiekę nad Michałem, do czasu, aż ten ukończy studia we Wrocławiu. Marii i matce Gabrieli pozostawiał zachówek.

- Już widzę minę Marysi, jak się o tym dowie – uśmiechnęła się ironicznie Gabriela.

Jej stosunki z Marią były zaledwie umiarkowanie poprawne. Maria nigdy nie poznała prawdy o tragedii Gabrieli i dlatego zawsze miała żal do siostry, że ma złe relacje z matką. A ponieważ Gabriela nigdy nie chciała spowiadać się ze swoich tajemnic, ich relacje wciąż pozostawały zdystansowane. Choć ostatnimi czasy ociepliły się nieco.

Jednak najbardziej zszokowało Gabrielę to, że ojciec polecał wypłacić jej – jako wykonawcy testamentu – kwotę 300 tysięcy złotych z rachunku bankowego prowadzonego w Banku Południowym, niejakiej Kazimierze Garmont – córce z pozamałżeńskiego łoża, a jej kuzynce!

- A to ci dopiero! – zachnęła się Gabriela. – Tatuś wystrugał bajstruka!

- Niech no tylko te dwie się o tym dowiedzą, to pękną z wściekłości – pomyślała o matce i Marii.

- Swoją drogą nieźle to kamuflował przez tyle lat! – rozmyślała dalej Gabriela.

- Jeśli Kazimierze – bądź co bądź nowej siostrze – ojciec polecił wypłacić aż trzy stowy, to ile w rzeczywistości miał zgromadzonej kasy na wszystkich trzech rachunkach – zachodziła w głowę Gabriela. – Do tego przecież dochodzą zachówki. Już niebawem miała czuć się mile zaskoczona majątkiem, który zostawiał ojciec!

Postanowiła jutro z rana skontaktować się z notariuszem z Katowic, by potwierdzić autentyczność testamentu. Nie to, żeby ojcu nie ufała, ale chciała raczej podpytać notariusza, jak zapamiętał ojca, bo przeczuwała, że ta jaszczurka Maria, z pewnością będzie chciała obalić nowy testament. Znała swoją siostrę od lat i wiedziała, że co jak co, ale pieniądze kocha najbardziej na świecie.

Pożegnawszy się bardzo mile z niezbyt przystojnym Sebastianem Bruzdą, postanowiła jak najszybciej umieścić wszystkie dokumenty w bezpiecznej skrytce, a właściwie w sejfie – w domu koleżanki Haliny na Norweskiej. Tam mogły być bezpieczne, pilnowane nie tylko przez najlepszą elektronikę, ale i trzy rasowe psy – dwa dobermany i wyżła, mieszkające razem z Haliną i jej mężem. Pewne dokumenty wołała mieć poza domem, w razie gdyby jakieś ABW czy CBA zechciało ją odwiedzić. Na razie też postanowiła o niczym nie mówić Dariuszowi.

- Im mniej wie, tym lepiej dla wszystkich – westchnęła.

Pędziła przez parking Deutsche Banku mocno ściskając dokumenty wyjęte ze skrytki. Myślała o tym, czy Jerzy – mąż Haliny, jest w domu. Wołała, by go nie było. Co prawda Jerzy

nie wtrącał się w znajomości koleżeńskie swojej żony, ale dziś nie miała ochoty z nim rozmawiać. Halina na pewno była w domu. Myśli jej krążyły także wokół tego, czego dowie się z dokumentów, jak tylko dokładnie zacznie je czytać w domu. Zamówi sobie zestaw sushi w restauracji na Siennej i zaraz weźmie się za czytanie. Jak skończy, pojedzie na zakupy do Carrefoura, a potem do szpitala do ojca. Nienawidziła szpitali i lekarzy, ale wiedziała, że musi tam pojechać. Nie tylko będzie to dobrze postrzegane przez rodzinę, ale też czuła wewnętrzną potrzebę pożegnania się z ojcem. Oczywiście miała swoje uczucia i z całej rodziny, to jego kochała najbardziej. To on był jej ostoją przez wiele lat. No i Michała – swego najmłodszego brata, choć czasem trudno jej się było z nim dogadać. Mimo to, wysyłała młodemu na konto regularnie trochę kasy.

Wsiadając do samochodu i myśląc o swej rodzinie, nie zauważyła, że ktoś na parkingu przed bankiem się jej przygląda. Może nie tyle przygląda, co obserwuje i jednocześnie ostrożnie unika. Jakby spłoszony jej obecnością. Jakby zakłopotany i zmieszany. Dobrze, że tego nie widziała. To mogłoby ją zabić. Nie kto inny, jak Norbert zauważył swoją szefową, gdy ze swoim długoletnim partnerem wjeżdżał na parking banku, by załatwić swoje sprawy.

Nigdy by nie podejrzewała, że Norbert – jeden z jej najbardziej zaufanych pracowników – przyjaźnił się od lat z Maciejem Kardasińskim, pracownikiem skarbowki, który właśnie od kilku dni prowadził w jej firmach te wstrętne kontrole. Nie był to nikt inny jak ten znienawidzony przez nią Rudy... Na domiar złego, kontrole te były wynikiem prywatnego śledztwa, które Norbert prowadził od dłuższego czasu w firmach Gabrieli... Miał w tym prywatny interes. Jego dziadek został zamordowany w krakowskich, więziennych podziemiach przez SB właśnie wtedy, gdy babcia była w ciąży z jego matką. Udział w tym miał nie kto inny, jak właśnie ojciec Gabrieli. Norbert miał swój plan zemsty na rodzinie Stanisława. Gabriela była jednym z jego etapów... Nawet Rudy nie znał całej prawdy... Na ten czas Gabriela jednak o niczym nie wiedziała...

4. Tomasz

Po nieprzespanej nocy, Tomasz Stemplewski wpadł tego dnia do szpitala o godzinie dziewiątej i skierował swe kroki do przestronnego, ale niezbyt nowoczesnie urządzonego gabinetu. Od wielu lat był ordynatorem oddziału laryngologii i w miarę możliwości regulował sobie sam swój czas pracy. Tym razem jednak nieprzespana noc nie była skutkiem kolejnego nocnego dyżuru, ale wynikiem upojnej nocy z trzydziestosześcioletnią, zatrudnioną w szpitalu od kilku miesięcy pielęgniarką Joanną Guzik. Poznali się niedawno i to było ich trzecie bliskie spotkanie.

Dzieliło ich niemal wszystko. Łączyła praca i sex. On, ponad pięćdziesięcioletni, właściwie prawie sześćdziesięcioletni, ale męski, łysy facet z małym brzuszkiem. Ona atrakcyjna, jeszcze młoda pielęgniarka, która niedawno zrezygnowała z pracy w małym szpitalu w prowincjonalnych podkrakowskich Proszowicach i przeniosła się do Krakowa. On bardzo dobrze sytuowany, dobrze ustawiony i znający wiele osób z miejscowej śmietanki towarzyskiej. Ona skromna i niezbyt dobrze sytuowana panna po przejściach, wynajmująca małe mieszkanie na krańcu Nowej Huty, zresztą na pół z koleżanką. Można powiedzieć dwa, nazbyt odległe światy. Co prawda Joanna liczyła na to, że ze sprzedaży działek odziedziczonych po bezdzietnej starej ciotce chrzestnej, będzie mogła nabyć jakieś fajne mieszkanie w Krakowie – i to wcale nie na krańcu Nowej Huty, ale na dzień dzisiejszy sprawa utknęła w sądzie. Jej najbliższa kuzynka postanowiła obalić testament ciotki Heleny, przypisując jej niepoczytalność na stare lata, doprowadzając do dziedziczenia ustawowego i uszczknąć tym samym coś z podkrakowskich działek dla siebie. Ciotka Helena, owszem, na stare lata była nieco zdziwaczała, zwłaszcza, że nigdy nie założyła rodziny, ale do niepoczytalności czy choroby psychicznej było jej daleko. Najzwyczajniej w świecie, ciotka postanowiła cały swój majątek zostawić chrześnicy, z którą zawsze miała dobry kontakt. Może nawet dlatego, że ta, tak jak i stara ciotka, nie założyła rodziny. Sprawy majątkowych kłótni rodzinnych nie były niczym niezwykłym w krakowskich sądach, ale Joanna nie przypuszczała, że mogą zdarzyć się w jej rodzinie. Rodzinie dobrych ludzi – Polaków, katolików.

Tej nocy Tomasz i Joanna nie spędzili jednak, tak jak poprzedniej w wynajętym mieszkanku na Nowej Hucie. W końcu Joanna nie mieszkała sama i nie zawsze mogła przyjmować gości. Tomasz zaprosił ją więc do eleganckiego hotelu w Ojcowskim Parku Narodowym, niedaleko Skały. Mógł co prawda wybrać jakiś krakowski hotel, ale był wziętym laryngologiem, dobrze znanym w środowisku i bał się, że zostanie przez kogoś znajomego przyłapany, rozpoznany. Poza tym nie ufał obsłudze hoteli. Co prawda Kraków to duże miasto, ale i jednocześnie duża, plotkarska wioska, w której plotki roznoszą się z prędkością światła. A może, wbrew fizykom, szybciej. Zwłaszcza jeśli dotyczą znanych osób, a on do takich należał. Nie mógł sobie pozwolić na to, by jakiś szczeniak z recepcji powiedział w domu kogo widział, ten ktoś z domu jeszcze komuś i tak z ust do ust w końcu trafiłoby to do kogoś znajomego. Nie daj boże do jakiegoś prawnika, znajomego Marii. Przecież jej i swego teścia bał się najbardziej,

choć odegrali oni w jego życiu niemałe role.

Zwłaszcza teściowi wiele zawdzięczał. To dzięki niemu był ordynatorem oddziału w jednym z najlepszych krakowskich szpitali. Co prawda Tomasz był dobrym laryngologiem, ale ta drobnostka nie wystarczyłaby do tego, by zostać ordynatorem. O nie! Najważniejsze były układy i znajomości, nie tylko lekarzy i prawników, ale przede wszystkim polityków, no i jak na Kraków przystało – duchownych wszelkiej maści oraz artystów. Tomasz z bardzo dobrym wynikiem ukończył studia, specjalizację, ale jako chłopak spod Myślenic, zapewne po studiach wróciłby w rodzinne strony i skończył jako lekarz w przychodni lub szpitalu w Myślenicach, gdyby nie małżeństwo z rozsądku z Marią. I dobre serce jego teścia, który dla swej córki zrobiłby wiele. Stanisław Walasik znał kogo trzeba i zaraz po studiach i ślubie z Marią, Tomasz rozpoczął swą karierę krakowskiego laryngologa.

Dzisiaj wchodził na oddział jednak nieco niewyspany po nocnych harcach i zaraz skierował swe kroki do swojego zacisznego gabinetu, komunikując siostrze przełożonej, by nie zawracać mu dupy pierdołami. Doświadczona pielęgniarka przyjęła wiadomość ze zrozumieniem i lekką ironią, bo jego romans z nowoprzyjętą pielęgniarką, tylko z pozoru był sekretem. Zresztą Stemplewski nie był jedynym lekarzem w średnim wieku, który miał romans z młodszą pielęgniarką. Takich lowelasów w szpitalu nie brakowało. Poza tym, nie był to pierwszy romans ordynatora. Doświadczona oddziałowa pamiętała romans Stemplewskiego sprzed kilku laty, który to zakończył się, można powiedzieć – tragicznie.

Kamila, młodzianka – dwudziestokilkuletnia pielęgniarka, dała się wtedy uwieść tej starej świni (jak czasem oddziałowa nazywała Stemplewskiego), zaszła w ciążę i poroniła. Prawdopodobnie skutek tabletek podanych jej przez Stemplewskiego. Wtedy ich romans zakończył się, a Kamila została przeniesiona na oddział kardiochirurgiczny. Po jakimś czasie sama się jednak zwolniła ze szpitala, bowiem okazało się, że asystowanie przy operacjach kardiochirurgicznych nie było dla młodej, delikatnej dziewczyny.

Zaraz po zamknięciu drzwi gabinetu Tomasz rozłożył się wygodnie w swoim skórzanym fotelu. Bolała go głowa. I nie tylko... Było to skutkiem nie tyle braku snu... Jednak był bardzo szczęśliwy. Od lat nie czuł się taki spełniony i zadowolony jak od kilku tygodni. Po prostu zakochał się. Znów! Do tej pory, w gruncie rzeczy był człowiekiem nieszczęśliwym. Tymczasem Joanna była dla niego spełnieniem marzeń. Już nie dziełatka, ale jeszcze młoda, rześka kobieta, której mógł zaimponować nie tylko umiejętnościami zawodowymi. To imponowanie właśnie zaczął odczuwać w całym ciele. Poza tym musiał skupić się na rozwiązaniu swoich problemów. Wiedział, a może miał tylko przeczucie, że to, co połączyło go z Joanną, mogło być jego ostatnią szansą na szczęśliwy związek. W jego wieku – naprawdę ostatnią.

Póki stary Walasik żył, a według wiedzy Tomasza miał się całkiem nieźle i nic nie zapowiadało jakiegokolwiek zmiany, rozstanie z Marią nie wchodziło w grę. Czego Maria i jej znajomi prawnicy nie dokończyliby masakrując go finansowo i etycznie, wydarłby z niego stary Walasik i jego esbeckie układy. Ze stanowiskiem ordynatora oddziału na pewno musiałyby się pożegnać. Zresztą – ponieważ w przyszłym roku miało zwolnić się stanowisko zastępcy dyrektora szpitala, stary wypalił kiedyś, że Tomasz świetnie nadawałby się na to stanowisko. I Tomasz wiedział, że skoro teść tak powiedział, nie rzucał słów na wiatr i droga do stanowiska była prawie pewna. Maria temu przyklasnęła, bo dobrze wyglądałoby, gdyby jej mąż zajmował

tak poważne stanowisko. A on dobrze wiedział, że stary robi to tylko dla córki. W tej zepsutej krakowskiej rodzinie nie liczyło się przecież nic, jak tylko kasa i władza. A on tak samo tkwił w tym po uszy. I to na własne życzenie.

Pochodził z biednej rodziny. Ojca nigdy nie znał, a matka i babka zarzynały się pracą w pralni, by wiązać koniec z końcem i odkładały każdy grosz na to, by Tomaszek mógł utrzymać się na studiach w Krakowie. Oczywiście żał mu było tych kobiet, ale nie znaczyło to wcale, że jako student miał rezygnować ze studenckiego życia. Dlatego jego znajomość z Marią nie była wcale celem strzałem kupidyna, a raczej dobrze przemyślanym przedsięwzięciem na jego przyszłość. Młody, przystojny, wysportowany i dobrze zapowiadający się student medycyny, szybko zdobył serce zamożnej, ale nie tak atrakcyjnej studentki prawa, poznanej na jednej z licznych studenckich imprez. Rozkochał ją więc bardzo szybko w sobie, choć początkowo wbrew przyszłym teściom. Zwłaszcza przyszłej teściowej. Pochodzenie Tomaszka nie przypadło do gustu.

- Nie dość, że bękart, to jeszcze z domu wiejskich praczek! – powiedziała kiedyś do męża, nie wiedząc, że Tomasz słyszy te słowa, które na zawsze zepsuły jego relacje z teściową.

Stary Walasik jednak szybko dał się przekonać córce, a ponieważ po części imponowało mu, że Tomasz mimo przeciwności losu, podejmował walkę w życiu i starał się coś osiągnąć, ostatecznie nie miał nic przeciwko związkowi młodych. Zaczął im nawet pomagać. Dzięki temu przyszły zięć Walasika mógł pomóc matce, by nie wypruwała sobie żył dla syna. Tomasz do tego był dobrym aktorem i na każdym kroku odgrywał kochającego męża. Z czasem i teściowa wybaczyła mu złe pochodzenie. Za to on nigdy nie wybaczył teściowej tamtych słów. Chował swą urazę głęboko, wiedząc, że świat od niego wymaga poprawnych relacji z matką Marii. Ale im bardziej zmuszał się do sympatii, tym bardziej teściowej nienawidził. Gdy przyszedł na świat jedyny wnuk Walasików, pochodzenie Tomaszka wraz z rozwojem jego kariery zawodowej traciło na znaczeniu. Zwłaszcza, że wzięty lekarz w rodzinie, był jej dobrą wizytówką.

Poczęcie Mikołaja też był decyzją Tomaszka, który jeszcze niepewnie czuł się w swej nowej rodzinie i chciał przypieczętować swoją w niej obecność potomkiem. Tymczasem Maria była w trakcie aplikacji sędziowskiej i nie myślała jeszcze o dziecku, a przy tym dobrze się zabezpieczała przed ciążą. Tomasz jednak intensywnie myślał o zmairowaniu potomka. Długo szukał pastylek identycznych lub prawie identycznych z tabletkami antykoncepcyjnymi Marii. I znalazł. Były to tabletki lekko podwyższające ciśnienie krwi i nie zagrażające zbytnio życiu. Wręcz idealne. Po zamianie pastylek młoda żona co prawda czuła się pobudzona i czasem nie mogła spać, ale Tomaszowi akurat było to na rękę. Ona sama przypisała swój stan stresowi. I tak, po dziesięciu miesiącach od zamiany tabletek, na świat przyszedł Mikołaj. A przyczyna jego szybkiego pojawienia się na świecie, była odtąd jedną z wielu pilnie strzeżonych tajemnic Tomaszka.

Z biegiem czasu pseudouczucie między Marią a Tomaszem wygasało. Tomasz nigdy jej nie kochał, a Maria, z roku na rok coraz bardziej była – podobnie jak jej ojciec – zainteresowana tylko pieniędzmi i władzą. Początkowo Tomaszowi było to nawet na rękę. Dzięki relacjom towarzyskim mógł bez większych przeszkód wdawać się w liczne romanse, których żona albo nie widziała, albo nie chciała widzieć. A młodych pielęgniarek nigdy nie brakowało. Zresztą z lekarkami też romansował. Obsada laryngologii zmieniała się często, ale Tomasz i oddziałowa

Bogumiła Jarczyk – przełożona pielęgniarek – trwali na posterunku pracy od ponad dwudziestu lat. I trzeba powiedzieć, że akurat ona, jak rzadko kto, potrafiła dochować tajemnicy. Tomasz wykorzystywał to bezgranicznie, nie zapominając o oddziałowej przy podziale premii.

Toteż tego dnia, nie Maria zaprzętała głowę Tomasza i nie w związku z nią, zaczęły go nachodzić wyrzuty sumienia. Rozstanie z Marią nie wchodziło na razie w grę, zwłaszcza, że w przyszłym roku mógł objąć stanowisko zastępcy dyrektora szpitala, a może kiedyś nawet dyrektora... Zatopił się w smutku, a jego myśli krążyły wokół Renaty. Poznał ją kilka lat temu, oczywiście w szpitalu, w którym i tak spędzał więcej czasu, niż w domu. Jednak Renata nie była ani pielęgniarką, ani lekarką. Była nauczycielką języka polskiego w jednym z liceów na Starym Mieście. Dokładnie sześć lat temu trafiła na oddział Tomasza z poważnym schorzeniem strun głosowych i tak nawiązał się między nimi romans. A był to bardzo poważny romans. Ponieważ Renata do tamtej chwili mieszkała w rodzinnej willi z rodzicami i żonatym bratem, Tomasz po pół roku znajomości kupił potajemnie komfortowe mieszkanie na Salwatorze, w którym ona od tej pory pomieszkiwała.

Renata była piękną kobietą. Naprawdę piękną i zgrabną. Mimo czterdziestu kilku lat, figury i wyglądu mogłaby jej pozazdrościć niejedna trzydziestolatka. Długie blond włosy, zielonoszare oczy i powab białej, delikatnej skóry, zachwyciły niejednego mężczyznę. Tomasz nie był więc wyjątkiem. Zakochał się w Renacie bezgranicznie, ale na krótko. Mimo swych licznych walorów fizycznych, kochanka miała jednak sporo wad. Była typem neurotyczki i hipochondryczki – razem wziętych. Wiecznie chora, niezadowolona, pogłębiona w melancholijnych, depresyjnych i psychodelicznych nastrojach, po jakimś czasie zaczęła ciążyć Tomaszowi. Mimo, że i tak była miłą odmianą w stosunku do Marii. A ponieważ on nie chciał być sam, utrzymywał znajomość z Renatą, trochę jakby z przyzwyczajenia.

Teraz sytuacja uległa zmianie. Był po uszy zakochany w Joannie i bardzo chciał, by ta zamieszkała w mieszkaniu na Salwatorze. To ułatwiłoby im kontakty. Wystarczyłoby tylko rozstać się z Renatą.

- Taa... Właśnie... Wystarczyłoby... - wyszeptał sam do siebie.

Jednak nie było to takie proste... Wiedział, że rozchwianie emocjonalne jego kochanki mogło go wiele kosztować. Renata była zdolna zafundować mu niezły popis hysterii, a tego chciał za wszelką cenę uniknąć. Nie sądził, aby chciała mścić się na nim, ale do końca nie mógł przewidzieć jej reakcji. Była nieobliczalna i wiedział, że go jednak kochała. A nie było nic bardziej niebezpiecznego niż zakochana, zraniona kobieta. Zwłaszcza wobec mężczyzny, który ośmielił się jej już nie kochać. W pamięci nie dało się zatrzeć licznych teatralnych scen, których Renata mu nie szczędziła. Oczywiście punktem zapalnym najczęściej była Maria i kwestia potencjalnego z nią rozwodu, na który kochanka bardzo nalegała. Obiecywał jej więc rozwód, ale na obietnicach się kończyło. Początkowo zakochany Tomasz nawet myślał o rozwodzie, ale im bardziej poznawał Renatę, tym bardziej był pewien, że z jej powodu na pewno nie posunąłby się do takiego kroku. Pomijając kwestie finansowe i fakt, że nie mógłby zrezygnować z luksusowego życia ordynatora oddziału, zwyczajnie nie mógłby być na stałe z Renatą. Była piękną kobietą i namiętną kochanką, ale on nie widział w niej potencjalnej życiowej partnerki, a już na pewno żony. Najgorsze było to, że poświęciła mu kawałek życia, więc pewne było, że nie będzie chciała się z nim tak szybko rozstać i pogodzić z koniecznością wyprowadzki z Salwatora. To go

męczyło...

Postanowił rozmówić się z nią jeszcze tego samego dnia. Musiał ten romans zakończyć jak najszybciej. Zanim Joanna dowie się o wszystkim. Do tego nie mógł dopuścić. Zresztą nie chciał też, by Renata dowiedziała się o Joannie. To mogłoby ją dodatkowo rozwścieczyć. Sceny zazdrości o Marię były dla niego i tak dużym ciosem. Nie mógł pozwolić na kolejne. Całe szczęście, że Renata nie była związana ze środowiskiem szpitala. Tylko dlatego udawało mu się jeszcze utrzymać w sekrecie przed nią romans z młodą pielęgniarką. Zastanawiał się także, czy rozstanie z Renatą nie nadszarpnie jego tajnym kontem oszczędnościowym, o którym, prócz banku, nikt nie wiedział. Znał Renatę i wiedział, że była zdolna zażądać jakichś 20 kawałków na zagospodarowanie się po wyprowadzce z mieszkania na Salwatorze.

Zafrasował się i smutno spojrzął na stojącą na jego biurku rzeźbę wesoło tańczącego słonia, wykonaną o ironio losu właśnie z kości słoniowej. Zasmucił się losem słoni i innych męczonych przez człowieka stworzeń na świecie, ale nie miał większego wpływu na prezenty otrzymywane od pacjentów. Oczywiście, tak jak większość jego kolegów, preferował koperty z pieniędzmi, ale na laryngologii nie można było zbić kokosów. Co prawda stać go było na potajemny zakup mieszkania, ale nie wyciągał z kopert tyle, ile jego koledzy z kardiologii, kardiochirurgii czy chirurgii urazowej. Nie mówiąc już o onkologii. To była prawdziwa żyła złota. Na operację krtani zazwyczaj jednak trafiali nałogowi palacze, najczęściej niezamożni, choć i z takich były sposoby na wyciąganie kasy. Poza tym musiał liczyć na zrozpaczone matki i troskliwych tatusiów, oddających w jego ręce pociechy na operacje wycięcia migdałów lub udrażniania zatok. Nieco jego los poprawiło stanowisko ordynatora, ale żyłą złota też nie można było tego nazwać. Zdrzemnął się.

Zbudziło go delikatne pukanie do drzwi gabinetu. Już miał warknąć do którejś z pielęgniarek, że miały mu nie przeszkadzać, ale ból głowy spowalniał jego reakcje. Wiedział, że może do południa odpocząć, bo na porannym dyżurze prócz niego, był też stażysta Kozłowski. To on miał podejmować wszelkie decyzje w sprawie pacjentów. Tym razem jednak do jego drzwi pukała przełożona pielęgniarek Bogumiła Jarczyk. Akurat ona nie przeszkadzałaby mu bez poważnego powodu. Nie mylił się.

- Panie ordynatorze – powiedziała – nie przeszkadzałabym panu, gdyby nie to, że doktor Zubalski z kliniki na Kawiej dzwonił już trzeci raz i prosił o pilny kontakt z panem.

- Dobrze. Dziękuję pani Bogusiu, zaraz się z nim skontaktuję – rzucił Tomasz.

- Nawet na chwilę nie można oka zmrużyć na tym oddziale – bąknął sam do siebie, tak by zamykająca za sobą drzwi przełożona pielęgniarek tego nie usłyszała .

Zanim wstał z fotela zaczął się zastanawiać, czemu Mariusz Zubalski wydzwania do niego do pracy, skoro od lat są dobrymi kumplami i mają numery prywatnych komórek. Spotykali się czasem na drinku, czasem nawet umawiali się na kolację na mieście. Byli prawie przyjaciółmi. Po co więc Mariusz dzwonił do niego do pracy? Na pewno chciał kogoś znajomego położyć u niego na laryngologii, której nie ma w tamtej klinice.

Wyjął z teczki swoją komórkę – nowiutkiego Samsunga i dopiero teraz przypomniał

sobie, że wczoraj późnym wieczorem wyciszył telefon, by cieszyć się chwilami sam na sam z Joanną. Zapomniał o tym. Telefon wyświetlał siedem nieodebranych połączeń i jednego esemesa. Czterokrotnie próbował się z nim połączyć Zubalski, dwa razy kochana teściowa i raz wczorajszego wieczoru Maria. Esemes też był od Mariusza: „Cześć. Skontaktuj się ze mną pilnie”.

- Czyżby Mariusz chciał mi na oddział położyć samego prezydenta miasta, że tak wydzwania? – Tomasz uśmiechnął się sam do siebie i postanowił zaraz do niego oddzwonić. Bo skoro to poważny pacjent, to i pieniądze mogłyby być poważne. Podniósł odłożoną na czas drzemki słuchawkę telefonu stacjonarnego, stojącego na biurku i wybrał numer służbowego telefonu przyjaciela.

Połączył się bardzo szybko i szybko zniknął uśmiech z jego twarzy. Krótka też trwała rozmowa z Mariuszem. Tym razem nie chodziło o pacjenta, którego Tomasz mógłby przyjąć u siebie na laryngologii. Chodziło o jego sparaliżowanego po dzisiejszym wylewie teścia.

Tomasz odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział w milczeniu wpatrując się tępo w blat biurka, na którym jedna z wielu długich rys przykuła jego uwagę. Rysa ta zaczynała się gdzieś pod rozłożonym notesem z telefonami, a kończyła tuż przed tańczącym słońcem, jakby nie mogąc go osiągnąć. Linia. Tak cienka i krucha jak ludzkie życie. Tak smutna i bolesna jak cierpienie, które człowieka w tym życiu spotyka. Dążymy do czegoś i nagle tuż przed metą, tuż przed złapaniem szczęścia, los nagle i brutalnie je od nas oddala.

Ktoś obcy pomyślałby, że Tomasz wpatrując się w rysę na swoim biurku, myślał o kruchości życia swojego teścia, jednak myliłby się. I to bardzo poważnie. Tomasz bowiem w tej chwili rozpaczał nad swoim wątłym i nieszczęśliwym życiem, które nagle mogło wywrócić się do góry nogami.

- Też stary nie miał kiedy odwalić kity – pomyślał cynicznie i wstał.

Podszedł do szafy stojącej obok białej szafki z lekarstwami i otworzył jej drzwi. Zawartość szafy stanowiły butelki z różnymi trunkami, najczęściej otrzymywane od wdzięcznych pacjentów. Nalał sobie pół szklanki drogiej whiskey i dołożył dwie kostki lodu z zamrażalki małej lodówki przeznaczonej na niektóre lekarstwa. Ze szklanką w dłoni usiadł z powrotem w skórzanym fotelu i postanowił pomyśleć, co dalej.

- Kurwa mać! – warknął sam do siebie. – Dlaczego życie tak mnie karze w tym momencie?

- Tak jakby mało było kłopotów z Renatą i Marią, to jeszcze to!

Wiedział, że najprawdopodobniej jego teść nie przeżyje wylewu. Zresztą Mariusz nie robił mu wielkich nadziei na wyzdrowienie. Śmierć teścia była kwestią czasu. Kilku dni. Może co najwyżej kilku tygodni, przy zastosowaniu leków najnowszej generacji. Zaczął rozmyślać i wiedział, że ta okoliczność może skutecznie zablokować jego awans na stanowisko wicedyrektora, nie mówiąc już o dalszej karierze. Bez pomocy teścia mógł co najwyżej pracować w jakimś lichym szpitalu powiatowym. Bez jego pomocy nie miał też większych szans na awans.

Jedynym pozytywnym aspektem śmierci Stanisława była szansa rozwodu z Marią. Jednak ta z pewnością wysłałaby z niego każdą kasę. Wszystko to było do dupy.

Czy nie lepiej byłoby, gdyby to Maria leżała teraz umierająca? On jako jeszcze młody wdowiec (wciąż uważał się za młodego), mógłby po jakimś czasie poślubić Joannę. Wiadomo przecież, że mężczyzna nie może być sam. Teść, jako mężczyzna, z pewnością zrozumiałby to i na pewno w imię pamięci po córce pomógłby mu awansować. Na pewno tak by było. Jednak prawda była taka, że ta jaszczurka Maria cieszyła się znakomitym zdrowiem i ani myślała umierać. Nie chciał tracić zimnej krwi i postanowił jeszcze dzisiaj umówić się z krakowskim hotelarzem Arkadiuszem Brudzińskim, aby sprawdzić, czy ojczulek już zaczął naciskać na wiceprezydenta miasta w sprawie jego przyszłorocznego awansu. Nim stary trzepnie kopytami, postanowił także rozmówić się ostatecznie z Renatą. Sytuacja z teściem utwierdziła go w przekonaniu, że życie nie trwa wiecznie i im szybciej skończy i z Marią, i z Renatą, będzie mógł cieszyć się szczęściem z Joanną.

Nie skończył obchodu z Kozłowskim. Nie mogąc ścierpieć narzekania pulchnej, różowutkiej pięćdziesięciolatki, która na myśl przywoływała mu Marię. Poprosił stażystę o dokończenie obchodu bez niego i czym prędzej udał się do Brudzińskiego. Był to jeden z nielicznych krakowian, który bardziej przyjaźnił się z nim, aniżeli z Marią i Stanisławem. Znał go ze studiów medycznych, których kolega jednak nigdy nie skończył, przenosząc się zaraz na pierwszym roku na politologię. Różnili się jednak nieznacznie. Podczas gdy Tomasz zawdzięczał wszystko wymuszonemu małżeństwu z Marią i układowi teścia, Brudziński najwięcej zawdzięczał jednemu z krakowskich biskupów, którego nazywał swoim wujem. Jednak była to zgoła inna znajomość, o którą Tomasz nigdy nie miał śmiałości pytać. Zresztą w tej chwili nie było to ważne. Jechał do Brudzińskiego, by ten uruchomił wszystkie swoje znajomości w magistracie i dowiedział się, czy stary teść poczynił wszystko, by on, Tomasz Stemplewski, godnie objął stanowisko zastępcy dyrektora szpitala. Byłoby dobrze, gdyby ten stary kutwa należycie zadbał o jego awans. Koneksje Brudzińskiego były w tej chwili nieocenione.

Niestety nie zastał przyjaciela w biurze. Ba! Nie było go w ogóle w kraju! Jak poinformował go młody asystent Arkadiusza:

- Pan dyrektor wyjechał na urlop.

Tomasz naprawdę się zdenerwował. Prawdziwie wściekł się, gdy ten dodał, że Brudziński wyjechał wczoraj i będzie dopiero za dziesięć dni. To już był szczyt wszystkiego! Tak nie pilnować swojego interesu! Tomasz był pewien, że gdyby teraz zadzwonił do kurii biskupiej i poprosił o spotkanie z biskupem Świerczkiem, z pewnością zostałby poinformowany, że „jego ekscelencja” przebywa właśnie na urlopie lub w sanatorium i będzie za dziesięć dni. Nie zadzwonił jednak. Po co? Nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę z jakimś kleszdyłem.

- Rodzinne powiązania z kościołem! Ale kto tych drugich tutaj nie miał? – zamyślił się.

Jeśli ktoś istotnie nie miał rodzinnych koneksji z krakowskimi księżmi lub braciszkami, to albo pochodził z Warszawy, albo z Górnego Śląska. Ale nie czas było teraz o tym myśleć.

Co za podły świat! Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Nie dość, że nie miał

pewności, czy teść zdążył zaklepać jego awans, to na dodatek nie mógł uruchomić swoich kanałów informacyjnych poprzez Brudzińskiego. Zaczął zastanawiać się, czy zdoła przejąć kontrolę nad swoją przyszłością.

- A niech to wszystko szlag trafi! – zaklął i zaczął wyrzucać sobie, że nie zainteresował się sprawą awansu wcześniej. Że też nie porozmawiał ze starym Walasikiem otwarcie! Że też nie upewnił się, że stary rzeczywiście trzymał rękę na pulsie.

Wiedział, że Brudziński przyjaźni się z wiceprezydentem Mikołajskim, ale Tomasz znał go tylko z oficjalnych rautów i spotkań. Nie wypadało mu spotkać się z nim teraz, by omawiać przyszły awans, skoro do ostatecznego rozstrzygnięcia musiało upłynąć jeszcze wiele wody w Wiśle. Nie wypadało dzielić skóry na niedźwiedziu, gdy niedźwiedź w lesie. Poza tym obawiał się, że takie działanie mogłoby zostać źle odebrane przez wiceprezydenta, a wtedy jego awans mógłby stanąć pod dużym znakiem zapytania.

- Jak dobrze, że Zubalski do mnie zadzwonił i w porę przygotował – westchnął.

Przypomniawszy sobie Mariusza i to, że miał się u niego pojawić, by zasięgnąć języka na temat stanu zdrowia teścia. Oczywiście interesowało go to bezgranicznie, ale wiedział, że Mariusz ze względu na Marię i niego samego, zrobi wszystko co w jego mocy, by ojcu nie brakowało niczego, i by jak najszybciej wrócił do zdrowia. Podświadomie czuł jednak, że to może nigdy nie nastąpić i tego się bał. Zwyczajnie, jak miliony innych osób, bał się tego, co nieznane. Tego, czego nie jesteśmy w stanie objąć umysłem, boimy się najbardziej i naprzemiennie pragniemy tego.

Mimo, że obiecał Zubalskiemu jak najszybciej zjawić się u niego w klinice, postanowił najpierw załatwić sprawę z Renatą. Mocniej przyciskając pedał gazu zawrócił samochód w stronę ulicy Kościuszki, tuż przed głośno dzwoniącym tramwajem. Wiedział, że kochanka jest w apartamencie na Salwatorze i pobudzony wydarzeniami z teściem, postanowił jeszcze dzisiaj się z nią rozmówić. Przekraczając dozwoloną prędkość, pokonywał szare, krakowskie ulice i rozmyślał, jak poprowadzić trudną rozmowę. Zdawał się przekonywać sam siebie, że przecież Renata od dawna musi sobie zdawać sprawę z tego, że między nimi coś się wypaliło. Na pewno to wie, choć może sobie tego nie uświadamia. Postanowił więc jej to dziś uzmysłowić. Teraz, gdy jego los zawisł na cieniutkiej nitce, tylko dlatego, że teść postanowił trzepnąć kopytami, nie stać go było na utrzymanie dwóch kochanek i do tego spełniania kaprysów niekochanej żony. Nie! To musiało się skończyć.

- Ludzie tak szybko odchodzą! – westchnął i mimowolnie pomyślał o teściu, choć przecież jego los wcale nie był przesądzony.

Normalnie los starca niewiele by go obchodził. Czasem nawet marzył, by zakończyć farsę małżeńską i wyobrażał sobie, że teściowie nie żyją, jednak dzisiaj daleki był od tych myśli. Wiedział, że od starego Walasika zależy jego przyszłość. A ta, jak nigdy dotąd, stanęła pod wielkim znakiem zapytania. Jeśli teść nie dał odpowiednich dyspozycji w sprawie jego awansu, na zawsze zostanie tylko ordynatorem oddziału. Jego ambicje były jednak większe...

Nie mógł dopuścić także do tego, by stracić Joannę. A żeby jej nie stracić, musiał pozbyć

się Renaty i dlatego podniecony zarówno nocnymi przygodami, jak i porannymi wydarzeniami, był gotów stawić jej czoła i jeszcze dziś wieczór mówić o niej w czasie przeszłym.

Wjeżdżając w uliczkę osiedlową na Salwatorze zauważył, że w kuchni ich apartamentu pali się światło. Było to normalne o tej porze. Kuchnia tworzyła z salonem jedną całość, a Renata miała w zwyczaju leżeć wieczorem na kanapie w salonie, sączyć drinka i oglądać telewizję albo czytać książkę lub kolorowy żurnal, zadowolając się przy tym jedynie światłem z kuchni. Tomasz od dłuższego czasu zaczął zastanawiać się, czy Renata była już alkoholikiem, czy na razie przekraczała bramy tej choroby. Od dłuższego czasu nie widział jej trzeźwej. Każdego wieczoru sięgała po alkohol. Czasem poprzestawała na trzech drinkach, ale coraz częściej zdarzało się, że wstawiała się dość mocno. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by rano nie wstała i nie poszła do pracy. Więc pewnie była już uzależniona, uświadomił sobie właśnie w tej chwili. Zresztą alkohol był jedną z wielu przyczyn ich nawarstwiających się nieporozumień. Parkując samochód przed blokiem, spostrzegł w oknach mieszkania światło telewizora.

- A więc tego wieczoru piła drinka i oglądała jakiś denny serial w telewizji – pomyślał. Cóż! Nie brakowało tych polskich nierealnych bzdur w stylu „M jak miłość”. Westchnął.

Wieczór spowijał świat, a miasto pogrążało się we mgle. Otwierając bagażnik dostrzegł pod młodym jesionem trzęsącego się z zimna młodego kociaka. Kot był czarny, ale na prawym oku i lewej przedniej łapie miał białe plamy. Trząśł się z zimna i Tomaszowi wydawało się, że płacze. Na pewno ktoś go wyrzucił z domu. Wyciągnął z bagażnika kuferek z lekarstwami i postanowił zabrać kota do domu. Przecież nie był człowiekiem bez serca...

Otwierając drzwi usłyszał tylko odgłos telewizora. No tak! Dzisiaj nieźle dała czadu – prychnął sam do siebie! Nie lubił jej pijaństwa, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie ten nałóg może przyspieszyć ich rozstanie. Renata leżała na kanapie w salonie i prawdopodobnie była nieprzytomna. W kuchni stała opróżniona butelka 0,7 po Finlandii Cranberry, a obok niej leżał woreczek z lodem, a właściwie z wyciekającą z niego wodą. Sądząc po prawie całkowicie roztopionym na kredensie lodzie, ocenił, że Renata nie kontaktowała się ze światem żywych od jakichś dwóch godzin.

Starł z kredensu rozlewającą się wodę i postawił na nim trzęsącego się ze strachu kota. Otworzył lodówkę i wyjął z niej 8% śmietankę do kawy, bo mleka w lodówce nie było. Nakarmił nią kota i przygotował mu posłanie w kuchni pod kaloryferem. Postanowił podarować tego czarnuszka Joannie. Przecież sam nie będzie zajmował się kotem... W tym czasie Renata spała spokojnie. Jak nieżywa – pomyślał Tomasz.

Sprzątając w kuchni i pielęgnując kota, myślał w zasadzie tylko o jednym. A właściwie tylko o jednej. O Renacie! Miał jej serdecznie dość i wiele oddałby za to, by teraz leżała na szpitalnym łóżku zamiast starego Walasika. Czy los choć raz nie mógłby mu sprzyjać? Bił się z myślami, bo w nich właśnie kłębiły się okrutne odłamki braku człowieczeństwa. Kiedyś tylko kiełkowały, a dziś już się kłębiły. Sprzątając talerzyk i szklankę z salonu, zauważył na stoliku obok kanapy zupełnie puste opakowanie po proprazolu – popularnym leku na nadciśnienie. Nie wiedział, że Renata leczyła ciśnienie, choć przecież był jej osobistym lekarzem. Dlaczego opakowanie było puste? Czy po prostu wzięła ostatnią tabletkę? Wiedział, że lek ten był zalecany do stosowania po śniadaniu. Zaniepokoił się.

- Czyżby Renata postanowiła się otruć? Nie! Nie miałyby tyle odwagi – uśmiechnął się sam do siebie.

Nachylił się nad nią i poczuł, że oddycha. Wyczuwał też wolny puls. Serce jednak zaczęło bić mu szybciej. Podeszedł do barku i nalał sobie chivasa. Wypił haustem dobre ćwierć szklanki, choć nie znosił alkoholu bez lodu. Podeszedł do kanapy i ponownie sprawdził puls Renaty. Żyła. Puls był słaby, ale Renata żyła. Przez głowę przemknęło mu tysiąc myśli. Czy powinien zawiadomić pogotowie? A może była to po prostu ostatnia tabletką z opakowania?

- Nie! Na pewno się nie otruła! – przekonywał sam siebie. – Nie byłaby do tego zdolna! – A nawet jeśli, nic go to nie obchodzi...

Postanowił rozmówić się z nią jutro. Dziś i tak było to niemożliwe. Wyłączył telewizor i w wieży stereofonicznej nastawił cichutko na tryb powtarzania płytę Phila Collinsa – ... But Seriously.

- Niech ją przynajmniej obudzi dobra muzyka – szepnął sam do siebie.

Zapakował kota w koc i zamknął cichutko drzwi mieszkania na Salwatorze. Zupełnie zapominając o teściu i o tym, że obiecał wpaść do Mariusza Zubalskiego, pojechał prosto do Joanny na Nową Hutę, ciesząc się jak dziecko i domyślając, jak nowa kochanka zareaguje na tego ślicznego czarnego kociaka, którego jej chciał podarować. Niech wie, jakie pokłady empatii drzemią w jego psyche... Potem natychmiast musi jechać do szpitala do teścia... Natychmiast...

5. Piotr

Tego dnia Piotr zbudził się o trzeciej nad ranem i nie mógł spać do samego świtu. Przewracał się z boku na bok w swym szerokim, pięknym, dębowym łożu, ale sen zabrały mu nadranne rozterki. Orfeusz nie chciał tym razem okazać łaski. Zazwyczaj Piotr spał sam, ale od dłuższego czasu, niezależnie od towarzystwa w łóżku, zdarzało się, że nie dosypiał do rana. A że nie miał jeszcze czterdziestu lat, nie myślał nawet, że mogą to być jakieś załóżki kryzysu wieku średniego. Zaraz po nadrannym przebudzeniu, zaczynały go męczyć myśli filozoficzne. Zastanawiał się, czy i po co warto żyć. Pytania te dręczyły go od dawna. Zastanawiał się, czy bóg istnieje i czy jest w pełni władz umysłowych, skoro funduje światu tyle zła. O ile bóg w ogóle ma umysł... i serce... Nie! Na pewno istnieje! W przeciwnym razie, kto dawałby mu tyle dobra, tyle przyjemności w całym jego życiu...

Przewrócił się na drugi bok, tyłem do pięknie rzeźbionej, stylowej, leciwej, dębowej szafy i utkwiał wzrok w obrazku Madonny, stojący na równie pięknej, dębowej toaletce po drugiej stronie łóżka. Nie lubił ciemności, więc zawsze, ilekroć spał sam, pozwalał światłu księżycza wpadać przez okno do sypialni. Światło tej nocy intensywnie oświetlało wszystkie święte bibeloty, nie tylko wiszące na ścianie, ale i dzielące toaletkę z licznymi porozstawianymi kosmetykami. Różaniec z koralami ze szczerzego srebra swobodnie wisiał na strzelistej butelce perfum Givenchy π i połyskiwał równie pięknie, co brązowo-złota ciecz zawarta w flakonie. Srebrny krzyżyk z umęczoną postacią Jezusa taplał się w maleńkiej kropli płynu, która jakimś cudem znalazła się na blacie toaletki, nie chcąc wnikać w dobrze zabezpieczone przed wilgocią drewno. Oprawiony w czarną skórę niewielki modlitewnik, z wygrawerowanym na nim złotym krzyżykiem, spoczywał na podręcznym słowniku polsko-włoskim i włosko-polskim, który w zasadzie częściej służył Piotrowi aniżeli modlitewnik. Przy nim buteleczka perfum Chanel. Nieopodal ciemny flakon perfum Yves Saint Laurent – La nuit de l'homme, stał obok srebrnej ramki, w której umieścił obrazek matki boskiej z dzieciątkiem. Przynajmniej mogła się nawąchać markowych perfum. Czy aby jednak nie była odurzona tymi ciężkimi zapachami, które lubił Piotr?

Resztę toaletki dopełniało kilka kremów i innych drobiazgów. Tandetne obrazki świętych, w pięknie zdobionych, stylowych ramach, wisiały licznie na ścianie. Nad wejściem ciężki krzyż wykonany z jakiegoś egzotycznego drewna, którego nazwy Piotr już nie pamiętał, zdawał się czuwać nad porządkiem dewocjonaliów w pomieszczeniu. Choć porządkiem trudno to było nazwać. Krzyż ten ksiądz Piotr otrzymał w prezencie od swego nieżyjącego już przyjaciela Mirka, misjonarza z Brazylii. Był wart dobrych kilka tysięcy złotych. Ale miał przede wszystkim wymiar sentymentalny.

Teraz leżał, nie mogąc ponownie zasnąć i wgapiał się w Madonnę w srebrnej oprawie. Z pewnością ramka, w przeciwieństwie do swej zawartości, była sporo warta. Kupił ją w Desie za pieniądze, które otrzymał z wydawnictwa salezjańskiego po publikacji książki, której podstawą był doktorat napisany na KUL-u. Nie były to małe pieniądze. Gdyby kiedyś musiał pożegnać się z luksusowym życiem kapelana wojskowego, rezydującego egoistycznie

w luksusowej kamieniczce trzy kroki od sandomierskiego rynku, ramka stanowiła niezłe zabezpieczenie przyszłości. Poza tym, w każdej chwili, ten stary alkoholik, jak nazywał swego przełożonego – biskupa odpowiedzialnego za sprawy wojska, mógł go przenieść do jakiejś mniej dochodowej jednostki wojskowej, a tych przecież z roku na rok ubywało. Zresztą srebrna ramka nie była jedynym kosztownym bibelotem w jego domu.

W Sandomierzu rezydował już szósty rok, jak na kapelana wojskowego – dość długo. Musiał liczyć się z tym, że w każdej chwili zostanie przeniesiony przez biskupa do jakichś Katowic albo Bydgoszczy. Dostanie liście służbowe mieszkancko w wojskowym bloczysku i z pewnością będzie musiał się pożegnać z luksusowym życiem na prowincji, gdzie społeczność wojskowa była dominująca, a w związku z tym i dochody były niegorsze. Może ta myśl spędzała mu sen z powiek od jakiegoś czasu? A może inna? Sam nie wiedział...

Póki co, żyło mu się wspaniale. Gdy w latach 90-tych XX wieku na nowo tworzono struktury kapelanów wojskowych, sceptycznie, żeby nie powiedzieć z rozgoryczeniem, przyjął polecenie przełożonych współorganizowania tych struktur w Warszawie. Nie przypuszczał, że po latach będzie prosił boga, by ta sielanka trwała wiecznie. Początki w Warszawie istotnie były trudne, ale gdy po dwóch latach objął parafię wojskową na Mazurach, gdzie przyszło mu obsługiwać dużą jednostkę wojskową, szybko zrozumiał, że to nie tylko przyjemna praca, ale i żyła złota.

W tym kraju wszystko było absurdem. Przed 1989 rokiem, wiara, religia i kościół, nie były obecne w wojskowym życiu. Idea państwa świeckiego była dominująca. Teraz przeciwnie – wszystkich żołnierzy zmuszano do uczestnictwa w życiu religijnym, według oczywiście powszechnie panującej religii katolickiej. Wszystkie imprezy i uroczystości państwowe jak i lokalne, w których uczestniczyło wojsko, musiały odbywać się z oprawą kościelną. Inna forma była niewyobrażalna. Do tego intelektualny poziom żołnierzy nie był zbyt wysoki, co ułatwiało kościołowi czerpanie zysków. Młodzi żołnierze, często pochodzący z biednych domów i mający prostych rodziców, chętnie garnęli się do uczestnictwa w życiu parafii wojskowej. Często w ten sposób zabijali czas i tęsknotę za domem rodzinnym. Jeszcze chętniej ich podstarzali przełożeni, którzy w poprzednim systemie byli czerwonymi aparatczykami partyjnymi, a teraz na siłę chcieli udowodnić, chyba tak naprawdę sobie nawzajem – właściwe poglądy polityczne, pasujące do nowej epoki. Kto był poza kościołem, był przeciwko państwu... Toteż na Mazurach, dokąd Piotr skierowany został z Warszawy, żyło mu się jak pączusiowi w maśle.

Jeszcze lepszą okazała się parafia wojskowa w Sandomierzu, do której Piotr został przeniesiony z Mazur. Obsługiwała kościół garnizonowy, służący odległej o kilkanaście kilometrów od Sandomierza nowoczesnej bazie wojskowej, w której stacjonowały już nie tak nowoczesne, ale będące nadal dumą państwową, samoloty NATO-wskie. Tak więc Piotr zamienił wiejski, poniemiecki domek mazurski na wygodną kamieniczkę na sandomierskiej starówce. Dwukondygnacyjny, ponad dwustumetrowy budynek zamieszkiwał sam. Mieszczące się przy jednostce wojskowej koszary, a więc w znacznej odległości od miasta, dawały Piotrowi dużo większą swobodę niż na Mazurach, gdzie mieszkał nieopodal żołnierzy. Tutaj odległość pozwalała mu na w miarę niezależne życie. Co prawda całe dowództwo mieszkało również w Sandomierzu, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że w tym klimacie politycznym symbioza wojska i kościoła, obu stronom daje wzajemne korzyści. Było wiadome, że starzy towarzysze wojskowi nie zostaną poproszeni o skorzystanie z prawa do wcześniejszej emerytury, a kościół

z kolei do woli będzie czerpał korzyści majątkowe skąd tylko się da. Co też z wielką wprawą i kunsztem czynił od dwóch tysięcy lat.

Przy hojności zarówno miejscowego społeczeństwa o nieco średniowiecznej mentalności, jak i wspaniałomyślności państwa polskiego, Piotr wyremontował kamieniczkę przy Garncarskiej 9. Oczywiście nie dosłownie, a rękami parafian. Jednak po remoncie, w którym partycypowało zarówno wojsko polskie, jak i poddani kościoła, parter podzielony został na dwie części. Jedną z nich udało się wynająć i aktualnie mieściło się w niej renomowane biuro turystyczne. Drugą Piotr przeznaczył na swoją kancelarię oraz na salkę spotkań młodzieży katolickiej i parafialnego koła różańcowego. Niemalże zyski z wynajmu oczywiście czerpała parafia. Tym sposobem cała góra była przeznaczona do prywatnych celów księdza. I o ile parter kamienicy urządził wręcz z ascezą, to przepychu nie żałował w swych górnych pokojach. Na ponad stu metrach kwadratowych urządził sobie gustowny i wygodny apartamencik z salonem, kuchnią, jadalnią, łazienką, biblioteką, sypialnią, małym gabinetem i nawet pokojem dla gości.

Raz w tygodniu przychodziła pani z koła różańcowego, która sprzątała całe mieszkanie. Była to celowo wybrana osoba, którą kościół opłacał nie tylko za sprzątanie, ale i za zachowanie maksimum dyskrecji. Była to pani Róża, która wraz z bezrobotnym mężem wychowywała niepełnosprawnego umysłowo dziewiętnastoletniego syna Błażeja i której uzależnienie od kościoła nie pozwalało na jakąkolwiek nieposłusznosc. Ta groziła utratą pracy i jednocześnie utratą pomocy kościoła. A na to nie mogła sobie pozwolić.

Na co dzień Piotr jadał, oczywiście za darmo, w stołówce jednostki wojskowej, która prowadziła odrębną kuchnię dla żołnierzy i dla ich dowództwa. Naturalnie kapelan korzystał z łaski kuchni dla dysydentów. W weekendy gotowała mu pani Róża lub sam sobie pichcił. Jeśli miał gości, pani Róża nie miała w ogóle wstępu na plebanię i wtedy mówiło się, że ksiądz Piotr pracuje naukowo...

Przewrócił się z boku na bok i westchnął... Gdyby miał się teraz z tym wszystkim rozstać, byłoby mu bardzo szkoda. Wiedział, że jednak prędzej czy później to nastąpi. Ale po pierwsze miał nadzieję, że zostanie mu przydzielona równie dobra parafia wojskowa, po drugie, że najwyżej po trzech latach przerwy może wróci do Sandomierza. Pierwsze wymagało sporej kasy odpalanej biskupowi polowemu, drugie było niepewne. Sam nie wiedział dlaczego, ale był związany z tym nadwiślańskim miastem nie tylko finansowo, ale duchowo. Może to kwestia utożsamiania miejsca z kochaną osobą... Pewnie tak...

Przewracał się z boku na bok i rozmyślał o swej przyszłości. Bał się jej. Postanowił uruchomić wszelkie warszawskie kontakty, by nie dopuścić do swojego rychłego przeniesienia. Nie teraz! Jeszcze nie teraz! Nie teraz, kiedy czuł się spełniony nie tylko zawodowo, ale i osobiście. W końcu poznał kogoś, na kim mu naprawdę zależało i z kim chciałby związać się na lata, jeśli nie na całe życie. Choć to ostatnie pewnie nie będzie mu dane. Był teraz szczęśliwy i chciał to swoje szczęście zatrzymać jak najdłużej. Z lubością zaczął rozmyślać o ponadtygodniowym wyjeździe do Grecji, który miał nastąpić pojutrze. Był szczęśliwy, że wyjeżdżał z ukochaną osobą, odpocznie od parafii i obowiązków kapelana. Rozmyślając, to o Akropolu, to o nadegejskich plażach, w końcu zasnął...

Po trzech godzinach zakładał już na modne dzinsy Lee i świeżą, Inianą koszulę z Zary –

czarną sutannę. Czuł, że jego mocno owłosione ciało nie zostało dobrze osuszone po porannym prysznicu, ale zaspał. Właściwie zasnął wtedy, gdy czas było wstawać. Teraz zrobiło się już naprawdę późno i bardzo się śpieszył. Jedynie kilkanaście minut dzieliło go od siódmej i wiedział, że dzisiaj, choć był to dzień ze spowiedzią, tak naprawdę starczy mu czasu jedynie na szybkie rozpoczęcie porannej mszy. Skropił szyję mocnym zapachem Yves Saint Laurent, założył modne mokasyny i szybko wybiegł z domu. Drzwi zatrzaśkiwały się, dzięki bogu same, więc nie musiał tracić niepotrzebnie czasu na szukanie kluczy.

Kilka minut przed siódmą wpadł do zakrystii kościoła i szybko założył liturgiczne szaty, przygotowane dużo wcześniej przez kościelnego – pana Zygmunta, męża pani Róży. Ten, przyzwyczajony był do tego, że ksiądz Piotr wpadał na poranną mszę w ostatniej chwili, bo przecież każdy wiedział, że pracował naukowo do późnej nocy. Przynajmniej tak się zwykle mawiać. Zresztą i miejscowi parafianie, głównie wojskowi notable, i zwyczajni żołnierze z jednostki, byli dumni z księdza naukowca. Nawet jeśli niewiele wiedzieli o tych jego naukowych teoriach. Zwłaszcza teologicznych.

Zaplanowana raz w tygodniu poranna spowiedź, rzadko rzeczywiście miała miejsce. Toteż i dzisiaj nieobecność księdza nie zbulwersowała nikogo. Ksiądz nie dbał o to, wiedząc, że na porannej mszy zawsze były stałe bywalczyńskie – miejscowe dewotki z okolicznych domów, najczęściej stare baby, zwane też pierduśnicami kościelnymi, które bez kościoła i księdza nie potrafiły żyć. Niejedna z nich była wręcz platonicznie zakochana w przystojnym kapłanie, a ten wiedział kiedy i jak to wykorzystać. Nadszakał tym starym jędzom jak tylko potrafił, i nierzadko chwalił jedne przed drugimi, by w tych drugich wywołać zazdrość o te pierwsze, i by następnym razem sytuację odwrócić. Oczywiście nie bezinteresownie. Intrygi w parafii wychodziły mu dobrze i stanowiły stałe źródło zarówno informacji, jak i dochodów.

Dzisiaj jednak nie miał zupełnie głowy, by myśleć o rozmówkach ze swoimi fankami, które zazwyczaj miały miejsce po mszy. Tego dnia w ogóle nie miał na nie czasu. Od rana jego głowę zaprzętała tylko jedna myśl. Punktualnie o godzinie 10:15 odbierał z miejscowego dworca PKS-u Miłosza, który przyjeżdżał porannym autobusem z Lublina. A po porannej mszy musiał jeszcze pędzić do marketu, by zrobić ostatnie zakupy przed przyjazdem młodego kochanka.

Źle spał. Nie była to tylko wina możliwego przeniesienia do innej parafii, ale przede wszystkim przyjazdem Miłosza, z którym pojutrze rano, zaraz po porannej mszy, wyruszą do Katowic, skąd wieczorem mieli samolot do Grecji. Martwił się tym, by ktoś ich nie spostrzegł razem, bo przecież Sandomierz to nie metropolia i o plotki nietrudno. Miał już przygotowaną odpowiedź, w razie spotkania kogoś znajomego, że niby to odbiera z dworca swojego siostrzeńca Mikołaja, syna Marii. Teoretycznie było to prawdopodobne, ale w praktyce wręcz niewyobrażalne. Mikołaj miał swój świat i nie utrzymywał prawie żadnych kontaktów z wujem. Poza tymi wyjątkami, kiedy to udawali kochającą się rodzinę na rozmaitych uroczystościach rodzinnych. Te jednak miały miejsce zazwyczaj w Krakowie.

Mikołaj był przeciwieństwem jego Miłosza i na samą myśl o porównaniu tych dwóch młodych mężczyzn, Piotra zakłuło serce. Mikołaj był rodzinnym cwaniaczkiem korzystającym z faktu, że był jedynakiem i jedynym wnuczkim dziadków. Miłosz natomiast, był ułożonym, młodym, grzecznym, skromnym chłopcem z głową pełną ambitnych planów. A nade wszystko, Miłosz był wspaniałym katolikiem o sercu pełnym wiary, a Mikołaj zwykłym hipokrytą.

Kochanek pochodził, co prawda z rozbitej rodziny i razem z trójką rodzeństwa wychowywała go jedynie matka i wychowała na wspaniałego chrześcijanina. Miłosz studiował teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie Piotr kilka lat temu kończył doktorat. Nie poznali się jednak na uczelni, ale na gejowskim portalu internetowym i tylko przypadek sprawił, że kojarzyli swe twarze z uczelni.

Miłość rozkwitała. Piotr nie widział świata poza Miłozsem, ale nie był też głupcem i nie zamierzał porzucić swojego wygodnego życia. Poza tym nie wiedział, czy Miłosz w takim samym stopniu odwzajemnia jego uczucia. Co prawda na tę chwilę nie było to dla niego takie istotne, jednak rozważał rozmaite rezultaty ich namiętnego związku. Finansowo inwestował w uczucie wiele, ale jednocześnie dbał o swoje bezpieczeństwo i nie zamierzał komunikować światu, że on, ksiądz doktor teologii, spotyka się z dużo młodszym mężczyzną.

Jak do tej pory młody kochanek był jednak tylko dwa razy gościem plebanii w Sandomierzu. Obiecali sobie przecież maksimum dyskrecji i ostrożności. Co dwa – trzy tygodnie organizowali sobie piątkowo-sobotnie schadzki, ale poza miastem. W niedzielę Piotr musiał być do dyspozycji parafii. Byli ostrożni i najczęściej wybierali albo przydrożne motele, w których udawali turystów, albo hotele w okolicznych miastach – Tarnobrzegu, Kraśniku, Stalowej Woli, Mielcu, a nawet w Starachowicach czy Kielcach. Pokój zawsze był wynajęty na Miłozsa, choć płacił Piotr i tylko gotówką. Mimo uczucia, ksiądz był zawsze arcyostrożny. Nie pozwalał Miłoszowi na tych wyjazdach nawet zwracać się przy ludziach do siebie prawdziwym imieniem. Na wyjazdach zawsze był Bartkiem. Zresztą takim imieniem przedstawił się Miłoszowi po raz pierwszy, a ten tak do tego przywykł, że nawet zwracał się do niego w ten sposób mimo braku świadków.

Teraz jednak musieli spotkać się w Sandomierzu. Wylot do Grecji był z Katowic i chcieli tam razem pojechać samochodem. Piotr nie chciał, by Miłosz cały dzień tłukł się pociągiem z Lublina do Katowic, a potem jeszcze szukał połączenia na odległe od centrum miasta lotnisko. Całą dobę zaplanowali więc spędzić na plebanii, zachowując maksimum ostrożności. Miłosz obiecał Piotrowi, że nie będzie wychodził na zewnątrz i cały czas spędzą razem. Piotr bardzo cieszył się na to spotkanie, ale mimo wszystko stres towarzyszył mu od kilku dni.

Dziś odprawił mszę bardzo pośpiesznie. Nie zauważył, że zwróciło to uwagę kilku obecnych na nabożeństwie starszych pań. Te stałe bywalczyne jednego, ciągle powtarzającego się przedstawienia, doskonale wyczuwały nastroje swojego pasterza. Wiedziały kiedy ksiądz Piotr przychodził do kościoła rankiem niewyspany, a kiedy nadąsany z powodu wstania lewą nogą. Wiedziały też, że bywały dni, kiedy księdzu bardzo się spieszyło. I to był właśnie ten dzień. Na ogół te stare dewotki znały powód porannego pośpiechu księdza, ale nie dzisiaj. Nie były to ani poranne manewry, przed którymi ksiądz udzielał błogosławieństwa żołnierzom, ani pilny wyjazd księdza do Krakowa czy Warszawy. Tak więc nieco zaskoczone tym porannym pośpiechem, tym bardziej były na niego wyczulone.

Piotr czym prędzej zakończył modły, zrzucił sutannę i nie tracąc czasu na dopieszczanie komplementami starszych pań, zapuścił silnik w swojej terenowej toyocie. Ruszył pośpiesznie w kierunku centrum handlowego na przedmieściu. Musiał nie tylko zrobić zakupy, ale myślał też o tym, by przed odebraniem Miłozsa z dworca, wziąć prysznic, odświeżyć się i ogarnąć mieszkanie po porannym zaspaniu. Musiał też zorganizować przekazanie niezbędnych

dokumentów swemu zastępcy w czasie urlopu – księdzu Grzegorzowi z parafii ze Starego Miasta, który pełnił posługę w czasie jego urlopu.

Miłosz przyjechał tego dnia rozpromieniony. Był bardzo szczęśliwy, że Piotr fundował mu wyjazd do Grecji. Gdyby nie ksiądz, nigdy nie wyjechałby za granicę. Tymczasem był to ich trzeci wyjazd zagraniczny, w tym drugie wczasy. Kilka ładnych miesięcy temu byli w Hiszpanii, również na tygodniowym wypadzie, a jeszcze wcześniej na dwudniowej wycieczce we Lwowie.

Wyjazdy zagraniczne były dla Miłosza niczym przestąpienie progu innego świata. Piotr zawsze opłacał chłopakowi cały pobyt i dawał kieszonkowe. Słowem fundował wszystko. Zarówno przed Hiszpanią, jak i teraz przed Grecją, dał chłopakowi także parę stów na to, by ten nabył kilka ciuchów na wyjazd, z czego chłopak chętnie skorzystał. Poza tym miał nadzieję, że podobnie jak po Hiszpanii, Piotr zabierze go do strefy wolnocłowej, by zakończyć miłe wczasy jakimś flakonem dobrych perfum.

Miłosz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że z zakochanym w nim księdzem można zająć daleko, trzeba tylko było kuć żelazo póki gorące. Nie był to jego pierwszy kochanek w sutannie. Studia teologiczne wybrał właśnie dlatego, że spotykał się wcześniej z innym księdzem, dzięki któremu zaliczył pierwszy rok. Jednak wybraniek okazał się niestały i swoje uczucia skierował w stronę innego studenta. Miłosz zdawał sobie sprawę ze swej atrakcyjności i szybko wziął na celownik Piotra, którego przypadkowo poznał w internecie. Nie było to takie trudne. Miłosz był bardzo atrakcyjnym, szczupłym, przystojnym chłopakiem o jeszcze chłopięcym wyglądzie, ujmującym spojrzeniu i szczerym uśmiechu. Piotr z kolei, choć sprawiał wrażenie niedostępnego prawie czterdziestolatka i mimo tego, że również należał do przystojnych mężczyzn, w rzeczywistości był samotny i tak spragniony uczucia, że szybko wpadł w pajęczynę rozstawioną przez Miłosza. A ten nie miał dla niego litości... Zwłaszcza finansowej...

Jechali samochodem prosto na plebanię. Miłosz zaczął swoją grę czułości i namiętności, by z lubością obserwować spolegliwość swego kościelnego kochanka. Chciał też jak najwięcej skorzystać materialnie na tym wyjeździe. Bawił się uczuciem do Piotra i co najgorsza, zdawał sobie sprawę z tego, ile ta zabawa daje mu rozkoszy. Pielęgnował swoje zepsucie. Tymczasem Piotr myślał z niepokojem tylko o tym, by jak najdyskretniej wprowadzić Miłosza na plebanię. Chwała bogu, kamienica miała wjazd na podwórze przez garaż ulokowany w części parterowej. Garaż, ze względów bezpieczeństwa, nie posiadał połączenia z częścią mieszkalną domu, a to dlatego, że był przyłączony do części przeznaczony na wynajem, czyli obecnie do siedziby biura podróży. Toteż wejście frontowymi drzwiami, ulokowanymi od głównej drogi, odpadało. Dobrze, że garaż miał wyjście na podwórze. Zatem pozostało wejście do domu tylnymi drzwiami, przejście przez salki kółka różańcowego i jednocześnie zanoszenie modłów, by sąsiedzi, graniczący z nim właśnie od podwórza, byli w pracy, poza domem lub po prostu nie zauważyli tajemniczego gościa. Modły tego dnia zostały wysłuchane... Wszystko przebiegło gładko...

Godzinę później, gdy wyczerpani leżeli nago w łóżku, w sypialni okraszonej wszelkiego rodzaju bibelotami kościelnymi, zadzwonił telefon Piotra.

- Kto to może być o tej porze? – zdziwił się ksiądz – rzucając pytanie ni to do Miłosza, ni

to do siebie.

Przechylił się przez dębowe łóżko, zahaczając nogą o róg kołdry zapakowanej w żółto-niebieską satynową pościel i spojrzął na podłogę, gdzie kolorowymi światełkami pulsował malutki Samsung, wydając z siebie jednocześnie piskliwe dźwięki jakiegoś hiszpańskiego utworu. Dźwięk ten ustawił mu na ostatnim spotkaniu Miłosz, który nie mógł znieść wybranego przez Piotra odgłosu starego dzwonka.

- Mama! – zdziwił się ksiądz, zerkając na ekran i spojrzął wymownie na Miłosza, równie wymownie podnosząc brwi i lekko grymasząc usta.

Podniósł telefon z podłogi i przez chwilę zastanawiał się, czy go odebrać, ale zaniechał tego i postanowił dać mu się wydzwonić. Trwało to kilkanaście sekund. Jednak po chwili telefon znów zaczął dzwonić tę samą melodię, tym razem wprawiając w irytację duchownego, wyrwanego z objęć młodszego kochanka.

- Odzwonię później – orzekł Piotr – rzucając to jakby trochę do Miłosza, a trochę do siebie.

- Może to coś pilnego? – zapytał Miłosz – bardziej przez grzeczność, niż z troski.

- Myślę, że mama chce zaprosić mnie na tę lub następną sobotę na obiad. Wspominała o tym przedwczoraj – przypomniało się duchownemu. – Odzwonię do niej później – dodał i ponownie pozwolił wydzwonić się telefonowi, nie odrzucając połączenia. Następnie ustawił tryb „milczący” i spokojnie przytulił się całym ciałem do Miłosza. W tej chwili był w stanie myśleć tylko o jednej osobie. I na pewno nie była nią matka...

Kilka godzin później, gdy Miłosz spał, Piotr zadzwonił do mamy, układając przedtem kilka wymówek przed sobotnim wyjazdem do Krakowa. Racjonalnie rzecz biorąc, nie mógł matce objaśnić, że nie może brać udziału w najbliższych zjazdach rodzinnych z powodu chęci podupczenia się z młodym kochankiem w Grecji. Z pewnością taka odpowiedź zabiłaby matkę, a nawet jeśli nie od razu, z pewnością mocno odbiłaby się na jej zdrowiu. A tego on, jako dobry syn, ksiądz i przede wszystkim dobry katolik, nigdy by matce nie zrobił. Kochał ją i wiedział, że taka odpowiedź zepsułaby ich relacje. Może nawet na zawsze. A na to nie mógł sobie pozwolić. Szanowany ksiądz powinien mieć matkę czynnie uczestniczącą w życiu kościoła.

Przygotowania do wymówek na nic się zdały, bowiem mama już na samym początku rozmowy streściła synowi powód dopołudniowego napierania na telefon i poprosiła Piotra o pilny przyjazd do Krakowa. Na to jednak Piotr nie był gotów. Prośba matki wprawiła go w konsternację. Od lat był skłócony z ojcem i w zasadzie nie rozmawiał z nim nawet przy stole. Czasem rzucili sobie kilka zdawkowych słów, resztę dialogu prowadząc za pośrednictwem matki. Ojciec nie akceptował powołania syna do kapłaństwa i niejednokrotnie dawał upust swym emocjom. Nawet przy stole w obecności matki i rodzeństwa. Raz nawet ojciec na osobności, gdy nikogo nie było w domu, wprost zwrócił się do Piotra:

- Wiem synu dlaczego jesteś klechę! Wiem, że ciągnie Cię do facetów i nie akceptuję tego, ale nie waż się o tym nigdy powiedzieć matce! To by ją zabiło!

Piotr nic nie odpowiedział ojcu, ale bardzo zaboląły go te słowa. Nigdy nie spodziewał się, że ktokolwiek może wątpić w jego powołanie. Nawet on w nie nie wątpił i ojciec też nie miał prawa. Nie miał prawa po prostu! Przecież był dobrym katolikiem i prawym człowiekiem. Przez całe życie tłumił swe popędy tylko dla boga i nikt nie miał prawa mu tego wytykać. Zwłaszcza ojciec, który miał względem niego zbyt mocno wygórowane oczekiwania. Zresztą podobnie jak względem Michała, który też przez ojca popadł w niezłe tarapaty. Piotr nie życzył sobie po prostu, by ktokolwiek z rodziny mógł myśleć jak ojciec. Nie akceptował takiego myślenia, bo nie akceptował siebie. Niestety nie zdawał sobie z tego sprawy. Robił wszystko, by zarówno ojciec i matka, a także rodzeństwo, szwagier Tomasz, mężowie Gabrieli i nawet Mikołaj myśleli, że jedynym powodem jego kapłaństwa jest powołanie. Powołanie – czyli boski pierwiastek, który bóg wspaniałomyślnie zesłał jego krakowskiej rodzinie, by uświetnić ją i podnieść w hierarchii społecznej na wyższy poziom człowieczeństwa.

Nie! Nigdy! Zwyczajnie nigdy nikomu nie wolno było myśleć, że cokolwiek innego mogło być powodem stanu duchownego Piotra, jak powołanie. Jedynie ta wersja była dopuszczona przez rodzinną inkwizycję, choć i tak władza wykonawcza należała do niego samego. Nikt nie mógł myśleć, że prawdziwym powodem wstąpienia przez niego do seminarium duchownego była odmienna orientacja seksualna, tak niepasująca do ich prawej rodziny. I w ogóle do całej społeczności, w której żyli. Nikt nie mógł tak myśleć na czele z nim samym. Nie akceptował siebie takim jakim był i nikt nie miał również prawa takiego go akceptować. Czym innym jednak był fakt, że prowadził aktywne życie seksualne. To uznawał za swoją słabość, z której regularnie się spowiadał, podobnie jak wielu duchownych. I absolutnie nie wiązał jej z powołaniem, które z biegiem czasu coraz skuteczniej sobie wmawiał. Ale po co? Sam nie wiedział. Czuł jednak, że w życiu forma dużo bardziej liczy się od materii i nie śmiał się temu sprzeciwiać.

Mylił się jednak w ocenie swoich bliskich, nie podejrzewając, że doskonale zdają sobie sprawę z jego seksualności. Wszyscy, za wyjątkiem matki, zdawali sobie sprawę z tego, że duchowieństwo to ucieczka ich krewnego od siebie samego. Wszyscy też, oczywiście poza matką, podejrzewali Piotra o to, że jest z kimś na stałe. Najpewniej z jakimś innym duchowym, jak mniemali. Jednak jak na szanującą się krakowską rodzinę, nigdy o tym nie rozmawiali. Ba! Każdy z nich z osobna myślał, że tylko on odkrył prawdę o Piotrze i te podejrzania obce są pozostałym członkom rodziny, zwłaszcza ojcu i matce. Nawet Gabriela, najbardziej nowoczesna w swych poglądach, oczywiście jak na krakowskie środowisko, nie rozmawiała na ten temat z żadnym ze swoich mężów, tym bardziej z Dariuszem, który z nich wszystkich był chyba najporządniejszy. Zresztą niewiele ją to tak naprawdę obchodziło. Maria z kolei, póki Piotr pozornie wyłączony był ze względu na kapłaństwo z majątku rodzinnego, nie interesowała się zbytnio sprawami brata. Zaangażowany w szpitalne i nie tylko miłostki Tomasz, miał w nosie całą rodzinę Walasików, dopóki mogli mu się do czegoś przydać. Zwłaszcza finansowo. Mikołaj żył swoim życiem bawiącego się młodzieńca. A Michał nawet nie wiedział, w której parafii Piotr rezydował. Wszyscy oni jednak patrzyli na Piotra zupełnie inaczej, niż by tego oczekiwał. Wszyscy doskonale grali swoje role, jak w prawdziwym teatrze. Jednak dużo bardziej poważnie, bo przecież grali swoje życie. Odgrywali siebie nawzajem według pożądanego wzorca, jednocześnie prawdziwych światu nie ujawniając. Zachowywali swe prawdziwe wnętrza tylko dla siebie, sprzedając na zewnątrz jedynie fałszywe maski. Czy jednak naprawdę pożądaną, a jeśli tak, to przez kogo? Sami nie wiedzieli. Po prostu grali jak stary gramofon ze zdartą płytą Violetty

Villas, stojący na ręcznie robionej koronkowej serwecie krakowskiego kredensu...

- Dobrze byłoby Piotrusiu, byś jak najszybciej przyjechał do ojca – cicho ponowiła swą prośbę matka.

Ta prośba spadła na niego jak potężny kamień. Wiedział, że stan ojca jest na tyle ciężki, że mógł go już więcej nie zobaczyć żywego i powinien pojechać. I normalnie rzecz biorąc, z pewnością pojechałby natychmiast jak to tylko możliwe, by choć udzielić ojcu ostatniego namaszczenia. Już nie mówiąc o tym, że tak zwyczajnie po prostu wypadało. Ale w tym momencie było to niemożliwe! Nazajutrz wyjeżdżał przecież z Miłozem do Grecji i mowy nie było, by ten wyjazd przełożyć lub nie daj bóg – odwołać. Zbyt długo na ten wyjazd czekali i nie mogli z niego zrezygnować. Zwłaszcza Miłoz mógłby to źle odebrać i jego reakcji Piotr obawiał się najbardziej.

- To złamałoby temu wrażliwemu chłopakowi serce – pomyślał.

- Na pewno ojciec wyzdrowieje – powiedział już na głos. - Myślę, że nie powinnaś się aż tak martwić – pocieszając matkę kłamał i starał się przedłużyć rozmowę, by wymyślić jakiś racjonalny powód odmowy.

Jednak na tę chwilę nic nie przychodziło mu do głowy. Nie mógł się przecież wyłączać parafialnymi obowiązkami w obliczu możliwej śmierci ojca. Nie mógł w ten sposób ranić matki, która kochała go tak szczerze i bezgranicznie. Z drugiej strony planowany wyjazd do Grecji nie był dwudniowy i nieodwiedzenie ojca teraz, spowodowałoby niemożność odwiedzenia go przez dłuższy czas. Nie wiedział co począć. Coraz mocniej ścisnął w dłoni telefon, wpatrując się tępo w książki zgromadzone na regałach w bibliotece, do której wyszedł, by nie budzić kochanki i móc swobodnie porozmawiać z matką. Zaświtała mu w głowie myśl, że może udałoby się odwiedzić ojca w drodze na lotnisko, ale zarzucił ją równie szybko, jak szybko się pojawiła. Po pierwsze, na lotnisko nie jechał sam i ciężko byłoby ukryć Miłoz. Poza tym, nie chciał wtajemniczać chłopka w swoje relacje rodzinne, by ten, nie daj boże, kiedyś tego nie wykorzystał. Po drugie, był pewien, że co najwyżej dwugodzinny pobyt w szpitalu wzbudziłby podejrzenia wśród rodzeństwa, bo matkę udałoby się jakoś przekonać, ale przez bliskich na pewno zostałby źle odebrany. Wiedział, że z tego nie udałoby się mu wytłumaczyć. No i po trzecie, może najważniejsze, nie był pewien, czy chce widzieć ojca. Oczywiście tak wypadało i tego oczekiwało otoczenie, ale czy on sam także? Jako duchowny, oczywiście tak. Ale jako on – syn Piotr Walasik, nie czuł wewnętrznej potrzeby oglądania ojca w chorobie czy żegnania się z nim na wypadek możliwej śmierci. O nie!

- Mamusiu, w ciągu trzech najbliższych dni nie będzie to możliwe, bo jestem wezwany do biskupa polowego do Warszawy – skłamał szybko i aż zdziwił się, że poszło mu to tak gładko.

- Czego ten biskup znów od Ciebie chce? – rzuciła poirytowana matka? – Ciągłe Cię wzywa na jakieś spotkania i narady do Warszawy. Ciągłe do niego jeździsz – ciągnęła dalej swoje...

- Mamo, nie denerwuj się. Nie tylko ja zostałem wezwany, ale wszyscy kapelani wojskowi z regionu – kłamał dalej Piotr – z tego co wiem mamy do omówienia zmiany, które

rząd szykuje dla wojska.

- Dlaczego ciągle Ciebie wzywają?

- Wiesz przecież, że jestem zobowiązany do posłuszeństwa i jestem posłuszny. Nie mogę nie jechać – przekonywał sam siebie Piotr.

Matka westchnęła. Piotr wiedział, że ją przekonał i poczuł ulgę. Jednak była to ulga chwilowa. Wiedział, że po tych kilku dniach znów będzie musiał okłamywać matkę, a najgorsze, że będzie do niej dzwonił z Grecji i pewno zapłaci majątek za telefon. No ale nie było innego wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji. Na tę chwilę udało mu się wymyślić kilka dni zwłoki, ale nie wiedział co dalej. Z pewnością ta sprawa zatruje mu cały wyjazd. Nie przejmował się jednak bardzo tym, że tak kłamał, a raczej tym, że musi skupić się nad dalszym ciągiem tej historii, by nigdy się nie wydało, że był w Grecji w czasie, gdy rodzina go potrzebowała. Zapewnił matkę o tym, że zrobi wszystko, by jak najprędzej pojawić się w Krakowie i zobowiązał ją do informowania go o stanie zdrowia ojca. Skończył rozmowę i zły na całą tę sytuację westchnął:

- Też tatuś nie ma kiedy umierać, tylko akurat właśnie teraz, kiedy ja potrzebuję chwili dla siebie. A niech to wszystko szlag trafi...

Wpatrywał się w ładnie oprawione encyklopedie i słowniki swej gustownie urządzonej biblioteki, stanowiącej wąski przejściowy pokój między pokojem dziennym a jadalnią. Brzoskwińskie ściany ładnie komponowały się z wiśniowymi, u góry podświetlanymi regałami, wypełnionymi po sufit różnej treści książkami, czasopismami i filmami. Wiśniowe biurko pod oknem, stojąca lampa z białym abażurem i wygodny fotel, w którym teraz siedział, dopełniały pokój. Wgapiając się w książki rozmyślał, jak rozegrać całą tę nieprzewidzianą historię. Po trzech dniach musi zaserwować rodzinie kolejne łgarstwo, by móc spędzić miłe chwile z Miłozsem.

- Tylko co powiedzieć? – pytał sam siebie i dalej rozmyślał.

Powie matce, że został w trybie pilnym wysłany do swej starej parafii na Mazurach, by uregulować sprawy, które zostawił tam otwarte. Tak! Pyszny pomysł! Czy jednak matka da wiarę temu, że biskup nie pozwolił mu choć na jeden dzień zajrzeć do Krakowa? Wątpliwe. Matka będzie podejrzewać go o to, że po prostu nie chce przyjechać do ojca i jeszcze gotowa wysłać Tomasza, albo Mikołaja po niego do Sandomierza lub na Mazury.

- To by się dopiero sprawa rypla – rozmyślał przebiegle.

Nie! Ten pomysł nie był idealny i do tego nazbyt ryzykowny. A może powie, że został pilnie wysłany do Watykanu na 5 dni? Tak! To była lepsza myśl. Do Watykanu za nim nie pojedą. A w razie, gdyby wpadło im do głowy przyjechać do Sandomierza, dowiedzą się od Róży i Zygmunta, że ksiądz jest za granicą. Nic więcej i tak nie wiedzą. Poza tym nie będzie musiał się tłumaczyć z krótkich rozmów telefonicznych i z opalenizny. To była najlepsza myśl... Postanowił też nic nie mówić Miłozsowi, a w razie gdyby zapytał o telefon od matki, powie, że chciała go zaprosić na sobotę na obiad. Uśmiechnął się sam do siebie i wstał, by się przebrać. Misternie utkany plan usprawiedliwiony okolicznościami i uświęcony katolickimi potrzebami,

należało rychle wprowadzić w życie...

Na nagie ciało założył tylko sutannę, po czym skropił skronie i szyję perfumami Chanel. Postanowił zrobić niespodziankę Miłoszowi, który tak lubił sex w sutannie i uśmiechając się sam do siebie, delikatnie zaczął go budzić...

6. Dariusz

Tego ranka Dariusz wstał dużo wcześniej niż zwykle. Rzadko mu się to zdarzało, ale dzisiaj była też wyjątkowa ku temu okazja. Dziś również, zupełnie inaczej niż każdego dnia, nie przestawiał swojego telefonu komórkowego na trzecią z kolei drzemkę, ale zerwał się na równe nogi zaraz przy pierwszym dzwonku. Pośpiesznie wyciszył telefon i cichutko wstał, by nie zbudzić żony. Jak dobrze, że miał w zwyczaju kłaść kapcie zaraz przy łóżku. Dawaly z rana namiastkę ciepła wyniesionego spod kołdry. Gabriela tymczasem spała – przynajmniej tak myślał Dariusz...

Była szósta rano. Słońce zaczęło nieśmiało zaglądać do ich przytulnie urządzonej sypialni i padało na ogromną szafę w kolorze klonu, przyozdobioną wielkimi lustrami. Jak zwykle Gabriela nie zaciągnęła wieczorem zasłon w sypialni, choć wiedziała, że mąż lubił pospać. Może była o coś zła? Nadąsana? Nie wiedział tego. Może po prostu zapomniała. Wieczorem nie mówił jej, że rano wcześniej wstaje, ale mogła się przecież domyślić, bo widziała, że pakował torbę podróżną i wiedziała, że wyjeżdża na kilka dni do Warszawy. Nie pytała jednak, kiedy wyrusza. Może nie chciała. Może było jej wszystko jedno.

Usiadł na brzegu łóżka i zaczął się przeciągać. Lubił raniem rozciągnąć ramiona na całą szerokość i zrobić kilka wymachów w lewo i prawo, tak by poczuć, jak góra od piżamy ledwo trzyma się w szwach. Dalekie było to od porannej gimnastyki, wskazanej choćby ze względu na jego wiek, ale zawsze coś. Prawie pięćdziesięcioletni facet musi dbać o zdrowie, ale jakoś Dariusz unikał tej dewizy. Póki był szczupły, nie dbał szczególnie o zalecenia wypowiedane przez lekarzy. Poczul pół-wzwód i nie wiedział, czy to ze względu na swoje potrzeby seksualne, czy tylko ze względu na potrzeby fizjologiczne, bo jak co rano, zachciało mu się sikać. Z biegiem czasu było to coraz trudniejsze do rozszyfrowania, ale na wszelki przypadek, cieszył się z każdej oznaki młodości.

Narzucił na siebie szlafrok i skierował się do łazienki, graniczącej w ich luksusowym apartamencie z sypialnią. Choć, dzięki pracy Gabrieli, stać ich było na porządny dom pod miastem, zdecydowali się na luksusowe mieszkanie w starej kamienicy, kilka lat temu generalnie wyremontowaną przez właściciela i przygotowaną prosto pod tego typ klientów. Oboje sporo pracowali, nie mieli dzieci, a nawet psa czy kota i zakup domu wydawał się niepotrzebny. Dziewięćdziesięciometrowe mieszkanie zupełnie im wystarczało. Zwłaszcza, że znajdowało się w samym śródmieściu, choć z dala od gwaru, zgiełku, turystów i studentów. Poza tym Gabriela nie miała zacięcia do prac domowych i właściwie dom prowadziła pani Stenia, która przychodziła do nich co dwa dni sprzątać, gotować, piec. Za wszystko płaciła Gabriela. Stać ją było na to. Zresztą mieszkanie formalnie też do niej należało. Wyciągała z prowadzonych firm mnóstwo kasy i to nie do końca legalnie. Dariusz o wielu rzeczach wiedział, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Nie mieszał się w interesy żony, choć w wielu sprawach służył jej nieocenioną radą fachowca podatkowego. Wiedział także o jej niektórych interesach prowadzonych z ojcem, ale ponieważ Gabriela nigdy o tym nie mówiła, tematu ojca nie wywoływał. Gdyby wiedział o wszystkich interesach żony z teściem, pewnie rozstałby się z nią

czym prędzej...

Szybko się ogolił i odkręcił wodę pod prysznicem. Zrzucił piżamę i wszedł pod strumień wody. Biorąc prysznic lubił rozmyślać, dlatego czynność ta zabierała mu sporo czasu. A tego ranka miał nad czym rozmyślać. Wyjeżdżał do Warszawy, a przed wyjazdem musiał coś jeszcze załatwić. Od kilku dni sprawa ta nie dawała mu spokoju. Prezes spółki Vigorex, niejaki Witold Oczko, zgłosił się do niego jakiś czas temu, by poprowadził sprawę przetargu na budowę trzech przejść podziemnych na jednym z dużych osiedli, w którym ten startował ze swoją ofertą. Na ogół Dariusz nie prowadził postępowań przetargowych, ale sytuacja była nadzwyczajna. Po pierwsze, sam teść poprosił go o pomoc w tej sprawie, a po drugie, znał osobiście, jeszcze z czasów studenckich, naczelnika wydziału inwestycji miejskich. Oczko był gotów podzielić się zyskiem z naczelnikiem wydziału, byle tylko wygrał przetarg wart kilka milionów złotych. Niestety nie miał dojścia do naczelnika wydziału, ani do żadnej ważnej osobistości z magistratu. Stąd też trafił do Dariusza, który choć z pochodzenia nie był krakowianinem, cieszył wśród miejscowych biznesmenów dużym szacunkiem, ze względu na poważne znajomości w miejscowej administracji. Prowadził z sukcesem wiele spraw nie tylko podatkowych i celnych, ale pośredniczył w wielu innych sprawach administracyjnych.

Zakręcił wodę i wziął czysty ręcznik. Jak załatwi sprawę Oczki, będzie mógł spokojnie jechać do Warszawy do swojego drugiego biura. Gdy wrócił do sypialni Gabriela już nie spała.

- Nie wiedziałam, że tak wcześnie jedziesz do Warszawy – zagadnęła.

- Przed wyjazdem muszę jeszcze zajrzeć do biura i załatwić kilka spraw – odpowiedział mieszając prawdę z kłamstwem. Do biura wcale nie musiał zaglądać, a sprawę miał do załatwienia tylko jedną. Za to niezłej wagi.

- Źle spałam – zmieniła temat Gabriela – śnił mi się ojciec – dodała.

- To dziwne. Rzadko go widzujemy przecież – skłamał, chcąc uciąć temat.

Doskonale wiedział, że Gabriela dawno zakopała topór wojenny z ojcem, a i on miał okazję widywać się z nim tak, by żona o tym nic nie wiedziała. Jednak nie miał ani ochoty, ani czasu na zwierzenia na temat teścia. Sprawa Oczki i wyjazd do Warszawy zaprzętały wszystkie jego myśli. Poza tym nie chciał wsypać się z czymś niewygodnym lub z czymś co wie, a nie powinien.

- No wiesz, nie wspominałam Ci, ale ostatnio dzięki ojcu złapałam dobrego klienta na Ukrainie – ciągnęła Gabriela.

- Czy Twoja matka o tym wie? – zapytał, by definitywnie uciąć temat.

No i udało się. Gabriela głośno westchnęła i odwróciła się na bok. Ku uciesze męża zamilkła. Dariusz tymczasem ubierał się, krzątając się między sypialnią, przedpokojem, a salonem. Miał w zwyczaju nosić eleganckie ubrania, toteż Gabrieli wcale nie zdziwiło, że wiązał pod szyją gustowny krawat. Przemknęło jej przez myśl, czy aby na pewno będzie mu wygodnie w czasie podróży, ale ostatecznie jechał do pracy do Warszawy, a nie na majówkę.

Dariusz w zawiązanych już butach zakładał marynarkę, przeglądając się w dużym lustrze w przedpokoju. Stwierdził, że jak na czterdzieści osiem lat wygląda znakomicie. Wysoki, szczupły, zadbany, szpakowaty pan w średnim wieku. Do tego dobrze ubrany i z dobrze wypełnionym portfelem. O tym ostatnim żona jednak nie musiała wiedzieć. W sumie cieszył się, że nie wchodzili sobie w interesy.

- I niech tak pozostanie – westchnął.

Spojrzał na zegarek, zabrał przygotowaną dzień wcześniej walizczkę na kółkach oraz torbę z dokumentami i pożegnał się z żoną.

- Ani słowa mamie o moich interesach z ojcem – z pretensją w głosie dodała na pożegnanie Gabriela.

- Oczywiście – uśmiechnął się sam do siebie, westchnął i wyszedł.

Chwilę później, wyjeżdżając spod kamienicy swoim trzyletnim passatem, wybierał numer do prezesa Witolda Oczki.

- Dzień dobry panie Witoldzie. Jestem w drodze do naszego centrum handlowego – rzucił z lekkim niepokojem w głosie do Oczki.

- Witam pana mecenasa. Czekam już na parkingu w umówionym miejscu – zauważalnie zdenerwowany odparł Oczko.

- Do zobaczenia w takim razie – rzucił szybko do słuchawki Dariusz, nie czekając na odpowiedź klienta.

Spinał się. Nie codziennie organizował przecież przekazanie łapówki naczelnikowi wydziału inwestycji i był istotnie podenerwowany, choć nie był to dziś jego debiut. Jednak nigdy w takiej wysokości. Stąd może zdenerwowanie. Nie znosił również określenia „łapówka” i sam skarcił siebie w myślach za to, że tak pomyślał. Normalnie rzecz biorąc, w jego mniemaniu była to „opłata manipulacyjna” i tego się trzymał. Niestety świat był brudny, zły, zakłamany i aby normalnie w nim żyć, trzeba się było dostosować. Toteż Dariusz, dzięki swojej elastyczności, potrafił wspaniale poruszać się w otaczającej go rzeczywistości. No i był ceniony w środowisku. Poza tym wytargował u prezesa Oczki trzydzieści procent opłaty za pośrednictwo. Normalnie rzecz biorąc, brał za tę usługę połowę opłaty manipulacyjnej, ale to była sytuacja wyjątkowa ze względu na teścia i rozbiła się o naprawdę dużą kasę. Ponieważ odpłatność wynosiła dwieście tysięcy, zgodził się na trzydzieści procent za pośrednictwo i przejęcie księgowości Vigorexu, z którego też zamierzał wydoić trochę kasy. Te pieniądze były mu potrzebne na normalne życie. I oczywiście nie mogła się o nich nigdy dowiedzieć Gabriela.

Czarny jeep Oczki stał już w bocznej części prawie pustego parkingu pod ogromnym centrum handlowym. Miejsce nie było wybrane przypadkowo, ale tak, by nie dosięgały go kamery monitoringu. Dariusz zaparkował dokładnie obok biznesmena. Prezes Oczko pośpiesznie wysiadł ze swojego wozu i zaraz usiadł obok Dariusza w jego passacie. Mimo drogiego garnituru i eleganckich butów, nie wyglądał dobrze. Jego twarz była szara, oczy podkrążone, a strzępy

przerzedzonych włosów sterczały na różne strony. Tusza, choć nie rzucająca się w oczy ze względu na znaczny wzrost biznesmena, prawdopodobnie odpowiedzialna była za jego zbyt intensywną potliwość, niezamaskowaną dzisiaj żadnymi perfumami. Z Oczką wsiadł więc do samochodu także smród papierosów pomieszany z ciężkim potem jego właściciela. Dariusz włączył klimatyzację. Oczko przywitał się i zdenerwowany półszepem powiedział:

- Jest kasa panie mecenasie.

Dariusz wstrzymał oddech, gdy do jego nosa dotarł odór wydobywający się z ust Oczki. Przetrawione resztki pokarmowe i zepsute zęby tworzące specyficzną woń, wespół z potem biznesmena oraz zapachem dymu papierosowego, ścisnęły Dariusza w żołądku.

- Przeliczone? – rzucił szybko.

- Wszystko się kurwa zgadza. Licz pan – słysząc odpowiedź, ponownie poczuł woń.

- A dla mnie? – zapytał Dariusz.

- Połowa. A reszta zaraz po skończonej robocie – powiedział Oczko i uśmiechnął się sam do siebie.

- Dobra. To teraz niech pan wysiada, bo Ciechowicz może w każdej chwili nadjechać – powiedział, by czym prędzej pozbyć się tego śmierdziela z wozu.

Oczko przesiadł się z powrotem do swojego lśniącego jeepa, a Dariusz przestawił samochód na drugą część parkingu, także poza zasięgiem kamer. Ze schowka wyjął flakon perfum i skropił trochę powietrze w samochodzie. Nie chciał, by Ciechowicz pomyślał, że ten osobliwy smród pochodzi od niego. Otworzył czarną saszetkę przekazaną mu przez Oczkę i zobaczył jej wnętrze wypełnione banknotami dwustuzłotowymi. Nie przeliczał. Oczce za bardzo zależało na załatwieniu sprawy, by odważył się na jakiś numer z brakującymi banknotami. Podejrzał, że Ciechowicz też nie będzie liczył. Co prawda nigdy dotąd niczego mu nie wręczał, nawet dobrej whisky, ale poprzez swoje warszawskie znajomości wiedział, na kogo trafił. Co prawda znał Ciechowicza ze studiów w Warszawie, ale w tamtych czasach nie rozmawiali przecież o łapówkach. Sporo czasu upłynęło, a ludzie się zmieniają. Dariusz jednakże odrobił zadanie domowe i przeprowadził stosowny wywiad o swym dawnym koledze.

Tymczasem rozwinął małą ciemną reklamóweczkę, w której była kasa dla niego. Pieniądze były równo ułożone i związane gumką. Tym razem przeliczył i doliczył się stu pięćdziesięciu banknotów dwustuzłotowych. Druga część opłaty za pośrednictwo miała na niego czekać po robocie. Zaczął się denerwować, bo w radiu właśnie odtrąbili pięć minut po ósmej, a Ciechowicza, z którym umówił się właśnie na ósmą, jeszcze nie było. Odwrócił się i zobaczył, że jeep Oczki nadal stał po drugiej stronie parkingu. Prezes stał przy otwartych drzwiach samochodu, prawą ręką przyciskając do ucha telefon. Był wyraźnie rozdrażniony i mocno gestykulował. Dariusz pomyślał, że jego klient zbyt mocno rzuca się w oczy, ale nie miał możliwości zwrócenia mu na to uwagi. Telefonicznie było to w tym momencie niemożliwe. Nie mógł przecież podjechać do niego i powiedzieć, by wsiadł do samochodu, bo Ciechowicz w każdej chwili mógł nadjechać.

Tak też się stało. Na prawie pustym parkingu wjechał ciemnozielony seat alhambra i od razu skierował się w stronę volkswagena Dariusza. Znaliz swoje samochody z poprzedniego spotkania, zaaranżowanego w letnim domu teściów. Stary Walasik lubił spotkania rodzinno-biznesowe i bardzo często na miejsce tych spotkań wybierał dom letniskowy w Pieninach. Jedno z ostatnich spotkań miało na celu zbliżenie Dariusza z Ciechowiczem. Teść, w tajemnicy przed Janiną, zaprosił Gabrielę z Dariuszem i rodzinę Ciechowicza, łącznie z jego ojcem, znanym mu od wielu lat i jego o ponad dwadzieścia lat młodszą żoną. Walasik zapraszając naczelnika Ciechowicza nie wiedział, że ten zna się osobiście z Dariuszem. Tym bardziej ucieszył się z tego spotkania, mając na myśli swe plany.

Ciechowicz, niewysoki facet, mocno łysiejący, ubrany w dżinsy i sportową marynarkę sztruksową w kolorze czarnym, wysiadł ze swojego samochodu i zamiast wsiąść do samochodu Dariusza, podszedł do okna po stronie kierowcy, które Dariusz natychmiast otworzył.

- Witaj. Wsiądź proszę – szybko rzucił Dariusz, lekko się uśmiechając.

- Witaj Darku. Chciałem się tylko upewnić, że to ty – uśmiechnął się Ciechowicz, po czym szybko otworzył drzwi i usiadł obok Dariusza. Rozsiadł się wygodnie i dopiero teraz podał rękę koledze. Była to mała, spocona dłoń, której uścisk przypominał raczej przywędłe warzywo, aniżeli męski uścisk dłoni. Dariusz chciał mocniej uściskać dłoń dawnego kolegi, ale ten zdawał się podać mu jedynie swoje palce. Nie znosił tego typu uścisków.

- Dobrze Cię widzieć – rzucił Dariusz, by rozładować atmosferę i podał od razu naczelnikowi czarną saszetkę.

- I Ciebie dobrze widzieć przyjacielu – odparł Ciechowicz, całą swoją uwagę przenosząc na saszetkę z pieniędzmi.

Uśmiechnął się. Nie był w stanie zapanować nad radością z otrzymanej kasy. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Dariusz myślał nawet, że zacznie przeliczać kasę w samochodzie, ale tak się nie stało.

- Co u Twojej żony? – odezwał się po chwili naczelnik, orientując się, że Dariusz wpatruje się w niego i w to, z jaką lubością ścisnął pieniądze.

- Wiesz. Jest troszkę zagoniona. - Prowadzony przez nią interes pochłania ją bez reszty. Nie ma czasu na nic – dodał.

- Za to u mnie urwanie głowy. - Młodszy syn w tym roku zdaje maturę i moja żona nie żyje niczym innym tylko tym egzaminem. - Nie było takiego zamieszania nawet wtedy, gdy starszy zdawał. - Szaleje na starość – zaśmiał się Ciechowicz, gładząc skrycie saszetkę i myśląc, by jak najszybciej opuścić samochód kolegi.

- Rozumiem. Tak to już jest z dziećmi – zamyślił się Dariusz.

- Spieszę się trochę do pracy – rzucił nagle naczelnik. – Na pewno sprawa będzie

załatwiona – uśmiechnął się i dodał:

– Musimy koniecznie spotkać się ponownie całymi rodzinami. Tym razem u mnie – ponownie uśmiechnął się i wyszedł z samochodu.

Dariusz obserwował jak naczelnik pośpiesznie opuszcza parking. Cieszył się, że sprawa została pomyślnie załatwiona, choć widząc, jak Ciechowicz ślinił się do pieniędzy, stracił do niego nieco sympatii. Teraz przyjdzie czekać tylko na oficjalne rozstrzygnięcie przetargu, które miało nastąpić za kilka dni. Miał nadzieję, że nic nie zmieni się do tego czasu, bo inaczej Oczko chyba by go zabił. Nim zdążył się zorientować, prezes stał już przy jego samochodzie i szarpał klamką, by dostać się do środka.

- No i co panie mecenasie? Czy wszystko kurwa poszło jak trzeba? – spytał od razu.

- Myślę, że tak, panie prezesie. Ma pan ten przetarg w kieszeni – odparł.

Oczko uśmiechnął się na głos, wydobywając ze swoich ust przykrą woń. Zapach wzdrygnął Dariuszem, toteż zagadnął:

- Pozostaje nam dokończyć rozliczenie między sobą.

- No, na to musimy poczekać te kilka dni do rozstrzygnięcia przetargu – przestał się śmiać Oczko. – Wtedy przekażę panu resztę kasy.

- No o tym, to nie było mowy – rzucił z nienawiścią do Oczki.

- Jak to nie? Druga połowa po skończonej robocie. Czy nie tak mówiłem? – Nie poddawał się Oczko.

- Szkoda. Myślałem, że ma pan do mnie zaufanie.

- Do pana mam zaufanie. Mam. Ale zupełnie nie mam do tego Ciechowicza i wolę być ostrożny.

- Ale chyba jemu dał pan całą sumę? – przestraszył się Dariusz.

- Nie. Ja jemu nic nie dawałem – zaśmiał się i wybałuszył oczy.

Zanim Dariusz odpowiedział, ten dodał:

- Dałem przecież kasę panu. Było równe dwieście baniek. Trzeba było kurwa przeliczyć – pieklił się dalej Oczko.

- No to chwała bogu, bo nie wiem, jak bym się z tego wytłumaczył.

- Jak pan mu dałeś całe dwieście baksów, to pana sprawa. Ale módl się pan, żebym wygrał ten przetarg, bo inaczej jesteś mi pan winien niezłą sumkę – Oczko nie mógł zapanować

nad złością.

- Niech się pan nie martwi. - Ciechowicz to mój znajomy ze studiów i z pewnością dotrzyma słowa – Dariusz starał się uspokoić prezesa.

- Dobrze. Bierzesz pan na siebie tę odpowiedzialność. - Ja, w każdym razie, rozliczę się z panem po ogłoszeniu przetargu. Czy to się panu podoba, czy nie – rzucił na do widzenia Oczko i wysiadł z samochodu. Po chwili odjechał.

Dariusz zamyślił się. Nie wręczał pierwszy raz łapówki, ale nie pomyślał o tym, że może być oszukany. W sumie to była największa kwota jaką kiedykolwiek komuś dawał. Do tej pory zdarzało się po kilka czy kilkadziesiąt tysięcy. Dwóch stów jeszcze co prawda nie było, ale z drugiej strony nie był to też milion. Przetarg nie dotyczył budowy autostrady a jedynie trzech przejść podziemnych. Nie! To bez sensu! Ciechowicza znał od dawna i ten z pewnością nie wyciąłby mu takiego numeru. To nie była przecież gruba sprawa. Poza tym byli w nią zaangażowani starzy towarzysze, jak nazywał swojego teścia i starego Ciechowicza, a to dawało gwarancję bezpieczeństwa. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma się o co martwić i wyjechał z parkingu. Na wszelki wypadek postanowił wieczorem skontaktować się z teściem.

Dochodziła dziewiąta. Z radia zaczęły sączyć się wiadomości nic niewnoszące ani do jego życia, ani do losów kraju. Zdjął krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Miał ochotę napić się drinka, ale przed nim były co najmniej cztery godziny jazdy i bał się policyjnych patroli. Owszem, zdarzało mu się prowadzić samochód po wypiciu alkoholu, ale raczej na bliskich odległościach: praca – dom – klient. Nie ryzykowałby jazdy przez pół Polski. Kierował się drogą numer cztery na Olkusz, by do Warszawy dostać się tak zwaną gierkówką. Wolał jeździć tędy niż starą siódemką, tym bardziej, że po drodze zawsze zaliczał Grodzisk Mazowiecki. Miał tam do załatwienia sprawę, której istnienia pilnie strzegł przed krakowską rodziną. Porządna rodzina nie byłaby w stanie zmierzyć się z takim problemem, a Dariusz nie miałby co w niej robić, gdyby bliscy znali prawdę. Przynajmniej tak myślał...

Koło południa wjechał do Grodziska Mazowieckiego i postanowił napić się kawy przed załatwieniem kolejnych spraw. Po mieście poruszał się tak, jakby się w nim wychował. Zatrzymał samochód przed supermarketem i za kilkaset złotych zrobił duże zakupy spożywcze. Kupił także dużą bombonierkę, kilka czekolad i sporą ilość pomadek na wagę. Schował zakupy do bagażnika i podjechał na stację benzynową pod miastem. Na tej stacji zawsze nabierał sił do dalszej jazdy. Poza tym, w Grodzisku nie znalazł jak do tej pory miłej kawiarni, gdzie można byłoby w uroczym klimacie podumać nad kawą i ciastkiem. Owszem, było kilka pubów, barów, knajp i fast foodów, ale klimatycznych kawiarni nie było. Stąd zawsze jego wybór padał na tę dużą stację benzynową.

Zamówił białą kawę i kawałek sernika z czekoladą. Wypieki serwowane na stacji były świeże i pochodziły z cukierni z Grodziska. Jaka szkoda, że cukiernik, sprzedając swoje wyroby, nie oferował jednocześnie stolików i możliwości napicia się kawy lub herbaty w swoim lokalu. Nie trzeba byłoby przyjeżdżać wtedy na tę stację. Zadumał się nad swoim losem. Okłamywał żonę i raz w miesiącu podążając do biura w Warszawie lądował w Grodzisku. Gabriela nie mogła się o tym nigdy dowiedzieć. Podobnie jego teść i w ogóle cała kochana rodzina Walasików. Nie chciał, by się wydało, że tak długo ją okłamuje. Dopił kawę i wyruszył w stronę przedmieść

provincjonalnego miasta.

Po kilkunastu minutach przekraczał bramy strzeżonego ośrodka dla osób starszych i upośledzonych, w którym przebywała jego starsza o dziesięć lat siostra. Antonia od lat cierpiała na schizofrenię i w momencie, kiedy mama przestała sobie dawać radę z opieką nad nią, postanowili oddać Tośkę do ośrodka w Grodzisku Mazowieckim. Znalezienie tego ośrodka wcale nie było takie proste. Placówka publiczna nie wchodziła w grę. Schizofreników leczyło się w naszym kraju tylko w szpitalach. Zarówno mama Dariusza, jak i on sam dobrze wiedzieli, co wyprawia się z ludźmi w szpitalach dla nerwowo chorych, dlatego ta opcja w ogóle nie była brana pod uwagę. Za to prywatne placówki wybierały sobie pacjentów i ponieważ z roku na rok starszych osób przybywało, a byli oni najmniej uciążliwymi klientami, Antonia miała marne szanse na pobyt. Ilekroć kierownicy ośrodków słyszeli diagnozę – schizofrenia, tylekroć oznajmiali Dariuszowi i jego matce, że w ośrodku nie ma miejsc. Na nic zdawały się zapewnienia, że Antośka nie jest osobą groźną i niebezpieczną, ale po prostu wymaga stałej opieki i pomocy w czynnościach dnia codziennego. Nie było to przekonywujące.

Faktycznie tak było. Antośka opowiadała różne głupoty i żyła w swoim świecie, w którym totalnie mieszała fikcję z rzeczywistością, ale jednocześnie nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Bywało w poprzednich latach i tak, że sama spacerowała po osiedlu, na którym mieszkała z matką w Warszawie, ale z biegiem czasu stawała się coraz bardziej dziecinna i zależna od matki i brata. Po tym jak przymusowo została zabrana z ulicy karetką do szpitala psychiatrycznego, gdzie spędziła ponad trzy tygodnie, tylko dlatego, że tańczyła i śpiewała donośnie w parku, przestała sama wychodzić z domu. No i istniało realne zagrożenie, że to ktoś zrobi Antośce krzywdę, a nie na odwrót.

Dzięki znajomościom Dariusza z pewną firmą medyczną, którą uratował po kontroli urzędu skarbowego od zapłacenia prawie dwóch milionów złotych zaległego podatku VAT, udało nawiązać się w końcu kontakt z ośrodkiem, który przyjął Tośkę do siebie. Dariusz zyskał podwójnie. Nie tylko sławę dobrego doradcy podatkowego, ale również przystań dla siostry, w której była traktowana szczególnie. Jak się później dowiedział, prezes firmy medycznej, którą Dariusz ocalił od finansowego upadku, był życiowym partnerem pani prezes prowadzącej ośrodek dla osób starszych i upośledzonych w Grodzisku Mazowieckim. Od tej pory mógł być spokojny o losy swojej siostry.

Teraz stał przed gabinetem kierowniczką ośrodka, by móc spotkać się z Tośką, mimo że zbliżała się pora obiadu, a pensjonariuszy wolno było odwiedzać przed i po obiedzie. Antonia wyglądała dziś nadzwyczaj dobrze. Mimo pięćdziesięciu ośmiu lat była szczupła i zadbana. Jej twarz nie wyglądała na swój wiek. Zawsze gościł na niej dobrotliwy uśmiech, przez niektórych odczytywany niestety za głupkowaty. Ale na pewno nie przez niego. Mimo choroby, Dariusz wiązał z Antośką wiele ciepłych wspomnień z dzieciństwa i nie było dnia, by o niej nie myślał.

- O Darek! – ucieszyła się na jego widok – Wiedziałam, że dzisiaj przyjedziesz! – zawsze witała go tymi samymi słowami.

- Cześć Tosia! Ładnie wyglądasz! – pocałował ją w czoło, wręczył bombonierkę i jedną z czekolad.

- Przydział czekolady! – wypaliła siostra i od razu wyrwała smakołyki z rąk brata.

Tośka od dziecka lubiła słodczy, zwłaszcza czekoladę i trudno było ją powstrzymać przed ich jedzeniem. Nie krępując się, od razu zerwała folię z bombonierki i zaczęła wyjadać czekoladki jedna za drugą. Dariusz znając możliwości swojej siostry, nie obdarował jej całym arsenałem, który zakupił, ale znaczną część dał pielęgniarce, by co parę dni wydzielała podopiecznej porcję.

- Nie poczęstujesz swojej koleżanki z pokoju, pani Ireny? – zagadnął Dariusz.

- Pani Irena umarła. Teraz mieszkam z Panią Józią – odparła bez emocji Tośka. Wynieśli ją na noszach – dodała, akcentując nosze, jak by to był istotny szczegół śmierci jej współlokatorki.

Rzeczywiście wystrój części pokoju należącej do pani Ireny nieco się zmienił. Zniknęły wszystkie dewocjonaalia, którymi poprzednia współlokatorka Tośki była otoczona, a pojawiły się w ich miejsce rodzinne zdjęcia. Pewnie dzieci i wnuki – pomyślał Dariusz. Początkowo chciał dla siostry pokój jednoosobowy, ale kierownictwo ośrodka przekonało go, że Tośka potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem i lepszy będzie pokój dwuosobowy. Dariusz dał się przekonać i nie żałował tego. Antośka była osobą żywiołową i pewnie źle czułaby się sama. Zresztą nigdy nie uskarżała się na swoje współlokatorki, a tajemnicza pani Józia była już trzecią.

- Proszę Cię, zostaw choć dwie czekoladki dla Pani Józii i nie zjedz wszystkich – przerwał konsumpcję siostrze.

- Jedną! – odparła i podleciała szybko do jej łóżka, kładąc na stoliku jedną czekoladkę.

- Ma cukrzycę. Nie może jeść dużo słodczy – dodała Tośka, uzasadniając swoją decyzję.

- Ty też będziesz miała, jak tyle będziesz jadła! Nie wolno tyle na raz! – starał się wpłynąć na siostrę.

- Nie mów do mnie jak do dziecka! Wiem dobrze. Lekarz mówił. Dobrze słyszałam! – krzyknęła.

- Już dobrze. Ale czekoladę zostaw sobie na jutro! Bo jutro nie przyjadę – starał się przekonać siostrę, żałując, że dał jej tę czekoladę razem z bombonierką.

Antośka schowała czekoladę do nocnej szafki i oznajmiła.

- Widziałam Cię w telewizji!

- Mnie w telewizji? – zdziwił się Dariusz?

- Tak! – kontynuowała temat Antonia, ciesząc się z zainteresowania brata. – Tańczyłeś w Tańcu z gwiazdami.

- Antosiu, to chyba nie byłem ja – starał się przekonać siostrę, wiedząc, że zaczyna mieszać realia z fikcją.

- Przecież Ciebie bym nie poznała? Tańczyłeś pięknie! Z tą piękną panią. Znasz ją przecież! Z tą aktorką! – opowiadała Tośka – Oj jak ty hulaleś! Oj jak ty wywijaleś! – śmiała się.

– O tak! Tak! Tak! – na potwierdzenie swoich słów siostra Dariusza wstała i zaczęła tańczyć.

Dariusz westchnął. Nie było skutecznego lekarstwa na schizofrenię, a zwiększenie dawek lekarstw już siostrze aplikowanych, wcale by jej nie uleczyło, a tylko otepiło i pograżyło w chorobie.

- Pięknie tańczysz Antosiu – rzekł. – Chodźmy na spacer do parku i ogrodu. Pokażesz mi wasze nowe rośliny – starał się wyrwać siostrę z płasów.

- O tak! Pokażę ci nasze rośliny! I nowych znajomych! – ucieszyła się Tośka.

Wziął siostrę pod rękę i poszli do małego parku z ogrodem okalającego ośrodek. Antosi nie opuszczał szampański humor. Cieszyła się jak dziecko z przyjazdu brata. Nie potrafiła liczyć czasu jak zdrowy człowiek, ale gdzieś w sercu czuła, że te odwiedziny nie są na tyle częste, jakby sobie tego życzyła. Nie zawsze też z tego powodu była we wspaniałym humorze. Zdarzało się, że czasem chodziła przygnębiona i ponura. Brakowało jej matki i brata. Matka, coraz bardziej podupadająca na zdrowiu, nie odwiedzała jej częściej niż Dariusz. Dla ponad osiemdziesięcioletniej kobiety podróż do Grodziska była prawdziwą wyprawą. Jeśli odwiedzała córkę częściej niż raz w miesiącu, to tylko dlatego, że od czasu do czasu udało jej się namówić kogoś z dalszej rodziny lub sąsiedztwa do pokonania drogi samochodem. Ale wiadomo, że każda rodzina z biegiem czasu rozpada się na coraz to mniejsze jednostki, które zaczynają żyć swoim życiem. Tak też było i u nich...

Gdy Antonia tak podskakiwała i tańczyła w parkowych alejkach, potem między grządkami ośrodka, mieszając fikcję z rzeczywistością i objaśniając bratu wymyślone nazwy roślin, Dariusz spacerował za nią uśmiechając się i rozmyślając. Dlaczego zataił przed krakowską rodziną, że siostra w ogóle istnieje? Dlaczego w sprawie siostry nie był szczery nawet z Gabrielą, którą przecież kochał? Sam nie wiedział. Pamiętał jednak, jak niedługo po poznaniu swojej żony, opowiadała ze złością o swoim bracie Michale, jako zakale rodziny, której należy się wyrzec. Jak zawsze przy rodzinnych obiadkach u Walasików obmawiano wszelkie inności występujące w otaczającym ich świecie i najzwyczajniej zaczął obawiać się, że choroba siostry będzie odebrana przez bliskich jako znamię, którego należy się wystrzegać, a przez to jego małżeństwo z Gabrielą może nie dojść do skutku. Bał się, że wszyscy będą podejrzewać i obawiać się, że ta choroba w jakimś większym czy nawet mniejszym stopniu może zagrozić jego zdrowiu psychicznemu i stąd też postanowił nie ujawniać istnienia Antośki. Jednak nieujawnienie tej informacji tylko pogłębiło jego obawy i zaowocowało tym, że mimo kilku lat małżeństwa, nadal po kryjomu odwiedzał i utrzymywał siostrę.

Nagle przypomniał sobie, że dziś mógł wpłacić kilka miesięcznych opłat za jej pobyt i zaplanował odwiedziny u kierowniczkii ośrodka zaraz po spacerze z Antosią. Udana transakcja

z Ciechowiczem, której dokonał za pośrednictwem śmierzącego Oczki, pozwoli mu sprytniej zataić przed Gabriellą ten wydatek. Co prawda małżonkowie nie tłumaczyli się przed sobą ze swoich finansów, ale pobyt Antośki w ośrodku oraz wydatki związane z mamą kosztowały tyle, że czasem Dariuszowi trudno było ukryć przed żoną, że jest wyczyszczony z kasy. Oczywiście nie licząc oszczędności zgromadzonych zarówno w złotych, jak i euro, których starał się w ogóle nie ruszać w obawie przed cięższymi czasami. O tych oszczędnościach Gabriela nie miała zielonego pojęcia, choć nieraz zastanawiała się, dlaczego doradca podatkowy tak cienko przędzie. Teraz jednak cieszył się z tego, że niebawem otrzyma drugą transzę z udanego, jak mniemał, interesu z Oczką i zagwarantuje siostrze kilka ładnych miesięcy w dobrym i pięknym miejscu. Jak podejrzewał, przedpłaty ucieszyły kierownictwo ośrodka.

Późnym popołudniem Dariusz wjeżdżał do śródmieścia Warszawy. Mama mieszkała w małym, dwupokojowym mieszkaniu w bloku z lat sześćdziesiątych na Woli, na które udało się zamienić śródmiejskie osiemdziesiąt metrów w odbudowanej po wojnie kamienicy. Jako stara warszawianka nie była zachwycona pomniejszonym metrażem mieszkania, ale z drugiej strony była w pełni świadoma tego, że poprzedniego, nie była w stanie utrzymać ani fizycznie, ani finansowo. Za nic w świecie nie chciała zgodzić się na pokój z kuchnią, na co namawiał ją syn, więc opcja małego, ale dwupokojowego mieszkania była najbardziej optymalna.

Zaparkował pod samym blokiem, choć był to tylko łut szczęścia. Zazwyczaj pod blokiem matki nie można było w ogóle zaparkować i trzeba było nieraz iść dwa kilometry do miejsca zamieszkania staruszki. Wyjął z bagażnika dwie potężne siatki z zakupami spożywczymi dla mamy i w tej właśnie chwili przypomniał sobie, że nie pomyślał o zakupach chemicznych. Wiedział przecież, że matka oszczędza na czym się da, na przykład nie spuszcza w muszli klozetowej bieżącej wody i splukując fekalia uzbieraną w wannie wodą po kąpielu. Dlatego postanowił zahaczyć jeszcze o osiedlowy sklep, by dokupić kilka płynów, proszków i innych specyfików, które mogłyby pozytywnie wpłynąć na czystość i higienę w mieszkaniu mamy.

Mama Dariusza widziała z okna jak podjeżdżał, więc wcale nie musiał czekać na otwarcie drzwi. Staruszka wyszła na klatkę drugiego piętra i wielce uradowana czekała na syna. Pierwsze słowa, jakie do niego skierowała, wcale go nie zaskoczyły:

- Byłeś u Antosi?

- Tak mamo. Właśnie od niej wracam – odpowiedział, niezdziwiony troską matki.

Oddanie Antośki do ośrodka w Grodzisku było dla matki ciężkim przeżyciem, ale nie można było postąpić inaczej. Poza tym, Antonia była szczęśliwa wśród wielu podobnych do niej ludzi.

Wszedł do mieszkania i od razu zakuł go w nozdrza zapach wydobywający się z łazienki. Zajrzał do środka. W niezamkniętej muszli klozetowej zółcił się mocz, a obok niej stało wiadro z brunatną wodą, prawdopodobnie po umytych podłogach. Obok, w zakorkowanej wannie, także lekko falowała nie pierwszej czystości woda. Nie czekając na nic nacisnął przycisk kompaktu, ale nie wywołało to pożądanej reakcji. Kurek doprowadzający wodę do muszli klozetowej był zakręcony. Wściekł się.

- Mamo! Prosiłem Cię tysiące razy, nie oszczędzaj na wodzie! – wrzasnął. – Nie czujesz, że w domu jest nieświeże powietrze? – dodał. – Kiedyś doprawdy ściągniesz na siebie jakąś wredną chorobę! – nie poddawał się.

- Co Ty tam wiesz synku! – odparła ze spokojem matka, która przeżyła powstanie warszawskie i zaczęła rozpakowywać dwie potężne torby z jedzeniem, wręczone jej podczas powitania.

- Ja mam skromną emeryturę i muszę nią oszczędnie gospodarować – kontynuowała. – Gdy będę miała tyle pieniędzy co Ty, będę mniej oszczędzać... - kłamała.

Tymczasem Dariusz wylał zawartość wiadra czym prędzej do muszli i odkręcił dopływ czystej wody do kompaktu. Zdjął marynarkę, spuścił wodę z wanny i zabrał się za czyszczenie łazienki, nie odzywając się do matki ani słowem. Pożałował, że nie kupił kilka odświeżaczy powietrza... Matka nie była zdziwiona zachowaniem syna. Te sceny powtarzały się od jakiegoś czasu.

Po starannie podanym przez matkę obiedzie, Dariusz wyszedł z mieszkania pod pretekstem załatwienia kilku zawodowych spraw. Ilekroć był w Warszawie, nie mógł oprzeć się pokusie zakupów w porządnej warszawskiej galerii. Toteż odświeżył się i udał do jednego z największych warszawskich centrów handlowych. Postanowił, jak zwykle zresztą, wynagrodzić sobie trudy takiego dnia jak dzisiejszy. Wszedł do młodzieżowego sklepu z odzieżą Reserved i zaczął przebierać w letnich koszulkach. Wodząc oczyma po wieszakach, nie dostrzegł niczego dla siebie i zmienił salon na Zarę. Nie poszedł jednak do działu męskiego, a przeszedł się po dziale kobiecym, jak to miał w zwyczaju w takich momentach.

Miał szczęście. Rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu i uśmiechnął do ciemnowłosego dziewczęcia, które mogło mieć co najwyżej szesnaście lat, ale kreowało się na osiemnastkę. Nim się zorientował, małolata była przy nim i wskazując na wybraną koszulkę pytała:

- Czy lepiej w różowych paskach czy niebieskich?

- Zdecydowanie w niebieskich! – odparł Dariusz i uśmiechnął się w taki sposób, jaki miał w zwyczaju robić, ilekroć bywał w tej galerii, nie spuszczać wzroku z małej.

- A mnie wydaje się, że w różowych – odparła i zatrzepotała rzęsami.

- Może obie? – zapytał.

- No raczej – odparła z przekąsem i dodała – A do koszulek muszą być nowe džinsy! Koniecznie!

Spodiewając się tej odpowiedzi, po prostu uśmiechnął się i zapytał jak dziewczę ma na imię.

- Weronika – usłyszał.

- Grzegorz – skłamał i wyciągnął rękę na powitanie. – Kupujemy? – zagadnął pośpiesznie.

- Oczywiście – uśmiechnęła się rzekoma Weronika i wręczyła zakupy Dariuszowi, w skład których, oprócz wskazanych rzeczy, wchodziła także inna bluzeczka.

Dariusz zapłacił bez skrupowania i oboje z Weroniką skierowali się do jego samochodu. Był głodny tego dziecięcego jeszcze ciała, jak i innych, które już posiadał. To było jego najskrytszym marzeniem i głęboko skrywanym sekretem. Nie umiał się przed tym powstrzymać i ilekroć był w Warszawie lub na innym wyjeździe poza Krakowem, dawał upust swoim żądom z przygodnie poznanymi młodymi dziewczynami. Co prawda pytał je czy mają piętnaście lat, ale przecież tego nie weryfikował. Tak było i tym razem... Po tak ciężkim dniu, należała mu się zapłata... Nareszcie mógł odpocząć od tego okropnego świata...

7. Michał

Śniło mu się, że kręci się na wysokiej karuzeli z łańcuchami, do których przyczepione były liche krzeselka, a na jednym z nich siedział on, kurczowo trzymając się starych, przerdzewiałych łańcuchów, aż kostki palców białeły. I choć w dzieciństwie wielokrotnie jeździł taką łańcuchową karuzelą, która od czasu do czasu przyjeżdżała z całym przenośnym lunaparkiem na osiedle wieżowców położone niedaleko jego domu rodzinnego, teraz we śnie bał się. Nie wiedział dlaczego, ale jak to w snach często bywa, odczuwał coś, czego nie mógł pojąć i objąć rozumem. Był to strach i Michał bał się nie na żarty. Czuł niepokój i otchłań, w której karuzela kręci się coraz szybciej i nie może się zatrzymać. Otaczały go jakby chmury, choć nie był pewien, czy istotnie nimi były. Bał się, że nigdy z tej karuzeli nie zsiądzie, albo karuzela tak się rozpędzi, że wyrzuci go gdzieś hen daleko. Spadnie i połamie się, albo nawet zabije. Strach narastał w nim. Zaczął gwałtownie przewracać się w łóżku, a pot oblewał mu całe ciało, w szczególności kark i plecy. Podkoszulek, który na co dzień służył nie tylko jako piżama, był już prawie mokry. Nie wiedział, że śni, gdyż sen był bardzo realny. Karuzela tymczasem nie przestawała się kręcić i przyspieszać. Teraz już wirowała tak szybko, że właściwie nie było widać, czy jeszcze ktoś kręci się razem z nim i co w ogóle jest wokół niego. Był już pewien, że krzeselko wraz z łańcuchami zerwało się z niej i spadało gwałtownie w dół.

Tak! Leciał bardzo szybko w dół, a lot ten trwał w nieskończoność, co jeszcze bardziej potęgowało strach i jednocześnie pragnienie jak najszybszego rozbicia się o twardą ziemię. To jednak nie miało nastąpić. Wraz z krzeselkiem na łańcuchach wpadał w ogień, który zamiast twardej ziemi, niczym ogromny ocean pojawił się pod nim. Jasnopomarańczowe i żółte naprzemian jęzory, sięgały jego stóp i ud. Paliły go, choć w ogóle nie czuł bólu. Wiedział, że płonie, że być może zaraz nie będzie go pośród żywych, ale mimo wszystko nie odczuwał bólu. Nie przestawał też spadać w dół, a mimo tego płomienie dosięgały tylko jego nóg. Nie czuł też gorąca. Po prostu spadał w dół... w dół... w dół... Niekończąca się studnia ognia nie miała dna...

Przebudził się zlany potem. Poczuł, że jest cały mokry i że nawet kołdra w biało-zielonej poszwie nasiąknęła wilgocią od jego spoconego i nieświeżego ciała, odzianego tylko w podkoszulek. Miał bowiem w zwyczaju sypiać tylko w podkoszulku, bez dołu od piżamy, czy choćby bokerek. Lubił czuć się swobodnie, ale jednocześnie nie lubił nagich ramion, które ciągle mu marzły. Toteż zasypiał przeważnie jedynie w podkoszulku, który, zdarzało się, że całkiem przemoczony zdejmował w nocy lub rano. Przykryty pod same uszy pocił się obficie i miewał dziwne sny.

Tej nocy było podobnie. Dzisiejszy sen o ogniu, choć oryginalny i robiący na nim duże wrażenie, nie należał ostatnio do rzadkości. Otworzył ospale oczy i rozejrzał się wokół po swoim pomalowanym na jasnożółto pokoju, w wynajmowanym wraz z kolegą ze studiów mieszkanku na wrocławskich Krzykach. Do pokoju siłą wdzierało się słońce. Choć ściany pokoju pamiętały już bytność kilku studentów, którzy przed nim wynajmowali to mieszkanie, świetnie odbijały promienie słoneczne i wlewały światło do wnętrza. Odetchnął. Ucieszył się, że ogień, w który

wpadał przed kilkunastoma sekundami z krzeselkiem karuzeli był tylko złym snem. Ostatnio takie sny zdarzały mu się coraz częściej.

– Znów ciekawy sen – pomyślał. – Kiedy one miną? – zapytał poirytowany w myślach sam siebie.

Tymczasem ogień z sennej mary czuł w całym gardle. A właściwie była to suchość, która z trudem pozwoliła mu przełknąć ślinę. Mokry podkoszulek, nieświeży zapach, który wyczuwał sam od siebie, suchość w ustach i przesiąknięta potem pościel, kazały mu jak najszybciej wstać. Odrzucił kołdrę, zrzucił czym prędzej nogi na podłogę i zaczął ubierać równie nieświeże, rzucone wieczorem w nieładzie na podłogę granatowo-białe bokserki. Nie mieszkał sam i wypadało pójść ubranym do łazienki. Co prawda nie czuł skrzepowania przed swoim współlokatorem Tobiaszem i nie wstydził się nagości, ale pamiętał, że na noc została u Tobiasza jego dziewczyna. To zmieniało postać rzeczy w sprawie garderoby. Bo choć dziewczyna współlokatora była częstym gościem w tym mieszkaniu, zwyczajnie nie wypadało.

Wstając zastanawiał się, czy udać się najpierw do łazienki czy do kuchni – napić się i ugasić poranny płomień w gardle. Podnosząc się z łóżka, poczuł jednak, że napór pęcherza może nie wytrzymać kolejnych wlewanych w trzewia płynów, więc udał się do łazienki. Poprzedniego wieczoru wypił z Tobiaszem, jego dziewczyną i kilkoma znajomymi ze studiów trochę wina, trochę wódki, nieco więcej piwa i wypalił trzy porządne skręty. Dzisiaj czuł to w każdej komórce swego wątego ciała, zwłaszcza w skroniach, lecz bynajmniej nie żałował. Znał ten stan swojego organizmu i wiedział, że jeszcze tego wieczora, a najpóźniej następnego dnia, jego *corpus vivendi* będzie domagał się kolejnych wrażeń. I nie zapominał o dostarczaniu ich systematycznie samemu sobie.

Drzwi pokoju Tobiasza były zamknięte i prawdopodobnie on i jego dziewczyna jeszcze smacznie spali. Nim zaczął sikać, zdjął z siebie mokry podkoszulek i rzucił go w kąt łazienki. Prosto na stos brudnych rzeczy, które obaj z Tobiaszem kolekcjonowali od dłuższego czasu, nim przyszedł czas uporania się z nimi. To nic, że mieszkanie, które wynajmowali było wyposażone w nowoczesną pralkę Amica, nawet energooszczędną. Niestety ani on, ani Tobiasz, nie potrafili, a może bardziej nie chcieli jej uruchomić. Czasem zdarzało się to dziewczynie Tobiasza, ale i to nieczęsto. Ta raczej wolała zabrać brudne rzeczy swojego chłopaka, a przy okazji i jego przyjaciela, do swego domu rodzinnego, gdzie uprała i uprasowała je jej matka, samotnie wychowująca jedyną córkę i spragniona misji dogadzania męskiemu szowinistycznemu światu. W podzięce chłopcy urządzali kobiecie od czasu do czasu grilla – oczywiście z produktów zakupionych przez nią. Matka dziewczyny Tobiasza była tak szczęśliwa piorąc gacie swego przyszłego zięcia i jego współlokatora, że nie omieszkała nawet ich prasować. Chłopcy mieli w tym względzie prawdziwe szczęście. Gdyby teraz widziała stos piętrzących się w rogu łazienki brudów, z pewnością załamałaby ręce, ale jednocześnie ucieszyłaby się, że może z nimi zrobić porządek – zakasać rękawy i zabrać się za pranie.

Tymczasem Michał drapiąc się po rozczochranej głowie, wyczuł obrzydliwy zapach wydobywający się spod swoich zarośniętych rudymi włosami pach i postanowił wziąć solidny poranny prysznic. Wychodząc spod gorącej wody, wytarł się w jakiś przygodny ręcznik i założył te same granatowo-białe bokserki, które towarzyszyły jego biodrom już trzeci dzień. Ból głowy nie pozwalał mu skupić się na tym, gdzie szukać czystych i zastanawiać się, czy jeszcze w ogóle

takie posiadał. Nie nasyciwszy się zimną wodą z kranu, po wyjściu z łazienki szybko poszedł do kuchni znaleźć coś zimnego do picia. Na szczęście w lodówce była i woda mineralna, i soki, i piwo. Na alkohol jednak teraz nie miał ochoty.

Na tandetnym kuchennym zegarze w kształcie czajnika, wyprodukowanym z pewnością w Chinach i powieszonym na prawo od drzwi wejściowych do kuchni, minęła 11:30. Zaczął zastanawiać się, jakie to zajęcia na Uniwersytecie Wrocławskim dzisiaj mu przepadły. Studiował warunkowo na drugim roku filozofii, ale to nie były jego pierwsze studia. Ani Platon, Sokrates czy Arystoteles, ani święty Tomasz z Akwinu, ani Kant, Hegel, Nietzsche czy nawet Marks i Engels, nie zyskali większego zainteresowania Michała. Co prawda lubił rozważania o życiu i śmierci, a nawet wędrówce dusz, ale dziś mógł już stwierdzić z całą stanowczością, że po raz kolejny niewłaściwie obrał kierunek studiów. Nawet jeśli poradzi sobie ze zdaniem zaległego egzaminu z pierwszego roku, najprawdopodobniej nie przebrnie przez zaliczenia i egzaminy roku drugiego. Jego koledze z roku i współlokatorowi Tobiaszowi również nie szło lepiej, ale przynajmniej nie miał tego cholernego warunku z greckiej filozofii starożytnej, który miał on. Poza tym Tobiasz umiał zebrać się w sobie i popracować, przysiadając nad niejedną książką. Michał tymczasem, wbrew oczekiwaniom rodziców, nie był typem naukowca i nie po drodze było mu bliższe obcowanie z nauką. Szkoda, że nie docierało to do starszków. Poza tym Michał lubił rozkoszować się życiem, a to niejednokrotnie nie szło w parze z obowiązkami akademickimi.

Przysiadł na krześle przy stole kuchennym i zaczął przyglądać się ulatującym z wysokiej szklanki bąbelkom gazu wody mineralnej *Muszynianka*. Rozmyślał nad swoim nieszczęśliwym, według niego, życiem. A życie według niego było tyle warte, co bąbelek dwutlenku węgla wędrujący z dołu szklanki do góry i znikający w otchłani powietrza.

- Po chuja były mi te studia! – szepnął w myślach z niesmakiem do samego siebie.

Z leżącej na stole paczki papierosów *Lucky Strike* wyjął jednego i zapalił. Zaciągnął się mocno i zakaszał. Co prawda poranna suchość w gardle minęła, ale organizm nie chciał najwidoczniej przyjmować dalszych toksyn. Kaszel od dłuższego czasu towarzyszył mu i z pewnością był wynikiem wypalanych dziennie dwóch, czasem trzech paczek papierosów. No i kilku skrętów w tygodniu. To, że wczoraj wypalił trzy jednej nocy, było czymś wyjątkowym. To nie zdarzało się często.

- Niech szlag trafi całe to życie! - westchnął.

Wyrzał nieśmiało przez otwarte okno, przez które wbijało się już południowe słońce i zaczął przypatrywać się dzieciom bawiącym się w piaskownicy przed blokiem przy Tuwima, gdzie mieszkał. Od dawna nic go tak nie irytowało jak starsi ludzie. Przy piaskownicy, pod zielonymi łądogami wierzby płaczącej siedziały na ławce cztery rajfury, stare pierduńnice kościelne, dewotki, tercjaniki, zapewne babcie lub ciotce bawiących się w pobliskiej piaskownicy dzieci, które nie miały nic innego do roboty, jak tylko siedzieć przed blokiem i obrabiać na lewo i prawo wszystkich sąsiadów, w tym oczywiście jego i Tobiasza oraz ich częstych gości. Pytlowanie ozorami tych dewot wprawiało go w złość. Trwałe ondulacje, pofarbowane na fioletowo-różowe kudły, obwisłe piersi i brzuchy, spadające na kolana fety, pomarszczone, szarobrunatne gęby i bezzębne usta, wprawiały Michała w apopleksję. Tymczasem do tych

starych bab zbliżał się powoli pan Grzeszko, stary pocziwina o kuli, mocno woniejący nieświeżością i moczem, który często z nimi urzędował. Stare pudernice i ten dziadyga przypominały mu matkę i ojca, których dawno przestał kochać. A może nigdy nie kochał... To oni zmusili go do studiowania, mimo tego, że wcale tego nie chciał, a i kariera naukowca mu się nie marzyła. Marzył za to o podróżach dookoła świata. Ameryka Południowa, Meksyk, świat Majów i Azteków... To mogłoby go pociągać... Niestety... Brutalne marzenia jego rodziców, a zwłaszcza ojca, nie pozwalały mu rozwinąć skrzydeł...

Kochana mama i jeszcze bardziej kochany tata, mimo jego sprzeciwu, postanowili wysłać Michasia zaraz po liceum, które też nie było jego wyborem, na studia prawnicze. Protesty i wrzaski syna na nic się zdały. Mimo niezdanych egzaminów wstępnych (tak przynajmniej wydawało się Michałowi, ponieważ celowo nie wypełniał testów na egzaminie wstępnym), dostał się na prawo na Uniwersytet Jagielloński, gdzie złożył aplikację pod przymusem ojca. Stary zapewne myślał, że syn z biegiem czasu da się przekonać do obranej przez rodziców drogi życia i będzie szedł w ślady dużo starszej siostry Marii, tak jak dał się przekonać do ogólniaka. Załatwił więc synowi miejsce na tym kierunku, gdzie Michał miał spełnić nadzieje ojca, których nie spełnił jego starszy brat Piotr.

Pomaganie synowi w uzyskaniu lepszej przyszłości mieściło się, według Janiny i Stanisława, w kanonie normalnego postępowania rodziców, choć nie było do zaakceptowania przez samego Michała. Był on bowiem idealistą i nie akceptował niczego, co zostało mu narzucone. Był rodzajem lekkoducha – dziecka wolności i sprawiedliwości, dla którego ważne i jedynie akceptowalne były idee piękna i dobra, które niestety dalekie były jego rodzicom.

Pierwszy rok na prawie Michał położył z lubością, wykładając się na przedmiotach historycznych i prawie rzymskim. Właściwie był z siebie dumny, że nie udało mu się zaliczyć pozytywnie prawie żadnego przedmiotu. Tryumfował. Nie dość, że zrobił na złość ojcu, to wyleciał ze znienawidzonego kierunku studiów. To było dla niego wartością dodaną. Na nic się zdała wizyta starego Walasika po pierwszym semestrze u dziekana wydziału prawa, skoro Michał i tak nie zamierzał przyłożyć się do nauki. Jedynym jego marzeniem w tamtym okresie była wolność i odrobina niezależności. Niestety dzięki swym nazbyt wymagającym rodzicom nie mógł zaznać ani jednego, ani drugiego.

Pamiętką po czasach studiów w rodzinnym Krakowie było zapoznanie się ze światem imprez, alkoholu, trawy i rozmaitych środków odurzających. To był początek jego jazdy w dół...

Westchnął i zgasił papierosa... Ugasiwszy pragnienie, poczuł lekki głód. Inaczej niż jego współlokator Tobiasz reagował na alkohol. Gdy Tobiasz zjadał wszystko będąc pod wpływem alkoholu, on odczuwał głód raczej na kacu. Postanowił zrobić sobie mocną kawę i coś do jedzenia. W lodówce mieli trochę szynki, ser, masło, a nawet pomidory i ketchup, więc Michałowi udało się zrobić niezłe kanapki. Trzeba powiedzieć, że dziewczyna Tobiasza często robiła im zakupy i dbała o to, by lodówka nie świeciła pustkami i prócz piwa i wódki, coś w niej zawsze było. Ze śniadaniem chłopcy nie mieli więc zazwyczaj kłopotu. Zresztą dziewczyna Tobiasza pomieszkiwała czasem z nimi i widać było jej kobiecą rękę w ich życiu. Jednak za wszystko płacili rodzice Michała i jego współlokatora. Ojciec Tobiasza był wziętym jubilerem z Podhala i po śmierci żony, wychowywał syna samotnie, nie szcędząc mu na nic pieniędzy. Zwłaszcza na studia w Krakowie. Cieszył się nawet z obranego przez syna nieprzyszłościowego

kierunku i liczył na to, że ten, z powodu braku pracy, razem z nim będzie prowadził warsztat jubilerski. Dziewczyna Tobiasza nie musiała więc płacić za nic i Michał czasem podejrzewał, że właśnie dlatego była z jego przyjacielem.

Smarując masłem kromki żytniego chleba z ziarnami, zapalił kolejnego papierosa i po raz kolejny tego ranka zakasłał. Nie czuł się dobrze. Z pewnością wypił za dużo alkoholu – pomyślał. Jego myśli podążały ku wydarzeniom sprzed dwóch lat, kiedy żegnał się z prawem na Jagiellonce. Było to pożegnanie bardzo bolesne. Choć na pewno nie z powodu niezaliczenia roku.

Na początku pierwszego semestru studiów, stojąc w kolejce do dziekanatu, poznał Tymoteusza – studenta trzeciego roku prawa, który wprowadził go w świat imprez mocno podejrzanych i jeszcze mocniej zakrapianych i odymionych wszelkimi rodzajami dostępnymi, choć nielegalnymi specyfikami. Imprezy te odbywały się zazwyczaj w wynajmowanym przez Tymoteusza mieszkaniu na krakowskim Dąbiu i były zarezerwowane dla wyjątkowych gości. Michał sam nie wiedział dlaczego tak szybko nawiązał dobry kontakt z Tymkiem, ale nie chciał się w ogóle nad tym zastanawiać. Po co? Polubił tego gościa, choć de facto stał się on przyczyną jego upadku. Na imprezach u Tymka poznał bowiem smak marihuany, haszyszu, LSD... Wpadł w nałóg... Sam nie wiedział kiedy... Nie mógł żyć bez narkotyków. Zresztą podobnie jak Tymoteusz, którego ojciec był wpływowym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Po kilku mocnych imprezach Michał wprowadził się do Tymoteusza i tak wiedli krakowski żywot studencki, przeplatany imprezami i wyskokami. Tymek jednak zaliczył kolejny semestr studiów pozytywnie, a Michał nie.

Sam nie pamiętał, kiedy wyprowadził się od Tymka i czy zrobił to sam czy ten go wyrzucił. Nie pamiętał prawie nic, a to, co pamiętał, osnute było gęstą mgłą. Ten okres jego życia pełen był czarnych dziur lub białych plam, gdyż wszelkie środki chemiczne zawładnęły jego umysłem, ciałem i emocjami. Wiele faktów w jego pamięci rozmywało się i już nigdy nie miało być takich, jakie były w rzeczywistości. Zamieszkał wtedy z Elżbietą, starszą od siebie o kilkanaście lat agentką nieruchomości, która bywała na imprezach u Tymoteusza, a pracowała dorywczo w agencji nieruchomości razem z dziewczyną Tymka. To Elżbieta wprowadziła Michała w świat seksu, który do tej pory nie bardzo go pociągał. Podobnie jak i Michał, Elżbieta była uzależniona od narkotyków, w związku z czym razem stanowili niezły duet. Do czasu... Pewnego dnia w drzwiach ich mieszkania stanął jego ojciec i szwagier Tomasz. W tym właśnie dniu skończyła się zażyła znajomość z Elką i studiowanie w Krakowie. Pamięta tylko, jak ojciec spoliczkował Elżbietę, aż ta zatoczyła się i upadła. Ponieważ była w tym dniu na niezłym haju, mającyna coś i nie protestowała przed szybkim spakowaniem rzeczy Michała przez jego szwagra. Zresztą początkowo myślała, że ci brutalni „chłopcy” przyszli po kasę, którą była winna pewnemu krakowskiemu dilerowi i wołała się przymknąć. Tymczasem Tomasz w kilka minut spakował najpotrzebniejsze rzeczy Michała i wyprowadził go razem z teściem z tej obskurnej nory na Stradomiu.

Ocknął się w karetce. Przebudził go sygnał syreny i prawdopodobnie zastrzyk, który zrobiła mu stojąca nad nim sanitariuszka. Poczł błogość i ciepło zalewające jego ciało, zwłaszcza od pasa w dół. Obok pielęgniarki stał lekarz, a przy nich siedział Tomasz wpatrujący się litościwie w swego dużo młodszego szwagra. Poczł, że go rozbierają, ale nie miał siły protestować. Leżał bezwładnie na noszach w karetce i czł, że jest unieruchomiony.

W rzeczywistości był też przywiązany do noszy pasami, by nie rzucać się i nie zrobić komuś lub sobie krzywdy. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Chciał zaprotestować przed zdejmowaniem spodni, ale nie mógł powiedzieć słowa. Czuł się jak w niejednym śnie, kiedy tak z całej siły, z całego serca pragnie się coś powiedzieć, a nawet krzyknąć, ale coś więźnie w gardle i tkwi tam tak skutecznie, że człowiek nie może wydobyć z siebie ani sylaby. Nie mogąc nic powiedzieć, kiedy zdejmowano z niego spodnie i slipy, spojrzał błagalnie na Tomasza, ale ten beznamietnie rzekł tylko:

- Złałeś się synu...

Sam nie wiedząc po jakim czasie, obudził się na szpitalnym łóżku. Że w ogóle był to szpital zdradzały jedynie białe, metalowe ramy łóżka i metalowa, również biała stojąca obok kozetka. W pokoju był sam. Był to pokój jednoosobowy, jakby izolatka, wyposażona w umywalkę i małe pomieszczenie z muszlą klozetową bez drzwi. Na jej widok uświadomił sobie, że przebudził się, bo bardzo chciało mu się sikać. Jednak nie mógł wstać, bo zarówno nogi jak i ręce, były przymocowane skórzanymi pasami z metalowymi sprzączkami do łóżka. Był cały odrętwiały i unieruchomiony. Bolał go prawy bark i czuł, że w każdym chwili może nadejść skurcz do prawej łydki. Potwornie bolała go głowa i czuł ogromną suchość w gardle. Nie mógł jednak nad tym zapanować w obliczu pełnego pęcherza. Czuł, że jeżeli zaraz nie skorzysta z toalety, zsiąka w łóżko. Spozrzegł, że w zasięgu ręki ma na ścianie przycisk wzywający pielęgniarkę. Nacisnął...

W pokoju zjawiała się niemłoda pielęgniarka, a zaraz za nią około trzydziestokilkuletni wysoki lekarz. Po wyjawieniu przez Michała powodu wezwania, pielęgniarka podała Michałowi basen i odwiązała ręce. Lekarz jednak zlecił jej całkowite odwiązanie pacjenta i zezwolił mu na skorzystanie z muszli klozetowej, co spotkało się z karzącym wzrokiem pielęgniarki skierowanym w stronę dużo młodszego lekarza.

Od tej pory, czynności fizjologiczne i higieniczne Michał musiał wykonywać w towarzystwie kogoś z personelu szpitala. Zaraz po nich był kierowany do łóżka. W szpitalu spędził kilka tygodni. Były to straszne dni, w czasie których poznał smak detoksu. Jedynym gościem, który go odwiedzał był Tomasz, a i to zdarzało się z rzadka. Ani ojciec, ani matka, ani żadne z rodzeństwa i nikt inny nie odwiedził go. Co prawda Michał był pewien, że z rodzeństwa tylko Maria знаła prawdę o jego położeniu, ale było to konieczne ze względu na znajomości Tomasza. Zresztą nie sądził, by Gabriela czy Piotrek byli aż tak zainteresowani jego losem, by chcieć odwiedzić go w szpitalu. I to jeszcze z powodu uzależnienia. Długo nie wiedział, w którym właściwie szpitalu się znajduje. Dopiero po jakimś czasie dowiedział się, że jest zamknięty w szpitalu pod Częstochową. Jak przypuszczał, by nie wywoływać skandalu w środowisku krakowskim.

W tej chwili Michał westchnął znacząco i zaczął jeść przygotowane przez siebie kanapki. Nie chciał nigdy wracać do tamtych czasów. Bezpodstawnie jednak zaczął dzisiaj znów o nich myśleć. Czyżby to ten sen wywołał w nim falę wspomnień? A może o jeden wypalony skręt za dużo? W szpitalu obiecał sobie, że już nigdy nie dopuści do takiego upodlenia i poniżenia siebie. Przysiągł sobie nie tylko zerwanie z nałogiem, ale też to, że już nigdy nie pozwoli się zamknąć i dyrygować ojcu swoim życiem. Jednak nie było to takie łatwe. O ile matka miała dla niego odrobinę serca, ojciec miał utkany jak pająk pajęczynę, plan na życie syna, który totalnie

kolidował z jego planami.

Myśli Michała przerwała zaspana dziewczyna Tobiasza, która w samych majtkach i obcisłym podkoszulku na ramiączkach weszła do kuchni. Rzuciwszy suche – cześć – nie przywiązała większej uwagi do współlokatora swego chłopaka i jak szybko przyszła, tak szybko zniknęła, zabierając ze sobą wyjęty z lodówki karton zimnego soku jabłkowego. Najwidoczniej Tobiaszowi i jego wybrance równie mocno chciało się pić tego ranka. Odprowadził wzrokiem do drzwi zgrabną dziewczynę Tobiasza, zrobił sobie kawę i wrócił myślami do czasów, kiedy wyszedł z odwyku.

W połowie września w szpitalu zjawił się po niego tylko Tomasz i po wymianie kilku wymuszonych uprzejmości odstawił go bez słowa, swoim szpanerskim samochodem, do domu rodziców. Wychudzonemu i wystraszonemu chłopakowi nadal nie było jednak dane decydować o swoim życiu. Ojciec, rozmawiając z nim żołniersko i nie wspomniawszy nawet słowem o pobycie syna w szpitalu, dał mu tylko jeden wybór. Albo nowe studia, oczywiście wybrane przez ojca, które miały udowodnić światu, że syn wrócił do zdrowia, albo powrót do szpitala, by został doleczony do podejmowania właściwych decyzji w życiu – jak to ironicznie skwitował staruszek. Oczywiście Stanisław zakazał Michałowi kiedykolwiek i komukolwiek wspominać o jego letnim pobycie na detoksie. Ten wątek jego życia miał być raz na zawsze zapomniany. Matka, w czasie całej rozmowy Michała z ojcem, nie odezwała się ani słowem. Ba! Nawet na syna nie spojrzała, utkwivszy wzrok w pieczołowicie haftowanej przez siebie serwecie. Michał wątpił, by choć jedna łza w oku się jej zakręciła.

Wybranymi przez ojca studiami dla Michała okazała się architektura na Politechnice Łódzkiej. Miał to być kierunek zupełnie inny od prawa, ale dający rodzinie podobny prestiż. Poza tym ojciec chciał koniecznie wyrwać syna ze środowiska krakowskiego, nie tylko dlatego, że bał się, iż ten szybko nawiąże kontakt ze starymi znajomymi, ale przede wszystkim chciał udowodnić swoim znajomym, że syn odnalazł nową drogę w swoim życiu. Środowisku musiała zostać podana do pożarcia nowa informacja o życiu młodzieńca. Nie mogło to być byle co. Powtarzanie roku na studiach prawniczych w Krakowie nie wchodziło w grę, ponieważ Michał uznany zostałby za tępaka. Poza tym, trudno byłoby tłumaczyć się raz jeszcze z niezaliczonego semestru czy roku, gdyby synkowi przyszło do głowy znów wpakować się w jakieś gównno. Należało go jak najszybciej wywieźć poza Kraków. Umieszczenie go w szpitalu pod Częstochową okazało się trafną decyzją. Udało się w ten sposób zachować w tajemnicy przed znajomymi prawdziwe powody nieobecności syna. Przynajmniej tak się wydawało...

Pomysł studiowania architektury w Łodzi wydawał się ojcu Michała bardzo trafiony. Zwłaszcza, że okraślił go historią o poznanej przez syna, na wakacjach, dziewczynie z Łodzi, na punkcie której Michał oszalał. Już samo to, że Michał porzucił rzekomo prawo z miłości dla powabnej łodzianki – studentki architektury i postanowił, podobnie jak ona ukierunkować swoje życie, wywołało w krakowskim świątku znajomych rodziny małą obyczajową burzę. Liczne ciotki i znajome rodziny Walasików zaczęły otaczać Janinę pozorną opieką i troską, by zbliżyć się do niej i wyrwać w ten sposób jak najwięcej szczegółów romansu jej syna z tajemniczą łodzianką. Oczywiście stan emocjonalny Janiny był w tym momencie zupełnie bez znaczenia. Dla starych rajfur liczył się tylko dostęp do świeżych informacji. Janina jak na zamówienie kłamała więc jak z nut, jakby urodziła się z kłamstwem na ustach. Opisywała urodę rzekomej miłości najmłodszego syna, rysując przed ciotkami wizję wspaniałej kariery synowej architektki,

jako że jej rodzice, poznani już przecież przez nią i Staszka, byli właścicielami jednej z bardziej wziętych pracowni architektonicznych w Polsce i wygrywających co rusz konkursy na projekty budowli na całym świecie, ostatnio nawet w Antwerpii.

Ta mała burza wywołana przez Walasików była, w ocenie Stanisława, konieczna, by nikt nie dobrał się do dania głównego, jakim byłoby wyjawienie światu rzeczywistego powodu wyjazdu Michała z Krakowa i przez to ściągnięcie na ich rodzinę większych gromów. I choć wtenczas Stanisław myślał, że wyświadcza synowi wielką przysługę, Michał uwikłany w te kłamstwa, pragnął tylko, by kiedyś się skończyły. Był zupełnym przeciwieństwem swojego ojca, pełnym ideałów zwolennikiem prawdy. Z całego serca nienawidził tego krakowskiego kredensu kłamstw, fałszu, zakłamania, hipokryzji, bigoterii i obłudy. Świata, w którym przyszło mu żyć, i w którym żyło całe znane mu od dziecka środowisko. Toteż wyjeżdżając do Łodzi, obiecał sobie, że prędko do Krakowa nie wróci, choć perspektywa życia w robotniczym mieście wcale go do wyjazdu nie zachęcała.

Niestety, wbrew oczekiwaniom ojca, również architektura nie przypadła Michałowi do gustu. I choć nawet, w przeciwieństwie do studenckich czasów krakowskich, zaczął starać się o efekty, to z tych starań często nic nie wychodziło. W pewnym momencie nawet zaczęło mu zależeć na tym, by ukończyć studia. Właściwie – jakiegokolwiek studia. Jednak, im bardziej się starał, tym efekty były mizerniejsze. Michał nie dysponował ścisłym umysłem, a architektura na politechnice obłożona została licznymi przedmiotami technicznymi. Poza tym sam rysunek nie był czymś, co ciekawiłoby go choć w najmniejszym stopniu. Podczas, gdy pierwszy semestr zaliczył jedynie warunkowo, drugi położył już koncertowo, nie zaliczając właściwie żadnego przedmiotu. W dużej części była to zasługa imprezowego życia, o którym młody student przypominał sobie zaraz po zimowej sesji. Co prawda ojciec wynajął mu pokój w mieszkaniu starszej pani, która otrzymywała jeszcze pieniądze za systematyczne informowanie jego rodziców o ewentualnym niepokojącym zachowaniu syna, ale jak się z czasem okazało, nie była to przeszkoda nie do pokonania, by rozerwać się w nie tyle robotniczym, co filmowym mieście. Po pierwsze, Michał uspił czujność starszej pani wzorowym zachowaniem w semestrze zimowym, kiedy to jeszcze ze strachem rozpamiętywał swój wakacyjny pobyt w szpitalu. Po drugie, starsza pani miała słabość do wyrabianych przez siebie rozmaitych nalewek, toteż często kładła się dość wcześnie spać i będąc pod wpływem alkoholu, spała mocno i głośno. Chrapała przy tym jak stary borsuk. Poza tym paliła jak smok, więc nie wyczuwała też poimprezowego smrodu lokatora.

Dzięki temu Michał spokojnie mógł wrywać się na nocne, zwłaszcza weekendowe imprezy do kolegów z polibudy, szczególnie z budownictwa i kolejnictwa. Dodatkowo sprzyjał temu fakt, że mieszkanko starszej pani położone było w sąsiedztwie akademików Politechniki Łódzkiej. Nawet nie trzeba było jechać tramwajem. Lokalizacja mieszkania była więc pierwszorzędną. Udawało mu się często wyjść na imprezę po zaśnięciu starszej pani i wrócić nad ranem przed jej przebudzeniem. Jeśli ostrzej zabawił i spał w akademiku, starsza pani też tego nie zauważała, myśląc że lokator wcześniej wyszedł na zajęcia. A może tylko chciała tak myśleć...

Zdarzało się, że z kolegami z akademików szli poimprezować do Śródmieścia na Piotrkowską lub w jej okolice, ale to też najczęściej nie wzruszało gospodyni. Była to kobieta, która w swoim mieszkaniu gościła już niejednego studenta i póki systematycznie otrzymywała pieniądze za wynajem, starała się nie wchodzić najemcy w drogę. W ten oto sposób Michał

niemal cały letni semestr spędził bądź na zwiedzaniu modnych łódzkich klubów, bądź ostro imprezując w akademikach politechniki, gdzie alkohol lał się szybciej, niż płynęły takty muzyki. Od czasu do czasu pozwalał sobie na jakąś trawkę, ale starał się przy tym zachować umiar. Wspomnienie zamkniętego szpitala i detoksu było wciąż nazbyt żywe. Jednak na łódzkich studenckich imprezach, nie można było funkcjonować bez trawki.

- Michał, zrób coś z tym telefonem! – wyrwał go z zadumy wspomnień donośny głos dziewczyny Tobiasza, który dobiegł go zza zamkniętych drzwi ich pokoju.

Dopiero teraz dotarł do niego sygnał komórki, który najwidoczniej lepiej był słyszalny w pokoju Tobiasza, aniżeli w kuchni, w której właśnie kończył śniadanie. Bez słowa pośpieszył do swojego pokoju odebrać telefon, jednak nie zrobił tego. Co prawda podniósł pośpiesznie aparat z rozwalonej na tapczanie przepoconej pościeli, ale odczekał aż telefon się wydzwoni, po czym przeniósł to nieodebrane połączenie, jak i dwa poprzednie, do rejestru połączeń swojej nokia. Dzwoniła mama. Zdziwiło go to, bo matka rzadko dzwoniła o tej porze. Ojciec prawie w ogóle się z nim nie kontaktował, aczkolwiek Michał wiedział, że matka na bieżąco przekazuje mu wszelkie informacje uzyskane od syna. Telefon od matki o tej porze był zaskoczeniem, bo kobieta dzwoniła zazwyczaj w niedzielę po południu. Nie odebrał. Nie chciał, by wydało się, że opuścił dziś zajęcia. Po chwili uświadomił sobie, że przecież matka nie zna jego rozkładu zajęć i niepodjęcie rozmowy było po prostu głupie. Nie oddzwonił jednak, ale postanowił poczekać, aż matka zadzwoni po raz kolejny.

Wrócił do kuchni dopić kawę, ale gdy zobaczył w niej wczorajszy bałagan, którego jakoś nie dostrzegł rano po przebudzeniu się, zaczął sprzątać. Ani jemu, ani Tobiaszowi nie zdarzało się to często, ale w tym momencie postanowił z pożytkiem spędzić czas w oczekiwaniu na telefon matki. A może po prostu przeleciało mu przez głowę wspomnienie dyscypliny ojca. Był pewien, że matka zadzwoni za chwilę, skoro dzwoniła jak do tej pory trzy razy. Butelki po piwie, winie i wódce pozbierał do jednej dużej reklamówki z Biedronki. Niedopitą butelkę wódki Bols schował do lodówki. Powycierał stół i zgromadził na kredensie przy zlewie większość porzucanych po kuchni, jego pokoju i przedpokoju szklanek, kieliszków, talerzyków i innych rzeczy do mycia. Zaczął powoli myć i zastanawiał się dlaczego matka dzwoniła.

Wrócił myślami do Łodzi. Po niezaliczonym roku na politechnice, wróciwszy na wakacje do domu, ojciec nie mówiąc wiele, spoliczkował go tęgim strzałem. Matka, będąca tego świadkiem, w żaden sposób nie zareagowała. Haftowała w milczeniu serwetę. Może nawet tę samą, co rok wcześniej. Nienawidził jej w tym momencie, choć podświadomie czuł, że ona przecież na swój sposób go kocha. Nawet jeśli nie okazuje uczuć.

Po tygodniu wałęsania się po domu i odpoczywania po intensywnym roku spędzonym w Łodzi, ojciec kazał mu się nagle spakować w jeden plecak i odstawił go do jednostki wojskowej koło Przemyśla. Zafundował swojemu synowi wakacyjne szkolenie wojskowe dla studentów, które według ojca, miało z niego zrobić mężczyznę. Michał nie protestował, jak tylko dowiedział się, że nie jest to ponownie szpital dla nerwowo chorych i uzależnionych. W końcu nie w takich warunkach już sobie radził.

Ojciec jednak przeliczył się, co do poziomu szkolenia wojskowego, w czasach kiedy armia polska oszczędzała na wszystkim. Michał nawet nie nauczył się dobrze strzelać. Właściwie

po porannych zajęciach sportowych lub pseudopoligonie, które z grupą intelektualistów wypadały zazwyczaj żałośnie, przychodził czas na liche, żołnierski obiad, po którym studenci i inni przygodni rekruci byli wolni. Toteż młodzieńcy z różnych stron Polski, nierzadko znajdujący się na tym szkoleniu z podobnych przyczyn co Michał, organizowali sobie czas po swojemu. Zwłaszcza po kolacji imprezom nie było końca. Dowództwo jednostki nie tylko akceptowało ten stan rzeczy, ale nawet było zadowolone, że nie ma studentów na głowie. Mogli w tym czasie zająć się sobą, a trzeba powiedzieć, że nie zdarzało się im wylewać za kołnierz.

W tym czasie rodzina i znajomi Walasików karmieni byli opowieściami, jak to niewdzięczna ladacznica z Łodzi, ta pseudoarchitektka z arcyliczej pracowni swoich przygłupich rodziców, oszukała ich najmłodszego syna i porzuciła go dla jakiegoś osiedlowego łódzkiego dresiarza czy kibola. To była dla ich syna prawdziwa trauma. Prawdziwy cios dla tego nieskalanego serca i pełnego ideałów rozumu. Prawdziwy dramat dla ich synka – jak to ze łzami w oczach relacjonowała Janina swoim kuzynkom i znajomym. A tak go przecież przestrzegali przed tą nieznaną dziewczuchą spoza Krakowa! Tak go namawiali do ostrożności!

- Biedaczysko! Z tym swoim złamanym i rozkołatanym sercem rzucił studia w Łodzi, choć tak dobrze mu szło! To wszystko przez nią! Przez tę dziewczuchę z jakiegoś robotniczego osiedla! No ale trudno! Na miłość nie ma lekarstwa! – przekonywała rodzinę Janina.

- Jak dobrze, że ma wspaniałych przyjaciół, z którymi wyjechał pokontemplować w Bieszczady! Tam na łonie przyrody, pośród przyjaciół, na pewno powoli dojdzie do siebie! – kontynuowała, nie pozwalając dojść nikomu do słowa, w obawie przed jakimś pytaniem, na które odpowiedź mogłaby nie przyjść tak łatwo do głowy...

Po powrocie ze szkolenia wojskowego, Michał dostał od ojca wolną rękę w sprawie swojej przyszłości. Warunek był tylko jeden – studia! I tylko na publicznej uczelni! Tak też znalazł się we Wrocławiu, lądując na nieobleganej filozofii, którą w opinii znajomych – każdy głupi mógł skończyć. Wiedział, że w tym momencie nie może ot tak po prostu pojeździć sobie po świecie, zobaczyć Indie, Japonię, Chiny, Afrykę, piramidy egipskie, krainy Majów i Azteków. Nie! W tym momencie zależało mu na tym, by po prostu wyjechać z Krakowa. Początkowo myślał o jakimś nieskomplikowanym kierunku w Łodzi, mając na względzie poznanych tam już przyjaciół, ale rodzice skutecznie mu to wybili z głowy, mając w pamięci swe opowieści o niespełnionej miłości syna. Zgody nie było też na Kraków, w którym Michał byłby na oku całej rodziny i znajomych! Toteż ochoczo zaakceptowali Wrocław, w którym Michał czuł się obecnie wyśmienicie.

Z zadumy, podczas wycierania naczyń, wyrwał go oczekiwany sygnał telefonu. Wyciął szybko ręce i przed odebraniem upewnił się kto dzwoni. I tym razem była to matka. Odebrał pośpiesznie i z lekkim zdenerwowaniem.

- Tak! Proszę...

Nie minęła nawet minuta, gdy rozłączył się. Usiadł. Nie wiedział co powiedzieć. Nie mógł wydusić z siebie słowa. Ojciec miał wylew. Może nawet już z tego nie wyjdzie. Nie wiedział jak zareagować. Nie wiedział, co odpowiedzieć matce. Nie potrafił jej pocieszyć. Dlatego rozłączył się. Przecież ona rzadko pokazywała mu jak okazywać uczucia. Teraz, gdy

sama ich oczekiwała, może nawet pożałowała, że go tego nie nauczyła.

Otrząsnął się po chwili i postanowił zadzwonić do matki. Powie jej, że coś przerwało połączenie. Powie też, że w tym tygodniu nie będzie mógł przyjechać do Krakowa. Tak. To był najlepszy pomysł. Nie chciał żegnać się sentymentalnie z ojcem, którego nie kochał. Nie potrafił i nie mógł. Nie umiał odgrywać szczególnej roli w tej typowo rodzinnej szopce. Kochany syn szanowanego ojca. Nie! To nie w jego stylu!

W duchu jednak pomyślał, że rychła śmierć ojca może rozwiąże jego życiowe problemy...

8. Stanisław

Nie pamiętał ani tego jak przewrócił się w ogródku lądując na wypielegnowanych przez siebie grządkach, ani tego jak podszedł do niego sąsiad Marian Gałązka. Ani nawet tego jak przyjechała karetka pogotowia i czym prędzej zabrała go do szpitala. Obudził się na szpitalnym łóżku, nie mogąc ruszyć rękoma, nogami, ustami i w ogóle czymkolwiek. Podejrzewał, że przyszedł jego czas, co mogło objawić się w postaci wylewu krwi do mózgu. Tego obawiał się od dawna. Co prawda zażywał leki obniżające ciśnienie krwi, które zapisał mu doktor Więckowski, ale od dłuższego czasu obserwował u siebie uderzenia gorąca, przyspieszoną akcję serca i jego kołatanie. Pożałował, że nie zapytał o radę Tomasza, którego traktował przecież jak syna. Teraz było już za późno...

Czuł potworne zmęczenie... Jakby ziemia osunęła mu się spod nóg... Jakby wpadł w potworną otchłań, z której nijak nie mógł się wydostać... Bardziej jednak, niż zmęczenie, odczuwał, jeśli w ogóle mógł coś w tej chwili odczuwać – morze niemocy, które zalało jego ciało. Nie mógł się ani poruszać, ani niczego powiedzieć... Wszystko wirowało wokół niego. Czuł jakby wpadał w bezdenną studnię, a świat, który dotychczas znał, był coraz dalej, dalej i dalej od niego... Jakby ta czarna otchłań, nie dość, że ciągnęła go w dół, to jeszcze otaczała z każdej strony i oddzielała od świata żywych... Zasnął... A może stracił ponownie przytomność... Może właśnie umierał... Przed oczyma stanęło mu nagle całe życie...

Matka... Tak... Chyba ją kochał najbardziej. Z jedenaściorga dzieci, spośród których był najmłodszy, to matka chyba właśnie jego kochała najbardziej. Zresztą większość braci i sióstr pamiętał jak przez mgłę. Mieszkali jako potomkowie zubożałej szlachty na Grodzieńszczyźnie, w stojącym tam od pokoleń rodzinnym dworcu. Ojciec Stanisława, podobnie jak i jego ojciec, zajmował się uprawą zbóż, matka wychowaniem dzieci. Żyli dobrze i po bożemu, zajmując do pracy przy gospodarce ruskich chłopów. Tak... Wtedy ci chłopcy byli jeszcze ruscy, dziś białoruscy...

Józef, jego najstarszy brat, zginął w pierwszej wojnie światowej, walcząc po stronie carskiej Rosji, do wojska której został wcielony przymusowo. Jan, drugi brat, zginął w wojnie polsko-bolszewickiej, walcząc tym razem po stronie polskiej. Mimo ostrzeżeń ojca i zaklęć matki, zgłosił się na ochotnika, czując potrzebę bycia polskim patriotą w odradzającej się ojczyźnie. Karol, kolejny brat Stanisława, zmarł na gruźlicę nie ukończywszy gimnazjum w Grodnie, gdzie jako nieliczny z rodzeństwa uczęszczał i mieszkał na stacji. Co prawda u owdowiałej wujenki Łapuchowej, ale ta liczyła za opiekę nad Karolem tyle, że spokojnie można było powiedzieć, że ten mieszka na stacji. Liczne siostry – Jadwiśka, Helena, Małgorzata i Bronia – powychodziły za mąż i powyjeżdżały gdzieś do majątków swoich mężów. Jedna pod Wilno, druga pod Kowel, trzecia do sąsiedniej wsi, a Bronia niedaleko Chełma. Jedynie Małgorzata przyjeżdżała co jakiś czas do rodziców, a to z tego względu, że mieszkała stosunkowo niedaleko. Nie da się ukryć, że natenczas rodzice cieszyli się, gdy wydawali za mąż kolejną córkę. Piąta siostra Stanisława – Wanda, także wyszła za mąż i mieszkała niedaleko ich wioski, można powiedzieć po sąsiedzku – w polskim majątku szlacheckim, co bardzo cieszyło

rodziców. Niestety Wandzia zmarła przy porodzie swojego pierwszego dziecka, które po kilku dniach podzieliło los matki.

Rodziny majątek po rodzicach objąć miał Marceli, czwarty w kolejności syn rodziców Stanisława – ulubieniec ojca. Kochał on gospodarkę i dlatego ojciec upatrzył sobie Marcelka na swojego następcę. Nie było tak jednak od początku. W pierwszej kolejności na gospodarstwie miał zostać Jan, ale po pierwsze ten nie gnał się roli, bo ciekaw był świata, a po drugie zginął na wojnie. Marceli tymczasem ożenił się z bogatą panną spod Prużany i wyprowadził się do niej, by tam prowadzić gospodarstwo, jako że w jej rodzinie tylko ona z matką zostały na gospodarstwie. A że było ono duże i bogate, po niespodziewanej śmierci teścia i szwagra Marcelego, potrzebowało męskiej ręki.

Tak to na rodzinnym gospodarstwie, prócz rodziców, został więc Stanisław – najmłodszy z braci i jego starsza siostra Kazia, która nie wyszła za mąż. Przynajmniej do czasu, kiedy miał z nią ostatni kontakt w 1942 roku. Przy domu pomagała matce i Kazi wtenczas Chwieda, ruska chłopka, która pomieszkiwała u nich z małym bajstrukiem.

Do pracy na gospodarce ojciec i syn najmowali ruskich chłopów, gdyż tej ilości ziemi nie byliby w stanie sami obrobić. Do tego, ojciec z roku na rok coraz bardziej niedomagał, być może wskutek palonego w nadmiernej ilości tytoniu, aż w końcu zmarł w 1936 roku tuż po żniwach. Tak, jakby starał się doczekać z tym umieraniem do zakończenia prac w polu. Po wiejskich dożynkach położył się lekko napity spać i rano już nie żył. Umarł we śnie. Matka i Kazia zgodnie stwierdziły, że ojciec miał piękną śmierć. Na pogrzeb ojca zjechały uroczyście wszystkie siostry i brat Marceli z żoną. Choć tak naprawdę raczej by wyrwać część majątku po ojcu dla siebie, niż go pożegnać.

Leżąc teraz sparaliżowany i przykuty do łóżka w szpitalu, zawieszony między życiem a śmiercią, a może właśnie umierając, zazdrościł ojcu tej spokojnej, prowincjonalnej śmierci. Między swoimi, we własnym łóżku i w znanym sobie otoczeniu...

Po stracie męża, matka Stanisława nieco zdziwaczała. Najpierw zamieniła się w dewotkę, nieustannie biegając do kościoła, aż w końcu zaczęła mówić od rzeczy i nawet chciała zapisać majątek Chwiedzie, co skutkowało odesłaniem służki w jej rodzinne strony i zatrudnieniem nowej. Na wiosnę 1939 roku przeziębła się i poważnie zachorowała. Trudno było ją upilnować i zdarzało się, że bez butów i w samej tylko koszuli wybiegała rano przed dom, a nawet uciekała tak w pola i łąki. To musiało się skończyć zapaleniem płuc. Mimo upalnego lata, stara Hoffmanowa nie wydobrzała i zmarła tuż przed wybuchem II wojny światowej – w lipcu 1939 roku.

Tak! Tak! Hoffmanowa...

On – Stanisław, przecież też nazywał się kiedyś Hoffman... To nieszczęsne nazwisko, brzmiące z niemiecka i prawie już przez niego zapomniane, uratowało mu życie, ale i mogło doprowadzić do zguby. Niełatwo przecież żyć Polakowi pomiędzy dwoma najbardziej wojowniczymi narodami Europy. I to z nazwiskiem pozornie świadczącym o przynależności do jednego z tych narodów. Przed II wojną światową nazwisko Hoffman znaczyło wiele na Grodzieńszczyźnie. Ich rodzina, od pradziada zamieszkująca te tereny, cieszyła się poważaniem

zarówno wśród ludności polskiej, jak i ruskiej. Zresztą zarówno w Prusach, jak i na Litwie i Rusi, niemiecko brzmiące nazwiska pośród Polaków nie były niczym nadzwyczajnym. Podobnie jak i polsko brzmiące nazwisko pośród Niemców.

Nazwisko to pomogło przetrwać Stanisławowi w 1941 roku, zaraz po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Białorusi. Wtedy to wpisał się na volkslistę, do czego też namówił siostrę Kazię. Mieli zamiar w ten sposób poprawić sobie los. Z nazwiskiem Hoffman nie było to wtenczas trudne. Poza tym oboje z siostrą mówili dość dobrze po niemiecku, jako że ich babka pochodziła z Prus Wschodnich, a po śmierci dziadka zamieszkała u nich i uczyła ich niemieckiego. Jak się wydawało, wpis na listę Niemców narodowych miał im otworzyć drogę do lepszego życia. Niestety stało się inaczej.

Na początku 1942 roku młody i świeżo upieczony Niemiec Stanislaw Hoffman, otrzymał powołanie do Wehrmachtu. Mimo lamentów siostry, zgłosił się, bo wiedział, że już nie może zejść z obranej drogi. O ile chciał w ogóle przeżyć, nie było już odwrotu. Wypisanie się z volkslisty oznaczałoby tylko jedno – śmierć.

Miał jednak szczęście w nieszczęściu. Większość bowiem powoływanych wtenczas Volksdeutsche, kierowana była prosto na front wschodni. On nie. Z niewiadomych przyczyn został oddelegowany do powstającego obozu koncentracyjnego w Bełżcu koło Tomaszowa Lubelskiego. Nie wiedział wtedy, jak II wojna światowa i obóz w Bełżcu zmienią jego życie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że już nigdy nie zobaczy ani rodzinnego domu, ani Kazi, ani żadnego z rodzeństwa.

Była zima. I to nielekka. Świeżo postawione baraki przyjmowały pierwsze transporty Żydów. W obozie, który okazał się nie koncentracyjnym, ale obozem zagłady, pełno było strażników ukraińskich, którzy mieli za zadanie pomóc Niemcom w eksterminacji tej ideologicznie wyklętej ludności i oprócz straży, wykonywali najczęściej proste zadania polegające na pomocy przy segregacji więźniów czy segregacji ubrań. Z Ukraińcami porozumiewał się bez trudu i nierzadko tłumaczył ich rozmowy z oficerami niemieckimi. Jednak on jako Niemiec, ktoś bardziej zaufany, oddelegowany został do poważniejszych czynności...

Prawdopodobnie w obawie przed buntem, w Bełżcu pozorowano warunki obozu pracy. Żaden z przybyłych więźniów nie mógł orientować się, że trafił do obozu zagłady. Przybyłych więźniów rozbierano i strzyżono, a następnie zaprowadzano do łaźni, gdzie mieli wziąć kąpiel i zostać skierowani do baraku mieszkalnego i przydzieleni do właściwej pracy. Najpierw mężczyzn. Potem kobiety i dzieci. Przy zapędzaniu mężczyzn do kąpeli pracował właśnie Stanislaw. Mężczyzn kierowano do kąpeli pierwszych, w obawie, by ci nie wszczęli buntu. Stanisław wykonywał swą pracę sumiennie wyzywając, poniżając i bijąc więźniów, którzy ogoleni, nago, w chłodzie i upodleniu szli na śmierć, choć wcale nie zdawali sobie z tego sprawy. Bo obóz był tak pomyślany, aby wyglądał na obóz pracy lub obóz tranzytowy. Kiedy przybyli więźniowie orientowali się, że są w obozie śmierci, było już za późno. Z otworów natryskowych zamiast wody sączył się trujący gaz, a wrota „łaźni” były już szczelnie zamknięte. I dobrze pilnowane...

Stanisław wykonywał swoją pracę bardzo sumiennie, szlifując przy okazji swój niemiecki. Rzecz by można, że nawet nadgorliwie... On i jemu podobni, na ogół Niemcy,

Mazurzy lub Ślązacy, pilnowali, by wrota komór były nie do sforsowania od wewnątrz. Zwłaszcza, gdy w środku byli mężczyźni. Potem dozorowali wynoszenie przez innych więźniów oraz wspomnianych Ukraińców ciepłych jeszcze zwłok z komór gazowych i ich załadunek na wagony kolejki wąskotorowej, która wywoziła je prosto do wcześniej przygotowanych dołów. Przynajmniej do czasu, kiedy nie uruchomiono pieca krematoryjnego. Wówczas to między innymi on nadzorował transport ciał do pieców oraz ich oczyszczanie z popiołu. Kobietami i dziećmi zajmowali się w tym czasie już inni strażnicy. Bez względu na narodowość i pochodzenie, wszyscy jednak bali się, że kiedyś to dla nich zamiast wody popłynie trujący gaz. Nie wszyscy jednak z takim zaangażowaniem jak Stanisław pracowali dla chwały III Rzeszy, zyskując zaufanie przełożonych.

Strach i chęć przeżycia tej strasznej wojny, wyuły Stanisława, na tamten czas, z wielu uczuć i emocji. Wyostrzyły w nim jednocześnie wszelkie zwierzęce instynkty, które na co dzień w przeciętnym człowieku tylko drzemią, zdając się czekać cierpliwie na przebudzenie. Egzystując między trupim smrodem a dymem z komina spalającego ludzkie zwłoki, wiedział, że prędzej czy później wyląduje na froncie wschodnim, z którego zasadniczo nikt nie wracał, albo co gorsza zostanie zlikwidowany, tu na miejscu, albo gdzieś nieopodał wraz z innymi strażnikami, jako niewygodny świadek ludobójstwa, którego przecież kiedyś musiał nastąpić kres. Przecież kiedyś Żydów i Cyganów zabraknie, myślał...

Jesienią 1942 roku oddelegowany został do nadzorowania segregacji ubrań, kosztowności, w tym złotych zębów wrywanych zwłokom, dokumentów, książek i innych rzeczy. W czasie tych dwóch tygodni segregacji, wszedł w posiadanie dokumentów niejakiego Stanisława Walasika, młodszego od siebie o dwa lata człowieka o tym samym imieniu, Polaka urodzonego w Białymstoku, choć w istocie Polacy rzadziej trafiali do Bełżca. Wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mu było zatrzymać żadnej rzeczy znalezionej przy segregacji. Groziło to bezapelacyjnie frontem wschodnim, jak nie natychmiastowym rozstrzelaniem. Zwłaszcza, że co jakiś czas SS-mani przeszukiwali pomieszczenia żołnierzy Wehrmachtu w poszukiwaniu złota, kosztowności i dolarów zrabowanych przy selekcjach. Na ogół żołnierze byli też wrywkowo sprawdzani pod koniec zmiany. I choć kontrole te nieraz były zapowiadane i pozorowane, bo SS-mannom też zdarzało się kraść na potęgę, Stanisław nie mógł absolutnie ryzykować. Zwłaszcza, że dla SS-manów był tylko Volksdeutchem.

Tamtego dnia jednak wiele zaryzykował. Szczęście chciało, że tego samego dnia znalazł zaszyte w żydowskim płaszczu dwa diamenty, o czym natychmiast zgłosił głównodowodzącemu akcją SS-manowi Türmannowi. To działanie uwiarygodniło jego uczciwość i dzięki temu nie został poddany rewizji po zakończonej zmianie, toteż mógł swobodnie wynieść dokumenty z baraku, w którym pracował. Od tej pory dokumenty te oraz trochę skradzionych wcześniej pieniędzy, przechowywał zaszyte szczelnie w ściance wysokiego buta. Wiedział, że prędzej czy później przydadzą mu się, by uratować życie. W końcu Bełżec miał być tylko czasowym obozem i podejrzewał, że po jego likwidacji, ci, którzy nie zostaną wysłani na front wschodni, zostaną natychmiast zlikwidowani.

Tak zatem Stanisław postanowił uciec na pierwszej przepustce, która przysługiwała mu po roku pracy. Problem w tym, że rok jego służby upływał dopiero na początku następnego roku. Niespodziewanie jednak w grudniu 1942 roku, zaraz po tym jak wstrzymano transporty Żydów do obozu, został wezwany do dowódcy, gdzie wręczono mu trzydniową przepustkę

z obowiązkiem powrotnego stawienia się na służbę w Bełżcu. W tym czasie przepustki takie otrzymało jeszcze kilku kolegów. Być może spowodowane to było mniejszą ilością pracy. Ponieważ jednak dla wielu Niemców i Ślązaków podróż do domu była za daleka, czas na przepustce spędzali na ogół w lwowskich burdelach, dokąd zaprowadzali ich ukraińscy koledzy. Niewielka część z nich wybierała się także do Lublina, ale ten nie cieszył się wtedy mianem miejsca, gdzie przyjemnie można było spędzić czas. Mimo tego to właśnie ten kierunek wybrał w grudniu 1942 roku Stanisław.

Do Lublina jednak nie jechał sam. Towarzyszył mu Jörg z okolic Stuttgartu. Jako jedyny Niemiec nie wybrał się z Ukraińcami do Lembergu (jak wówczas nazywano Lwów), a wolał odwiedzić wuja z Gestapo, który służył w Lublinie, zajmując dość wysokie stanowisko. Stanisław pojechał wtenczas z Jörgiem do tego wuja, o którego zasługach w walce z wrogiem przyszło mu słuchać całą podróż. Dla młodego Niemca Jörga była to także pierwsza przepustka z Bełżca. Wcześniej służył w jednostce w Łodzi, z której bez dnia przerwy został oddelegowany do Bełżca. Mimo to Łodzi nie wspominał najlepiej i podejrzewał, że to wuj z Gestapo wystarał się dla niego o inne miejsce pracy.

Leżąc teraz nieruchomo w szpitalnej pościeli, Stanisław pamiętał do dziś, że wuj Jörga nazywał się Kurt Wittmeyer. Przynajmniej takie nazwisko figurowało na drzwiach gabinetu oficera Gestapo, do którego zaprowadził go Jörg. Ten bardzo wysoki, nawet jak na Niemca, około pięćdziesięcioletni krzepki mężczyzna, nakarmił ich porządnie w stołówce Gestapo i obdarował papierosami. Dał im też trochę pieniędzy na pobyt w Lublinie. Zakazał mówić komukolwiek o tym, czym zajmowali się w Bełżcu, nieco zmartwiony, a bardziej zdenerwowany beztronską opowieścią młodych mężczyzn. Dobrze najedzeni i nieco podpiici, wybrali się wieczorem na miasto, zawiedzeni jego prowincjonalnym charakterem. Trafili jednak do miłego przybytku uciech, na czym zwłaszcza zależało Jörgowi, wspominającemu klimat rozpustnej Łodzi, choć wcale do tego zabłoconego miasta nie pałał sympatią.

Rano skacowany Jörg obudził się jednak sam. Dziewczyny, z którymi byli, zostawiły ich samych nad ranem w obskurnym hoteliku, do którego nocą trafili. Wyczerpanemu nocnymi igraszkami Jörgowi do głowy nie przyszło, że Stan, jak nazywali Stanisława niemieccy koledzy, czmychnął z wojska. To nie było po prostu w niemieckim stylu. Niemcy nie mieli ani tyle pomysłowości, ani odwagi, by zdobyć się na taki krok. Dla Volksdeutscha z polskim pochodzeniem nie było to jednak coś niewyobrażalnego. Musiał ratować swoją skórę, bo wiedział, że po powrocie do Bełżca z pewnością zostanie rozstrzelany lub co najwyżej trafi na front wschodni. Nie miał przecież wuja w Gestapo, który mógłby go wyratować. Toteż, gdy Jörg zapadł w głęboki, pijacki sen, a dziewczyny zdążyły pójść w swoją stronę, Stanisław wymknął się niepostrzeżenie z lubelskiego hoteliku, kradnąc po drodze cywilne ubranie. Korzystając z pieniędzy otrzymanych od wuja Jörga, kupił bilet na najwcześniejszy pociąg do Warszawy i nim Jörg rano otworzył oczy, ten z nowymi dokumentami i w nieswoim ubraniu, stąpał po niedawnej stolicy państwa, którego miało już nigdy nie być.

W Warszawie swe pierwsze kroki skierował do zakonu kapucynów na Starym Mieście. Brat jego ojca – stryj Tadeusz był zakonnikiem i przebywał w tym zakonie od wielu lat. Jednak tamtego dnia nie zastał stryja, a obecni braciszczkowie nie zechcieli udzielić mu pomocy. Nie dostał nawet nic do jedzenia, odprawiony czym prędzej spod furty klasztornej. Wiedział, że nie może beztronsko przechadzać się po mieście pełnym Niemców. Bał się, że zostanie

wylegitymowany i okazało się, że Stanisław Walasik był poważnym wrogiem III Rzeszy. W końcu nieczęsto zdarzało się, że Polak trafiał do Bełzca. Nie mógł się narażać, bo to niechybnie mogło zaprowadzić go z powrotem do obozu i bynajmniej nie w charakterze strażnika. Myślał czy by nie jechać do siostry pod Grodno, ale przecież Niemcy w pierwszej kolejności mogliby tam go szukać. Czym prędzej porzucił tę myśl. Nie przyszło mu też do głowy, że swoją ucieczką mógł sprowadzić na siostrę nieszczęście.

Był głodny i wstąpił do lichej knajpy napotkanej gdzieś na Starym Mieście. W tym właśnie miejscu poznał, jak się później okazało, swego późniejszego najlepszego przyjaciela Władysława Gałuszkę, który również tamtego dnia przyszedł się posilić do tego podłego miejsca. Miał do załatwienia pilną sprawę, o której w ogóle nie mówił, ale za to skrupulatnie przepytał Stanisława. Ten zaczął kłamać na temat aresztowania całej swojej rodziny w Białymstoku i swej ucieczce przed wywózką do obozu. O tym, że rano przybył do Warszawy z nadzieją szukania pomocy u stryja kapucyna, ale nic z tego nie wyszło i o tym, że właściwie nie ma się gdzie podziać i co ze sobą zrobić. Skończywszy opowieść, zdał sobie sprawę z tego, że postąpił nierozsądnie, bo jego rozmówca mógł być szpiclem Gestapo. Mylił się jednak.

Wschodni akcent wystraszonego człowieka spod Grodna skutecznie podziałał na Gałuszkę – działacza tworzącej się Gwardii Ludowej. Zabrał Stanisława ze sobą, obiecując pomoc. W ten sposób zaczęła się przygoda Stanisława z ową formacją, a potem z Armią Ludową. Starając się zapomnieć o Grodzieńszczyźnie i Bełzcu, rozpoczął walkę o dobro ojczyzny. Przynajmniej tak mu się wydawało. Właściwie, gdyby wtedy natknął się na kogoś z Armii Krajowej, też przystałby na działalność w tej formacji. Przecież nie miał nic do stracenia, a jako że był poszukiwany przez Niemców i głodny, Gwardia Ludowa spadła mu jak manna z nieba.

Teraz jednak leżał nieruchomo w szpitalu i rozmyślał nad tym, jak potoczyło się jego życie. A może tylko majaczył. Może to po prostu śmierć wżerała się w jego mózg. Władek dawno nie żył. Do końca swych dni nie wiedział, że jego najlepszy przyjaciel, z którym przyszło mu z niejednego pieca chleb jeść, nie jest żadnym Stanisławem Walasikiem z Białegostoku, a Volksdeutschem Stanisławem Hoffmanem spod Grodna. Tego Grodna, którego Stanisław się wyparł i które dziś jest ruskie czy białoruskie. Miał żal do siebie, że nawet swemu najlepszemu przyjacielowi nigdy nie wyjawiał prawdy. Nawet mimo zmiany granic po rozpadzie Związku Radzieckiego i zmiany systemu politycznego, w którym przyszło im żyć, nigdy już do Grodna nie pojechał. Raz tylko wspomniał Marii, wtedy gdy byli ze sobą naprawdę blisko, że urodził się w Grodnie. I zaraz tego pożałował, bo żonę zaciekał ten wątek, a Stanisław czuł obawę przed wyjawieniem jej swojego prawdziwego nazwiska. Mogłoby to przecież doprowadzić kiedyś kogoś do Bełzca. Tego obawiał się najbardziej. A temat Bełzca w jego historii nie istniał...

Strach ten spowodował, że nigdy nie szukał ani starszej siostry Kazimiery, z którą mieszkał przed wojną, ani pozostałego rodzeństwa. Nie wiedział, czy w ogóle przeżyli wojnę, a jeśli tak, w jakie rejony nowej Polski zostali przesiedleni, o ile w ogóle zdecydowali się opuścić Białoruś. Czy nie zostali czasem zesłani w głąb Rosji. Sporo osób z okolic Grodna trafiło na Pomorze – do Kołobrzegu, Koszalina, Szczecina, ale Stanisław nie szukał nigdy bliskich. Z biegiem lat, najbardziej żał mu było jednak braku wiadomości o Kazi. Ponieważ przyszło im razem gospodarować na ojcowiznie, miał z nią spośród rodzeństwa najlepszy kontakt. Żał mu też było braku kontaktu z Małgorzatą, bo ta, choć założyła swoją rodzinę, utrzymywała cały czas kontakt z rodzicami, Kazią i z nim. O pozostałych braciach i siostrach czasem rozmyślał, ale sam

siebie ganił w myślach za te tęsknoty, wmawiając sobie, że żadne z rodzeństwa z pewnością nie pamięta nawet jego imienia. Tłumił w ten sposób swoje wyrzuty sumienia, które czasem dodatkowo topił w kieliszku wódki.

W 1944 roku poznał dużo młodszą od siebie Janinę, której zaczął nieświadomie imponować. On – żołnierz ludowy z przypadku i konieczności, ona – działaczka idealistka z wyboru. Połączyło ich uczucie, spajane dodatkowo trudami walki z najeźdźcą hitlerowskim i podsycane propagandą radziecką. Z pewnością Janina kochała go bardziej, ale i on nie bronił się przed tym uczuciem, bo po jakimś czasie zaczął marzyć o dużej rodzinie. Takiej jaką znał spod Grodna. Do tego piął się po szczeblach kariery w wojsku ludowym, wypadało więc założyć rodzinę, zwłaszcza po zakończeniu wojny. Kiedy po wojnie powierzono mu stanowisko w Urzędzie Bezpieczeństwa w Krakowie, dokąd został skierowany z Warszawy, nie tylko w dowód zasług, ale przede wszystkim z jasno sprecyzowanymi poleceniami, poprosił Janinę o rękę i na krakowskiej już ziemi, wspólnie zaczęli nowe życie Walasików.

Nie przeszkadzało mu to, by podobnie jak w Bełzcu, wypełniać swoje obowiązki nader gorliwie. Ku chwale ludowej ojczyzny i ideałom partii! Tylko już nie jako szeregowy żołnierz lawirujący między życiem a śmiercią, a jako pułkownik Wojska Polskiego, nadzorujący przesłuchania w podziemiach UB i wyciągający z ludzi najróżniejsze tajemnice. Często nawet takie, o których sami ci ludzie nie wiedzieli. Metody działania służb specjalnych dawały zaskakujące efekty. Niestety czasem przy okazji zabierały ludzkie życie...

Rozmyślając, a może śniąc na jawie o tamtych czasach i przede wszystkim o Janinie, dopiero teraz spostrzegł, że żona siedzi przy nim w szpitalnym pokoju i trzyma go za rękę. Zupełnie jednak nie czuł dotyku dłoni żony, ani ciepła, które powinno otaczać jego dłoń. Nie mógł wydobyć z siebie słowa, choć czując zbliżający się koniec, chciał jeszcze tyle żonie powiedzieć, tyle wyjaśnić, a może naprawić. Tymczasem nawet nie wiedział, czy jest w stanie swobodnie poruszać powiekami. Uczucie niemocy wypowiedzenia jednego słowa czy poruszania choćby jednym palcem, sprawiało mu ogromny, нефizyczny ból. Cierpienie niebytu. Nie mógł powiedzieć ani słowa... Nie mógł poruszyć się...

Zaczął rozmyślać o swoich dzieciach i zastanawiać się, czy dobrze uczynił przez całe lata chroniąc żonę przed bolesną prawdą o Piotrze. By jej matczyne serce nie pękło tylko z tego powodu, że rzekome powołanie księdza było zwykłą, pospolitą i prymitywną chucią i to względem osób tej samej płci. Chęć nieakceptowanego powszechnie chędożenia, którego tajemnicę uświęcał i gwarantował prawie dwa tysiące lat i gwarantuje do dziś zepsuty kościół.

Podstępna choroba odjęła mu moc władania swoim ciałem... O jakże oni byli podobni do siebie. Jak podobni! Stara, ślepa dewotka kościelna, wpasowująca się idealnie w ten zatęchły świat hipokryzji, obłudy i fałszu. I książę kłamstwa i rozpusty – jej najukochańszy syn, skrywany pod brudną sutanną kościelnych bzdur! Niemoc władania ciałem potęgowała w nim złość... Moc władania umysłem podpowiadała mu tymczasem, że postępowanie jego żony i syna nie jest ani odrobinę gorsze czy lepsze od wyborów dokonywanych w życiu przez niego samego...

Chciał wykrzyczeć żonie jej nadopiekuńczość w stosunku do Michała. Teraz, właśnie w tym momencie, bo nigdy tego nie robił. I bardzo tego żałował. Sam miał sobie, podobnie jak i w sprawie Piotra, wiele do zarzucenia, ale też zdawał się przede wszystkim obciążać Janinę

tym, że i młodszy syn nie spełniał ich oczekiwań. To ona za bardzo głaskała chłopaków i nie pozwalała na surowe męskie wychowanie. Nigdy jej tego nie powiedział, ale uważał, że to jej pseudomatczyne uczucia zniszczyły obu synów...

Wykrzyzczyć jednak już nigdy nie zdoła... Na zawsze jego głos został uwięziony w zalanym krwią umyśle bez możliwości komunikowania się z otoczeniem. Już nigdy nie powie jej, jak bardzo zniszczyła życie Gabrieli... Dobrze, że on jej to jakoś wynagrodził... No i że zabezpieczył na przyszłość Marię i Tomasza...

Tymczasem zdawał się przekraczać bramy tamtego świata... Zobaczył jak wszystko wiruje mu przed oczami, jak tańczą wycięte jak z albumu zdjęcia – urywki wspomnień z tamtych lat, tak odległych, a jednak teraz, w tym momencie tak wyraźnych. Jak tulił dzieci do siebie, uczył mówić, chodzić, poznawać świat. Pamiętał te drobne dłonie, które skrywał w swoich dłoniach. Te ufne oczy, w których zakochiwał się zaraz od urodzenia, uśmiechy szczęśliwych dzieci, które tyle życia i energii dają rodzicom...

Łypiąc oczami to na Janinę, to na wchodzącą do szpitalnego pokoju Marię, chciał coś im zakomunikować, ale nie był w stanie. Czuł się coraz gorzej... Zaczął zastanawiać się czy dobrze uczynił zostawiając w spadku Kazi tak pokąszną sumkę pieniędzy. Ale w końcu była jego córką i to ukrywaną przed rodziną od zawsze...

Zdawało mu się, że zamyka oczy, a może to tylko świat umykał mu sprzed oczu... Pożałował tego, że nigdy nie powiedział Janinie prawdy o swej nieślubnej córce Kazi, mającej tyle lat co Piotr. Przez całe życie myślał, że nie zasłużyła na informację, która być może ją zabije, ale teraz pragnął powiedzieć prawdę. Powinna się czym prędzej dowiedzieć, że ma dziecko z inną kobietą, a jest nią jej własna siostra! Tak! Dawno temu przyjeżdżała z Lublina do nich do Krakowa, a potem nagle zniknęła z ich życia. Wyszła za mąż już po urodzeniu Kazi i zerwała rodzinne kontakty.. Stanisław o istnieniu córki wiedział od początku i nie szczędził pieniędzy na jej utrzymanie. Jednak oboje z siostrą Janiny postanowili utrzymywać sprawę w sekrecie, uzgadniając, że reszta Walasików o niczym się nie dowie. Tak, po prostu... Gdy robił poważną karierę w Krakowie, ostatnią rzeczą jaką była mu potrzebna, był skandal obyczajowy. A ten na pewno by wybuchł, zważywszy na miłość jego żony do dzieci i nieukrywaną sympatię do siostry. Dlatego z siostrą Janiny postanowili nie tylko nie obwieszzać świata swojego grzechu, ale i nawet nie ujawniać Kazi jej prawdziwego pochodzenia. Tak trzeba było postąpić. Nie mieli innego wyjścia. Świat, w którym żyli, nie wybaczyłby im tego nigdy. Także partia, która dawała Stanisławowi pracę, pozycję, pieniądze i władzę, nie byłaby zachwycona takim skandalem. A już na pewno nie w Krakowie. Tutaj każda szanująca się rodzina pełna była swoich brudów, skandali i mezaliansów, ale żadna z nich nie nawykła do ich upubliczniania. Na zewnątrz wszystko zawsze musi grać i błyszczeć. Brudy chowane są głęboko w kredensie...

Szarpiąc się z myślami i nie mogąc wyrwać się ze szponów choroby, rozmyślał, co teraz działoby się, gdyby Janina i Maria, stojące nad nim i wpatrujące się w niego z niepokojem, dowiedziały się prawdy o Kazi. Zresztą to imię specjalnie wybrał, by uczcić pamięć swej starszej siostry, którą stracił przez zawieruchę wojenną, i której nigdy nie miał odwagi odszukać. Traktował to jak swoistego rodzaju odkupienie za to, że nigdy nie szukał ani jej samej, ani nawet wiadomości o niej... Chciałby teraz widzieć ich miny, kiedy dowiedzą się, że spora część spadku trafi do nieślubnej córki... Zasnął...

9. Stażysta

Tej nocy stażysta Ziębicki właściwie sam pełnił dyżur na neurologii. Co prawda oficjalnie dyżur przyszło mu pełnić z doktorem Zubalskim, którego darzył dużą sympatią, zresztą z wzajemnością, ale doktor padał z nóg i właśnie przed chwilą położył się spać. Od czterdziestu ośmiu godzin ordynator nie opuszczał kliniki, a w ciągu całego dnia i poprzedniej nocy nie zmrużył oka. Cały oddział zavalony był pacjentami i nie było ani jednego wolnego łóżka. Ordynator musiał odpocząć.

- Rafał! Poradzisz sobie z oddziałem! Ja muszę się zdrzemnąć, przynajmniej trzy, cztery godziny – zwrócił się do stażysty. - Nie budź mnie z byle powodu. Zresztą nie jesteś sam – dodał i poszedł do swojego gabinetu nie czekając na odpowiedź.

Nie zwykł zwracać się do stażystów po imieniu, ale Rafał Ziębicki był jednym z nielicznych wyjątków. Po pierwsze Rafał był protegowanym profesora Wawrzeckiego, szefa neonatologii w szpitalu uniwersyteckim, a po drugie, jak się okazało, Rafał był synem jego nieżyjącego kolegi, też lekarza, który zmarł nagle paręnaście lat temu, zostawiając żonę z dziesięcioletnim synem. Toteż z jednej strony darzył Rafała nieukrywaną sympatią i czuł się w obowiązku pomóc temu dzieciakowi, a z drugiej strony działał przebiegle, bo wiedział, że o takie złoto na oddziale, jak protegowany profesora Zygmunta Wawrzeckiego, trzeba wyjątkowo dbać, zwłaszcza w obliczu przygotowywanej przez ordynatora habilitacji. Każda znajomość profesorska była na wagę złota. Nawet jeśli Wawrzecki nie byłby powołany do kolegium habilitacyjnego, na pewno zna wielu cenionych profesorów, a to w środowisku naukowym jest na wagę złota. Przy tym wykazywał się daleko idącym zrozumieniem i prywatne relacje Rafała z Wawrzeckim pozostawały na razie poza jego zainteresowaniem.

Zostawiając oddział Rafałowi, Zubalski mocno nie ryzykował. Po pierwsze, stażysta był zdolnym lekarzem, który rokował naprawdę dobrze, a poza tym wiedział, że nie będzie chojraczył i w razie potrzeby zbudzi go. Ten schemat mieli już wypracowany. Dlatego lubił nocne dyżury z Ziębickim. W czasie poprzedniego nocnego dyżuru ze stażystą Wiktorowiczem, nawet nie zmrużył oka.

Nie zauważył jednak, że Rafał był tego wieczoru jakiś nieswój. Jakiś smutny czy podrażniony. Nawet może zbyt zamyślony. Może zły. Tego Zubalski nie spostrzegł, co było nader dziwne, gdyż pilnie obserwował świat wokół siebie. Najwidoczniej zmęczenie bardzo dawało mu się we znaki.

Rafał tymczasem był równie zmęczony jak Zubalski. Poprzedniej nocy nieco zabalował ze znajomymi, którzy z Kalisza wpadli na parę dni do Krakowa i zatrzymali się u niego. Rano musiał przyjść do pracy, a w perspektywie była jeszcze cała noc dyżuru. Przy tym oddział pękał w szwach. Co prawda wuj Zygmunt obiecał mu po stażu etat w klinice uniwersyteckiej, ale póki

co musiał dzielnie walczyć w szpitalu MSWiA, gdzie roboty nie brakowało. Musiał być ostrożny i nie mógł korzystać z rodzinnych protekcji.

Postanowił zrobić nocny obchód. W czasie takiego obchodu pacjenci zazwyczaj spali, a on sprawdzał tylko, czy ich podstawowe funkcje życiowe pozostają w normie. Od dłuższego czasu robił to sam. Zarówno Zubalski, jak i inni lekarze oddziałowi, uważali go za godnego zaufania, w przeciwieństwie do młodego Wiktorowicza – syna doktora Wiktorowicza z ginekologii, na którego zawsze trzeba było mieć oko. Rafał nawet niespecjalnie musiał rywalizować z Wiktorowiczem, którego nikt na oddziale nie lubił. Po pierwsze Wiktorowicz obnosił się z koneksjami rodzinnymi, a po drugie udało mu się już nawalić w wielu sytuacjach, i to niekoniecznie najtrudniejszych. Z kolei na Rafała można było liczyć. No i o jego przyjaźni z Wawrzeckim wiedział tylko Zubalski. Nikt jednak nie wiedział, że Wawrzecki był jego dalszym wujem. Nawet ordynator.

Najstarszym pacjentem na oddziale był osiemdziesięcioośmioletni Stanisław Walasik – teść doktora Stemplewskiego, którego dzięki Zubalskiemu, Rafał kilka dni temu poznał. Zajmował jedną z trzech łóż dla vipów, jak na oddziale zwykło się nazywać prywatne pokoje dla ważnych pacjentów. W końcu była to klinika ministerialna. Dwie pozostałe łóż zajmowały – pięćdziesięcioczeroletnia żona jednego z wiceprezydentów miasta i ponad sześćdziesięcioletni ojciec jednego z posłów. Pozostałe zwykłe sale były wypełnione po brzegi. Rafała drażniło to, że nie wszyscy pacjenci traktowani są równo w tym szpitalu. Nie lubił tego. Zwłaszcza, że w kilkuosobowych salach znalazłoby się przynajmniej parę osób, które bardziej potrzebowały intymności, niż pacjenci z łóży.

Przechodząc z sali do sali, wstąpił do dyżurki pielęgniarek i puścił oko do pani Zosi. Ta uśmiechnęła się, bo lubiła tego wesołego stażystę. Poza tym, podobnie jak cały personel, uważała go nie tylko za zdolnego i ambitnego, ale sympatycznego i uczciwego. A do tego skromnego.

- Nie pójdzie pan spać po obchodzie? – zagadnęła.

- Nie. Nie. Raczej nie mam szans. Zubalski nie widział już na oczy i poszedł spać. Muszę być cały czas na nogach – odparł.

- To dobrze się składa – uradowała się. - Bo, kochany panie Rafałku – kontynuowała – Ania z pulmonologii robi dziś imieniny i chciałabym wyrwać się do niej na trzecie piętro na pół godzinki – zrobiła maślane oczy do Rafała.

Rafał uśmiechnął się i nie zdążył niczego odpowiedzieć, gdy usłyszał:

- Przyniosę panu kawałek tortu! Ania tak dobrze piecze – dodała.

- Pani Zosiu, niech pani spokojnie idzie, tylko proszę zostawić mi na karteczce numer telefonu do dyżurki na pulmonologii – odparł.

- Dziękuję panie Rafałku. Tak lubię z panem dyżurować.

- Zajrzę jeszcze do naszych vipów, wrócę i będzie pani mogła zjechać na trzecie piętro.

Nie czekał już na odpowiedź pielęgniarki, lecz skierował kroki do jedynek. W samym końcu korytarza znajdowała się łoża Walasika. Ten spał, a z wykresu monitora wynikało, że jego stan jest stabilny. Walasik ani myślał o umieraniu, choć i on, i doktor Zubalski, i doktor Stężyńska-Król, i nawet Wiktorowicz orzekli, że długo nie pożyje. Przy tak rozległym wylewie w jego wieku nie przeżywa się dwóch – trzech dób. Tylko najwyższej klasy lekarstwa przytrzymują go przy życiu ponad tydzień i to tylko z uwagi na kłopoty małżeńskie doktora Stemplewskiego, który za wszelką cenę chce pozalać wszystkie swoje prywatne sprawy. Ciekawe, jak Zubalski rozliczy się z lekarstw – pytał sam siebie stażysta. Pewnie nie dostanie ich jakiś potrzebujący, ale za to bez wpływów i koneksji pięćdziesięciolatek...

- Właściwie gdyby nie medykamenty nowoczesnej generacji, już by nie żył – pomyślał i wyszedł z pokoju starego Walasika.

Przypomniał sobie bowiem, że pani Zosia czeka na niego, by móc skoczyć na pół godziny na pulmonologię. W dyżurce z panią Zosią siedziała jakaś pielęgniarka, mniej więcej w podobnym wieku, której nie znał. Ukłoniła się i uśmiechnęła ciepło.

- Panie doktorze – pani Zosia zwróciła się do Rafała oficjalnie – pani Ksenia z urazówki przysłała po mnie i jeśli nic się nie dzieje, to chciałabym wyskoczyć na te pół godzinki na pulmonologię. Tak jak mówiłam. - Karteczkę z numerem zostawiam przy telefonie, to numer 362. - W razie czego proszę dzwonić, to przybiegnę jak najszybciej – dodała.

- Dobrze. Idźcie panie. Ja tymczasem nie będę ruszał się z dyżurki.

Gdy został w niej sam, zaczął rozmyślać nad pomysłem, który zaświtał mu w głowie w łożu Walasika. Ten prawie dziewięćdziesięcioletni dziadunio, który i tak może jutro, może za trzy dni umarłby, raczej nie przeżyje nocy. A przynajmniej zwolni miejsce dla kogoś bardziej potrzebującego... Ale nie ma na co czekać...

Lepiej nie mogło się ułożyć. Zubalski spał twardym snem, pielęgniarka poszła na imieniny i nie wierzył, by nie wypila tam choć jednego drinka. Przecież wiadomo, że nie poszła tam tylko na tort. Zaczął wpatrywać się w zegar w białej plastikowej obudowie, który wisiał nad drzwiami. Srebrna wskazówka sekundnika z wolna wspinała się pod górę od szóstki do dwunastki, by następnie subtelnie zbiegać ze szczytu z powrotem do szóstki, ale inną już trasą. I tak nieustannie. Odczekał dokładnie pięć minut od wyjścia pielęgniarek z oddziału. Wstał i wyjął z apteczki lek zwiotczający mięśnie. Z rozliczeniem się z niego nie będzie problemu, bo i tak był on w powszechnym użyciu przy reanimacjach. Zresztą to problem pielęgniarek, nie jego. Skierował się zdecydowanym krokiem do pokoju Walasika.

Był kwadrans przed pierwszą, gdy wrócił do dyżurki. Na oddziale była cisza jak makiem zasiał. Nie zastanawiał się już nad tym, co się stało. Nie on pierwszy i nie ostatni na tym oddziale – pomyślał. Odczekał dłuższą chwilę i wykręcił numer 362. Pani Zosia w ciągu dwóch minut wróciła na oddział.

- Pani Zosiu, musiałem panią wywołać, bo trzeba obudzić Zubalskiego – oznajmił spokojnie – Starszy pan Walasik zmarł – dodał szybko.

- Ten od Stemplewskiego?

- Tak. Właśnie ten.

- Panie Rafałku, tylko niech mnie pan nie wsypie, że byłam na pulmonologii w tym czasie.

- Niech się pani nie martwi. Nie wsypię. Była pani tutaj cały czas...